

David Safier

Mrówka w wielkim
mieście

Rozdział 1

DZIEŃ, W KTÓRYM UMARŁAM, JAKOŚ NIE BYŁ ZA BARDZO PRZYJEMNY. I to wcale nie z powodu samej śmierci. A dokładniej: z wielkim trudem udało jej się zająć szóste miejsce w rankingu najbardziej żalonych momentów całego dnia. Na miejscu piątym znalazła się natomiast chwila, w której Lilly, spojrzawszy na mnie zaspanym wzrokiem, zapytała:

- Mamusiu, dlaczego nie zostaniesz dzisiaj w domu? Przecież są moje urodziny!

Przez myśl przeleciała mi następująca odpowiedź: „Gdybym pięć lat temu wiedziała, że twoje urodziny zbiegną się z rozdaniem nagród niemieckiej telewizji, już bym się postarała o to, żebyś przyszła na świat wcześniej. Przez cesarkę!”.

Zamiast tego jednak powiedziałam tylko cicho:

- Przykro mi, skarbie.

Lilly smętnie skubała rękaw swojej piżamy z nadrukiem Pumuckl (Pumuckl - tytułowa postać ze znanej niemieckiej kreskówki powstałej na podstawie powieści Ellis Kaut (przyp. tłum.)), a ja, ponieważ nie mogłam już dłużej znieść tego widoku, wypowiedziałam szybko owe magiczne słowa, które rozweselają każde smutne dziecko.

- Chcesz zobaczyć swój prezent?

Sama go jeszcze nie widziałam. Musiał się tym zająć Alex, bo ja z powodu nawału pracy w redakcji już od miesiący nie robiłam żadnych zakupów. I wcale mi tego nie brakowało. Nie ma dla mnie chyba nic bardziej irytującego niż marnowanie cennego czasu na stanie w kolejkach w supermarkecie. A tych wszystkich uroczych dodatków, od ubrań, przez buty, aż po kosmetyki, nie musiałam osobiście kupować. Jako Kim Lange, prowadząca najpopularniejszy w Niemczech polityczny talk - show, dostawałam je na szczęście od producentów najbardziej luksusowych marek.

„Gala” zaliczyła mnie dzięki temu do „najlepiej ubranych kobiet około trzydziestki”, podczas gdy inna bulwarówka wyraziła się na mój temat raczej mniej przychylnie, pisząc o „nieco przysadzistej brunetce z wyraźnie za grubymi udami”. Z tą ostatnią gazetą żyłam na stopie wojennej, ponieważ zabroniłam jej publikowania zdjęć mojej rodziny.

- Oto piękna młoda dama, która chciałaby dostać swój prezent! - zawołałam w głąb domu. Z ogrodu doleciała odpowiedź:

- No to niech ta piękna młoda dama tutaj przyjdzie! Wzięłam podeksycytowaną córkę za rękę.

- Ale najpierw włóż kaptcie! - zwróciłam się do niej.

- Nie włożę - marudziła Lilly.

- Bo się przeziębisz - ostrzegłam.

- Wczoraj jakoś się nie przeziębiam - odpowiedziała. - A też nie miałam kapci.

I zanim zdążyłam znaleźć jakiś kontrargument odpowiedni dla zawilej i hermetycznej dziecięcej logiki, Lilly już biegła bosą wprost do lśniącego od porannej rosy ogrodu.

Zbita z tropu, podążałam za nią i oddychałam głęboko. W powietrzu pachniało nadchodzącą wiosną, a mnie po raz tysięczny ogarnęła radość połączona z podziwem i dumą z faktu, że mogłam zapewnić córce taki świetny poczdamski dom z wielkim ogrodem. Sama przecież wychowałam się w azbestowym bloku w Berlinie. Nasz tamtejszy ogród składał się wyłącznie z trzech skrzynek na kwiaty, obsadzonych pelargoniami, bratkami oraz papierosowymi petami.

Alex oczekiwał Lilly przy własnoręcznie wykonanej klatce dla świnki morskiej.

Ze swoją trzydziestką na karku ciągle jeszcze był diabelnie przystojny - niczym młodsza wersja Brada Pitta, tylko na szczęście pozbawiona nudnego, sennego spojrzenia. Jego wygląd zapewne bez reszty by mnie zauroczył, gdyby między nami wszystko się układało. Niestety, nasz związek w tym momencie wydawał się równie stabilny, jak Związek Radziecki w 1989 roku. I miał tyle samo widoków na przyszłość.

Alex nie radził sobie z faktem poślubienia kobiety sukcesu, a ja z dzieleniem życia ze sfrustrowanym mężczyzną - gosposią, który każdego dnia coraz bardziej nie mógł znieść wysłuchiwanie od innych matek spotkanych na placu zabaw, że „to taaaakie wspaniałe, kiedy mężczyzna troszczy się o dzieci, zamiast gonić za karierą”.

Toteż nasze wspólne rozmowy często zaczynały się od słów: „Twoja praca jest dla ciebie ważniejsza od nas”, a kończyły jeszcze częściej na: „Tylko nie waż się rzucać talerzem, Kim!”.

Kiedyś kolejny etap przynajmniej stanowił pojednawczy seks. Obecnie nie kochaliśmy się już od trzech miesięcy. A szkoda, bo nasz seks był wręcz doskonały, w zależności od formy w danym dniu. To o

czymś świadczyło, bo seks uprawiany ze wszystkimi facetami, których miałam przed Alexem, nie stanowił raczej okazji do wewnętrznego dzikiego tańca radości.

- Oto twój prezent, przepiękna panienko - powiedział z uśmiechem Alex i wskazał na chrząkającą w klatce świnkę.

- Świnka morska! - zawołała Lilly z zachwytem.

Ja natomiast, zdegustowana, dodałam w myślach: „cholernie ciężarna świnka morska”. Podczas gdy rozradowana Lilly podziwiała swoje nowe zwierzątko domowe, chwyciłam Alexa za ramię i odciągnęłam na bok.

- To bydlę za chwilę się rozmnoży - rzekłam do niego.

- Skądże, jest tylko troszkę za gruba - uspokajał Alex.

- A tak w ogóle, skąd ją masz?

- Ze schroniska dla zwierząt - padła bezczelna odpowiedź. - Dlaczego nie kupiłeś w sklepie zoologicznym?

- Bo tamte zwierzęta są tak samo sfrustrowane jak te twoje typy z telewizji.

Och! Miało mnie to dotknąć i tak też się stało. Nabrałam głęboko powietrza, spojrzałam na zegarek i zduszonym głosem powiedziałam:

- Nawet nie trzydzieści sekund!

- Jak to: nawet nie trzydzieści sekund? - zapytał poirytowany Alex.

- Nie minęło jeszcze pół minuty od rozpoczęcia rozmowy, a już robisz mi wyrzuty, że idę dzisiaj na to rozdanie nagród!

- Nie robię ci wyrzutów, Kim. Ja po prostu mam wątpliwości co do twoich priorytetów - odrzekł Alex.

To wszystko okropnie mnie zdenerwowało, bo przecież tak naprawdę chciałam, żeby Alex towarzyszył mi na rozdaniu nagród telewizyjnych. Ostatecznie miał to być najważniejszy dzień w mojej karierze. A w takiej chwili, do jasnej cholery, mój mąż powinien być u mego boku! Ja - niestety - nie mogłam zakwestionować jego priorytetów, bo chodziło w nich przede wszystkim o wyprawienie urodzin Lilly. Powiedziałam więc ze złością:

- Ale ta głupia świnka jest przecież w ciąży!

- Zrób jej test ciążowy - zaproponował oschle Alex i podszedł do klatki. Patrzyłam na niego wściekłym wzrokiem, podczas gdy on wyciągnął świnkę i podał uszczęśliwionej Lilly na ręce. Oboje karmili zwierzątko mleczem. A ja stałam obok. Na swego rodzaju uboczu,

które ostatnio coraz częściej okazywało się moim stałym miejscem w naszej małej rodzinie. Niezbyt przyjemnym miejscem.

I teraz to ubocze skłoniło mnie do refleksji nad własnym testem ciążowym. Kiedy w owym czasie nie nadchodził okres, przez sześć tygodni starałam się z nieludzką wręcz siłą wypierania ignorować ten fakt. W siódmym tygodniu pognałam z samego rana do apteki ze słowami „cholera, cholera, cholera” na ustach. Kupiłam test, w takim samym tempie wróciłam do domu, z przejęciem upuściłam test do toalety, pobiegłam ponownie do apteki, kupiłam nowy, znów pognałam do domu, nasikałam na paseczek i musiałam odczekać minutę.

To była najdłuższa minuta w moim życiu.

Minuta u dentysty jest wystarczająco długa. Minuta Musikantenstadl (Kultowy niemieckojęzyczny (pochodzący z Austrii, a nadawany także w Niemczech i Szwajcarii) program muzyczny z lat osiemdziesiątych, nadawany do dzisiaj, promujący oprócz muzyki klasycznej i rozrywkowej także muzykę ludową, w Polsce nazywaną często „niemieckimi szlagierami” (przyp. tłum.) jest jeszcze dłuższa. Ale minuta, której potrzebuje głupi test, by się zdecydować, czy zechce pokazać jeszcze jedną kreseczkę, czy nie, jest najcięższą próbą cierpliwości na świecie.

Ale jeszcze cięższy do zniesienia okazał się dla mnie widok owej drugiej kreseczki.

Zastanawiałam się nad aborcją, ale jakoś nie mogłam znieść tej myśli. Pamiętam, jak moja najlepsza, wówczas dziewiętnastoletnia, przyjaciółka Nina była zmuszona uczynić to po powrocie z wakacji we Włoszech i jak bardzo z tego powodu później cierpiała. Byłam w stu procentach pewna, że mimo wszystkich trudności, do jakich przyzwyczaiła mnie praca prowadzącej telewizyjny talk - show, nie poradziłabym sobie z udręką wyrzutów sumienia tak dobrze jak Nina.

Nastąpiło więc dziewięć miesięcy podczas których całkiem się pogubiłam. Kiedy wpadałam w panikę, Alex troszczył się o mnie nad wyraz czule i wprost nieprawdopodobnie cieszył się na to dziecko. Takie jego zachowanie z kolei jeszcze bardziej mnie rozwścieczało, bo czułam się wówczas tym bardziej wyrodną przyszłą matką.

W ogóle cały proces ciąży był dla mnie czymś niezmiernie abstrakcyjnym. Patrzyłam na ultrasonograf i czułam kopnięcia w

brzuchu. Ale że we mnie, w środku, rośnie mały człowieczek, mogłam pojąć tylko w bardzo rzadkich i krótkich momentach szczęścia.

Przez większość czasu byłam zajęta rozprawianiem się z mdłościami i huśtawką hormonów, a także kursem w szkole rodzenia, podczas którego miałyśmy „śledzić” swoją macicę.

Sześć tygodni przed porodem przestałam pracować i leżąc na sofie, miałam wrażenie, że tak właśnie musi czuć się wyrzucony na plażę wieloryb. Dni wlokły się niemiłosiernie, a kiedy odeszły mi wody, pewnie odczułabym ulgę, że nareszcie się zaczęło, gdybym akurat nie stała w supermarkecie w kolejce do kasy.

Zgodnie z udzieloną przez lekarza instrukcją postępowania w takich przypadkach, położyłam się od razu na zimnej podłodze. Klienci stojący wokół mnie rzucali komentarze w rodzaju: „Czy to nie jest ta superprezenterka Kim Lange?”, „Mało mnie to wzrusza, grunt, że otwierają drugą kasę” oraz „Cieszę się, że nie muszę sprzątać tego świństwa”.

Karetka przyjechała dopiero po czterdziestu trzech minutach, podczas których rozdałam kilka autografów oraz wyjaśniłam kasjerce, że ma fałszywy obraz męskich prezenterów programów informacyjnych („Nie, nie wszyscy z nich to geje”).

Kiedy przywieźli mnie na porodówkę, rozpoczęłam dwudziestopięciogodzinny poród. Między potwornymi skurczami położna zachęcała mnie słowami: „Myśl pozytywnie. Każdy skurcz jest pożądanym!”. A mnie w bolesnym amoku huczało w głowie: „Jeśli to przeżyję, zabiję cię, głupia babo!”.

Wydawało mi się, że umieram. Bez Alexa i jego uspokajającego podejścia chyba nie dałabym rady. Powtarzał zdecydowanym głosem: „Jestem przy tobie. Zawsze!”. Ja natomiast ścisnęłam jego dłoń tak mocno, że jeszcze przez wiele tygodni nie mógł nią swobodnie poruszać. (Pielęgniarki zdradziły mi później, że zawsze przyznają punkty za troskliwość mężczyzn wobec swoich żon w ciężkich godzinach porodu. Alex uzyskał sensacyjny wynik 9,7 punktu. Dotychczasowa średnia ocen wynosiła 2,73).

Kiedy po ogromnych mękach lekarze położyli mi na brzuchu wymiętą od porodu Lilly, wszystkie bóle odeszły w niepamięć. Nie widziałam jej, bo jeszcze mnie opatrywano, ale czułam delikatne, pomarszczone ciało. I ta chwila była najszczęśliwszą w całym moim życiu.

Teraz, pięć lat później, Lilly stała przede mną w ogrodzie, a ja nie mogłam wspólnie z nią świętować jej urodzin, bo musiałam jechać do Kolonii na uroczystość rozdania nagród telewizyjnych.

Przełknęłam ślinę i z ciężkim sercem ruszyłam w stronę mojej malutkiej, która właśnie wymyślała imię dla świnki („Będzie się nazywała Pipi, Bączek albo Barbara”). Dałam jej całusa i obiecałam:

- Jutro spędzę z tobą cały dzień.

Alex skomentował pogardliwie:

- Przecież jeśli dostaniesz tę swoją nagrodę, jutro przez cały dzień będziesz udzielała wywiadów.

- No to spędzę z nią poniedziałek - odparłam urażona.

- W poniedziałek masz posiedzenie redakcji - zripostował.

- Opuść sobie.

- Bardzo prawdopodobne - rzucił Alex z sarkastycznym uśmiechem, który wywołał u mnie nieodpartą chęć wepchnięcia mu w usta laski dynamitu. Całość zwięźczył słowami: - Nigdy nie masz czasu dla małej.

Kiedy Lilly usłyszała te słowa, jej smutne oczy zdawały się mówić: „Tatus ma rację”. Przeszyło mnie to do szpiku kości. Tak bardzo, że zadrzałam. Niepewnie pogłaskałam Lilly po włosach i powiedziałam:

- Przrzekam, że wkrótce spędzimy razem wspaniały dzień. Dziewczynka uśmiechnęła się niewyraźnie. Alex chciał coś powiedzieć, ale spojrzałam na niego tak przenikliwie, że rozsądnie się rozmyślił. Najprawdopodobniej wyczytał z moich oczu dynamitową wizję. Raz jeszcze mocno przytuliłam Lilly, przeszłam przez taras [Z Pamiętników Casanovy: W moim sto trzydziestym życiu jako mrówka udałem się wraz z kompanią na powierzchnię. Na polecenie królowej mieliśmy zbadać terytorium wokół naszego królestwa. Maszerowaliśmy w palącym upale po rozgrzanym słońcem kamieniu, gdy nagle w ułamku sekundy nastąpiło zaćmienie w niemal apokaliptyczny sposób. Zwróciłem oczy ku niebu i mój wzrok padł na piętę kobiecego sandała, nieuchronnie opadającą na nas. Niczym osuwające się na głowę niebiosy. Przemknęła mi przez głowę myśl: „Znow muszę umrzeć tylko dlatego, że jakiś człowiek niedostatecznie zważa na swoje kroki”.] do domu, kilka razy odetchnęłam głęboko i zamówiłam taksówkę na lotnisko.

W tym momencie jeszcze nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak trudno będzie mi spełnić daną Lilly obietnicę.

Rozdział 2

NA MIEJSCU CZWARTYM W RANKINGU NAJBARDZIEJ ŻAŁOSNYCH momentów w tym dniu wylądowała moja konfrontacja z lustrem w lotniskowej toalecie. Chwila była straszna nie dlatego, że po raz kolejny zauważyłam zbyt wiele jak na trzydziestodwulatkę zmarszczek wokół oczu, a także nie z powodu włosów jak siano, które całkowicie opierały się wszelkim próbom nadania im jakiegoś fasonu - na dwie godziny przed uroczystością miałam to wszystko poprawić u mojej stylistyki Lorelei. Moment był naprawdę okropny, bo złapałam się na rozważaniu, czy wydam się dziś Danielowi Kohnowi wystarczająco atrakcyjna.

Daniel, podobnie jak ja, został nominowany w kategorii „Najlepszy prowadzący programów informacyjnych”. Był wprost nieprzyzwoicie przystojnym brunetem, który w przeciwieństwie do większości prezenterów w naszym kraju zachowywał się szarmancko i w sposób zupełnie naturalny. Daniel, w pełni świadomy swojego oddziaływania na kobiety, wykorzystywał je z ogromną przyjemnością. Za każdym razem, gdy spotykał mnie na jakimkolwiek przyjęciu, spoglądał mi głęboko w oczy i mówił: „Zrezygnowałbym ze wszystkich innych kobiet, gdybyś ty mi uległa”.

Oczywiście ta wypowiedź zawierała w sobie tyle samo prawdy co stwierdzenie: „Na Biegunie Południowym żyją różowe słonie”.

A jednak jakaś częśćka mnie życzyła sobie, aby to było prawdą. Kolejna marzyła nawet, aby odebrać tę Niemiecką Nagrodę Telewizyjną, następnie przejść pewnym krokiem z lekko triumfalnym uśmiechem na ustach koło stolika Daniela, a wieczorem uprawiać z nim w hotelu dziki seks. Godzinami. Aż obsługa hotelowa zaczęłaby walić w drzwi, z powodu skarg rockowej kapeli grającej za ścianą, od której okazalibyśmy się głośniejsi.

Jednak największa częśćka mnie nienawidziła siebie za myśli obu pierwszych częśćek. Gdybym wylądowała z Danielem w łóżku, prasa z całą pewnością zwietrzyłaby ten romans, a ja, jako wyrodna matka, ostatecznie złamałabym serce małej Lilly. Moja nagła chęć przespania się z Danielem wywołała u mnie tak ogromne wyrzuty sumienia, że przez następnych dwadzieścia lat nie chciałam oglądać swojej twarzy w lustrze.

Szybko umyłam więc ręce, wyszłam z toalety i ruszyłam w stronę bramki. Tam Benedikt Carstens powitał mnie wylewnym: „To będzie nasz dzień, słodziutka!”, i uszczypnął mnie mocno w policzek.

Zawsze wytwornie ubrany Carstens był szefem redakcji oraz moim nauczycielem. Moim jakby osobistym mistrzem Yodą, ale wyrażał się zdecydowanie składowiej. Odkrył mnie w berlińskiej rozgłośni radiowej, w której pracowałam zaraz po studiach. Na początku byłam tam tylko nic nieznaczącą redaktorką. Pewnego niedzielnego poranka główny prowadzący nie przyszedł jednak do pracy. Podobno podczas nocnego dubbingu głośno wyraził swoje zdanie na temat matki jednego z tureckich dyskotekowych ochroniarzy - stwierdził, iż jest ona zapchlona suką.

Musiałam spontanicznie zastąpić tego długotrwale niedysponowanego mężczyznę i dzięki temu po raz pierwszy w moim życiu „Właśnie minęła szósta, Kim Lange, dzień dobry” poszło w eter. Od tego momentu wpadłam w nałóg. Uwielbiałam nagły skok adrenaliny, wywoływany zapaleniem się czerwonego światełka. Odkryłam swoje powołanie!

Carstens przez kilka miesięcy śledził moje zawodowe poczynania, by ostatecznie mnie odszukać, stwierdzić: „Pani ma najlepszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem” i dać mi pracę w najatrakcyjniejszej stacji telewizyjnej w Niemczech. Nauczył mnie, jak najlepiej prezentować się przed kamerą, i pokazał to, co okazało się absolutnie najważniejsze w tym zawodzie: jak wygryzać z pracy kolegów.

W tej ostatniej dyscyplinie stałam się prawdziwą mistrzynią pod kierunkiem Carstensa i tym samym zyskałam redakcyjny przydomek: Ta - która - prze - do - przodu - po - trupach - deptając - je - ostatecznie. Ale jeżeli to była cena za życie zgodne z własnym powołaniem, płaciłam ją z najwyższą chęcią.

- Tak, to będzie nasz dzień - powiedziałam do Carstensa z wymuszonym uśmiechem. Przyjrzał mi się i spytał:

- Co z tobą, słodziutka?

A ponieważ nie bardzo mogłam odpowiedzieć: „Hm, chcę się przespać z Danielem Kohnem z konkurencji”, odparłam tylko:

- Nic, wszystko w porządku.

- Nie musisz udawać, wiem dobrze, co jest grane - odrzekł. Wezbrała we mnie panika. Wiedział o mnie i Danielu? Dostrzegł, jak

Daniel flirtował ze mną podczas przyjęcia dla VIP - ów z branży telewizyjnej w siedzibie kanclerza? I że zaczerwieniłam się przy tym niczym fanka wybrana z tłumu podczas koncertu i zaproszona na scenę przez samego Robbiego Williamsa? Carstens się uśmiechnął.

- Na twoim miejscu też byłbym podenerwowany. Nie co dzień jest się nominowanym do Niemieckiej Nagrody Telewizyjnej.

Na chwilę się uspokoiłam - a więc nie chodziło o Kohna. Ale zaraz potem znów przełknęłam ślinę. Przecież naprawdę byłam nieziemsko zdenerwowana, tylko z powodu wyrzutów sumienia w stosunku do Lilly udało mi się o tym nie myśleć przez cały ranek. Ale teraz stres opanował mnie ze zdwojoną siłą. Czy otrzymam dzisiaj nagrodę? Czy wszystkie kamery będą rejestrowały mój promienny uśmiech zwycięzcy? A może w jutrzejszych niedzielnych dziennikach będę tylko „lekką przysadzistą pokonaną z wyraźnym za grubymi udami”?

Moje palce nerwowo zbliżyły się do ust, w ostatniej chwili udało mi się powstrzymać zęby przed ogryzaniem paznokci.

Kiedy przyjechaliśmy do Kolonii, zameldowaliśmy się w Hyatt, prestiżowym hotelu, w którym rozlokowani zostali wszyscy goście zaproszeni na uroczystość rozdania nagród. W pokoju opadłam na miękkie łóżko, z niebywałą prędkością przerzuciłam telewizyjne kanały, aż zatrzymałam się na Pay - TV i zadałam sobie pytanie: któż, do diabła, wydaje dwadzieścia dwa euro na pornograficzny film pod tytułem Tańczę dla spermy}

Zdecydowałam nie składać zbyt wielu szarych komórek na ołtarzu tego zagadnienia i udałam się do hotelowego holu, by wypić jedną z chińskich herbatek uspokajających, zalatujących nieco zupą rybną.

W restauracji pianista grał balladę Richarda Claydermana tak działającą na nerwy, że wyobraziłam sobie nas oboje razem w saloonie na dzikim Zachodzie - on grający swoje melodie, a ja skrzykująca właśnie szajkę zbójcejką. I kiedy w myślach u kowala z Dodge City organizowałam z chłopakami smołę i pióra, zobaczyłam nagle... Daniela Kohna.

Meldował się właśnie w recepcji, a mój puls na ten widok zaczął szaleć. Jedną częścią mnie miała nadzieję, że Daniel mnie zauważy.

Inna modliła się o to, żeby się do mnie wręcz przysiadł. Jednak największa moja część zastanawiała się nad tym, w jaki sposób Daniel

mógłby wreszcie uciszyć te dwie głupie, denerwujące i ingerujące w moje życie poprzednie części.

Faktycznie Daniel mnie spostrzegł i uśmiechnął się. Ta część mnie, która sobie tego życzyła, popadła w niepohamowane radosne upojenie i krzyczała niczym dawniej Fred Flinstone: Jabadabadu!

Daniel podszedł i przysiadł się do mojego stolika, rzucając miłe: „Cześć, Kim”. Częśćka mnie, która o to prosiła, przyłączyła się do pierwszej i teraz śpiewały wspólnie La vita e bella!

Kiedy część numer trzy chciała zaprotestować, dwie poprzednie złapały ją, zakneblowały i wysyczały: „Zaniknij wreszcie dziób, ty zgrzybiała morderczynie przyjemności!”.

- Denerwujesz się już z powodu dzisiejszego wieczoru? - zapytał Daniel, a ja starałam się zatuszować swoje podniecenie i odpowiedzieć jak najbardziej błyskotliwie. Po dłuższej chwili powiedziałam:

- Nie - i musiałam stwierdzić, że taka reakcja pozostawiała jednak wiele do życzenia, jeśli idzie o błyskotliwość.

Daniel był rozluźniony, spokojny.

- Właściwie to nie powinnaś, przecież wygraną masz jak w banku - powiedział to tak szarmancko, że prawie gotowa byłam uwierzyć w szczerą jego intencję. Ale oczywiście w istocie był święcie przekonany o własnym zwycięstwie.

- A kiedy już wygrasz, musimy wspólnie wznieść toast - rzekł.

- Tak, koniecznie musimy - odparłam. Ta odpowiedź, co prawda, znów nie była zbyt głęboka, ale przynajmniej udało mi się złożyć aż trzy słowa w sensowną całość. A to już stanowiło małe postępowanie w kwestii pewności siebie.

- Wypijemy także za moje zwycięstwo, jeśli wygram? - dopytywał się Daniel.

- Oczywiście, że wypijemy - odparłam lekko drżącym głosem.

- W takim razie na pewno spędzimy cudowny wieczór. - Daniel wstał, wyraźnie zadowolony; dostał to, czego chciał. - Przepraszam, ale muszę teraz iść - dodał. - Powinienem się odświeżyć.

Patrzyłam, jak odchodził, widziałam jego wspaniałe tyłek i wyobrażałam sobie, jak fantastycznie musi wyglądać pod prysznicem. Pograżona w takich myślach, tym razem nie powstrzymałam się od obgryzania paznokci.

- Co się stało z twoimi paznokciami? Wyglądają jak po klęsce głodowej - stwierdziła Lorelei, moja stylistka, kiedy w hotelowym salonie fryzjerskim poddałam się jej zabiegom upiększającym. Wokół mnie skoncentrowała się cała żeńska część ludzi z branży: aktorki, prezenterki i ozdóbki prominentów, czyli tak zwane osoby towarzyszące, których jedynym zadaniem jest oszałamiająco wyglądać. Żadna z nich nie została nominowana do jakiegokolwiek nagrody, ale ich głównym i jedynym celem było wygryzanie konkurencji w kategorii „podziwiać i być podziwianym”. Wszystkie życzyły mi powodzenia, naturalnie wcale nie mając tego na myśli. Podobnie jak ja, gdy mówiłam: „wyglądasz cudownie”, „masz doskonałą figurę” albo: „przesadzasz, twój nos wcale nie przypomina lądowiska dla śmigłowców”.

I tak obłudnie trajkotałyśmy wszystkie naraz. Do czasu, kiedy do salonu wkroczyła Sandra Kolling.

Sandra wyglądała jak czwartoligowa podróbka Sabine Christiansen i była moją poprzedniczką jako gospodyni „Nocnych rozmów”. Przejęłam jej obowiązki, ponieważ okazałam się od niej lepsza. I zdolniejsza. Oraz dlatego, że w okolicach piętra dyrektorskiego subtelnie wspomniałam o jej problemie kokainowym.

Każdy w salonie wiedział, że od tego czasu żywimy do siebie zaciekłą nienawiść, jaką oglądać można tylko w amerykańskich tasiemcowych operach mydlanych. Dlatego też wszystkie zgromadzone kobiety jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestały plotkować i spojrzały na nas. Oczekiwały zażartej walki na słowa w wykonaniu dwóch przepelnionych wrogością hien. I wyraźnie cieszyły się na to.

Sandra prychnęła do mnie:

- Tylko ciebie mi tu brakuje!

Nic nie odpowiedziałam. Ale spojrzałam jej prosto w oczy. Patrzyłam długo. Twardo. Lodowato. Temperatura w pomieszczeniu spadła przynajmniej o piętnaście stopni.

Sandra zaczęła się trząść. Nieprzerwanie więziłam jej wzrok, aż nie wytrzymała i opuściła salon.

Panie powróciły do przerwanej paplaniny, Lorelei ponownie wzięła się do stylizacji moich włosów, a moje lustrzane odbicie uśmiechało się do mnie z satysfakcją.

Gdy Lorelei skończyła dzieło, moje włosy wyglądały perfekcyjnie, a pod makijażem wyłącznie archeolodzy doszukaniliby się zmarszczek. Nawet moje zdewastowane paznokcie skryły się pod tipsami. Teraz brakowało mi już tylko sukni; zaraz powinni ją dostarczyć wprost do mojego pokoju. Od Versacego! Cieszyłam się jak głupia na łaśzek, który mógłby kosztować więcej niż małe autko - Versace uszył kreację dla mnie za darmo, specjalnie na tę uroczystość. Przymierzałam suknię już wcześniej w jednym z jego berlińskich butików i byłam całkowicie przekonana, że dzisiejszego wieczoru włożę najlepszą na świecie kreację: przepiękny czerwony odcień, idealnie dopasowana, powiększająca optycznie biust i maskująca uda - czego kobieta może chcieć więcej od sukni?

Siedziałam w hotelowym pokoju, przepelniona radością oczekiwania, i z dumą rozmyślałam o długiej drodze, jaką udało mi się

w życiu przebyć: od dzieciństwa na osiedlu z wielkiej płyty, gdzie Versace uważany jest prawdopodobnie za włoskiego piłkarza, aż do odnoszącej sukcesy prezenterki prowadzącej polityczny talk - show, która być może za dwie godziny odbierze Niemiecką Nagrodę Telewizyjną, spowita w fantastyczną suknię od Versacego, którą nocą zedrze z niej Daniel Kohn, po czym wspólnie będą uprawiać dziki seks...

W tym momencie zadzwonił mój telefon. To Lilly. Prawdziwe tornado wyrzutów sumienia przetoczyło się przeze mnie - Lilly tęskniła za mną, a ja w myślach planowałam zdradę mojego męża, a jej ojca!

Przyjęcie urodzinowe trwało, a Lilly szczebiotała wesoło.

- Najpierw urządziliśmy bieg w workach, potem wyścig z jajkiem, a na końcu bitwę na torty, ale bez tortów.

- Bitwę na torty bez tortów...? - dopytywałam się zdezorientowana.

- Pryskałam się keczupem i obrzucaliśmy sosem majo... i spaghetti bolognese - dorzuciła. Z uśmiechem na ustach wyobraziłam sobie ten zachwyty matek, kiedy przyjadą odebrać swoje dzieci.

- Babcia dzwoniła i też złożyła mi życzenia - oznajmiła Lilly i uśmiech opadł mi z twarzy. Od lat próbowałam wszystkiego, żeby tylko utrzymać moich zdegenerowanych rodziców z dala od własnej rodziny.

Mój kompletnie do niczego nieprzydatny ojciec opuścił nas dla jednego z wielu swoich podbojów, gdy byłem w wieku Lilly. Od tego czasu matka przyczyniała się do zwiększania rocznej sprzedaży alkoholu w osiedlowym sklepiku o jakieś dwanaście procent. Kiedy próbowała udawać „kochaną babcię”, miała jeden cel - wyciągnąć ode mnie jeszcze więcej pieniędzy, oprócz tych, które i tak co miesiąc przelewałam na jej konto.

- Czy babcia była w dobrej formie? - spytałam ostrożnie, bo obawiałam się, że mogła rozmawiać z Lilly już nieźle wstawiona.

- Trochę bełkotała - odparła Lilly spokojnym tonem dziecka, które nigdy nie widziało babci w innym stanie. Szukałam odpowiednich słów, którymi mogłabym wyjaśnić Lilly babciny bełkot. Zanim jednak zdażyłam cokolwiek wymyślić, Lilly krzyknęła niespodziewanie:

- O nie!!! Zamarłam.

- Co się dzieje? - spytałam nerwowo, a tysiące scenariuszy możliwej katastrofy przebiegły mi przez głowę.

- Ten głupi Nils przypalał lupą mrówki [Z Pamiętników Casanovy: Mrówki mają wielu naturalnych wrogów: pająki, karaluchy, małe łotry z lupą. Spłonąłem niczym chrześcijanin w starożytnym Rzymie, a umarłem już po raz wtóry tego dnia. Fortuna nie była dla mnie szczególnie łaskawa. Ostatnia myśl, jaka ukształtowała się w mojej właśnie uciekającej świadomości, brzmiała: „Jeżeli kiedykolwiek nazbieram wystarczającą ilość dobrej karmy, by powrócić na ziemię znów jako człowiek, osobiście pofatyguję się, by każdego nicponia z lupą zdzielić w miejsce, w którym plecy tracą swą szlachetną nazwę”.]!

Lilly rzuciła słuchawkę, a ja odetchnęłam z ulgą, że nie stało się nic złego.

Z tęsknotą pomyślałam o córce i jedno stało się jasne: dzisiejszego wieczoru zdzieranie - ze - mnie - sukni - od - Versacego - przez - Daniela nie ma prawa się zdarzyć.

Zawahałam się, czyby nie zadzwonić do Alexa, żeby mu podziękować za wyprawienie Lilly tak pięknego przyjęcia urodzinowego. Ale im dłużej o tym myślałam, tym bardziej przekonywałam się, że rozmowa z pewnością przerodziłaby się w kłótnię.

Trudno uwierzyć, że kiedyś byliśmy ze sobą szczęśliwi.

Alex i ja poznaliśmy się podczas mojej pomaturalnej wycieczki po Europie. Oboje byliśmy autostopowiczami. On kochał podróżowanie po świecie, ja zgodziłam się na to wyłącznie ze względu na moją przyjaciółką Ninę. On uwielbiał Wenecję, a ja uważałam upał, smród kanałów i plagę much w biblijnym wręcz wymiarze za męczące.

Podczas pierwszego wieczoru w Wenecji Nina zajmowała się tym, co najlepiej potrafi - zawracała Włochom w głowach za sprawą swych anielskich blond loczków. Ja tymczasem zabijałam komary na akord i zastanawiałam się, jak można być tak głupim, żeby zbudować miasto w połowie na wodzie. Czasami musiałam się także opędzać od napełnionych buzującymi hormonami Włochów, których Nina oczywiście podrywała przy okazji i dla mnie. Jeden z nich nazywał się Salvatore. Nosił białą koszulę zapiętą wyłącznie na dwa ostatnie guziki, pachniał tanią wodą po goleniu, a moje non, non rozumiał jako zachętę do inwazji pod moją bluzkę. W geście obrony spoliczkowałam go i krzyknęłam stronzo! Nie miałam pojęcia, co to słowo oznacza, podsłuchałam je po prostu u jakiegoś klnącego gondoliera, w każdym razie rozwścieczyło to niesamowicie Salvatore. Zagroził, że oberwę, jeśli się nie zamknę.

Zamilkłam.

Chwycił mnie za bluzkę. Wpadłam w panikę i poczułam obrzydzenie. Ale nie mogłam nic zrobić. Byłam sparaliżowana strachem.

Dokładnie w momencie, w którym jego dłoń zmierzała do mojej piersi, powstrzymał go Alex. Wyłonił się z nicości. Niczym rycerz z romantycznych bajek, w które dzięki mojemu ojcu jakoś nigdy za bardzo nie wierzyłam. Salvatore stanął przed Alexem z nożem. Bredził coś po włosku i chociaż nic nie rozumiałam, wydźwięk jego słów był jasny: jeśli Alex natychmiast nie zniknie, stanie się głównym bohaterem własnej wersji Śmierci w Wenecji. Alex, który latami trenował dzu - džitsu, kopniakiem wytrącił Salvatore nóż z ręki. Tak mocno, że Włoch zdecydował się wziąć nogi za pas.

Podczas gdy Nina spędzała tę noc na traceniu cnoty, ja i Alex, siedząc nad laguną, przegadywaliśmy całe godziny. Okazało się, że lubimy te same filmy (Dirty Dancing, Naga broń i Gwiezdne wojny), te same książki (Władca pierścieni, Mały książę, Przygody Tomka Sawyera) i nienawidzimy tych samych rzeczy (nauczycieli).

Kiedy słońce ponownie wzeszło nad Wenecją, powiedziałam do Alexa:

- Myślę, że jesteśmy pokrewnymi duszami.

- Ja nie myślę, jestem o tym przekonany - odrzekł Alex.

Boże, jak bardzo się myliliśmy.

Włożyłam telefon z powrotem do torebki i nagle poczułam się całkiem samotna w miękkim łóżu luksusowego pokoju hotelowego. Przerazająco samotna. Przecież dziś powinien być mój wielki dzień, jednak Alex wcale nie dzieli go ze mną. A ja nawet nie mam ochoty do niego zadzwonić.

W końcu zrozumiałam: już się nie kochamy. Ani troszeczkę.

I temu spostrzeżeniu udało się zająć trzecie miejsce w rankingu najbardziej żalosnych momentów tego dnia.

Rozdział 3

Po PIĘCIU MINUTACH MOJEJ DUCHOWEJ ABSENCJI KTOŚ ZAPUKAŁ do drzwi. To goniec dostarczył moją suknię od Versacego. Nadszedł wielki moment - ostrożnie rozpakowywałam ją, zamierzając za chwilę skakać z radości. Jednak nogi przykuło mi do ziemi. Byłam zbyt zszokowana, aby skakać. Suknia miała kolor niebieski! Do jasnej cholery, moja kreacja nigdy w życiu nie miała być niebieska! I do tego bez ramiączek! Jakiś idiota przysłał niewłaściwą suknię! Natychmiast zadzwoniłam do firmy kurierskiej:

- Tu Kim Lange. Dostałam niewłaściwą suknię. - Jak to? - zapytał głos po drugiej stronie słuchawki.

- To ja pytam! - odparłam głosem najwyraźniej wchodzącym na wysokie rejestry.

- Hm... - nadeszło z tamtej strony, a ja oczekiwałam, że do tego dźwięku przyłączy się jeszcze parę słów. Ale nic z tego.

- Może pan zajrzy łaskawie jeszcze raz do dokumentów? - zaproponowałam. Głosem, którym mogłabym ciąć szkło.

- Tak, tak, już patrzę - odpowiedział facet, najwyraźniej znudzony. Dla tego mężczyzny istniały w tym momencie prawdopodobnie ważniejsze rzeczy: robota papierkowa, oglądanie telewizji, dłubanie w nosie.

- Za godzinę muszę być na rozdaniu Niemieckich Nagród Telewizyjnych! - naciskałam.

- Niemieckie Nagrody Telewizyjne... nigdy nie słyszałem - odparł.

- Niech pan posłucha, nie interesują mnie pańskie braki w wiedzy. Albo natychmiast sprawdzi pan, gdzie się podziała moja suknia, albo postaram się, żeby pańska firma nigdy więcej nie dostała zlecenia od branży filmowej!

- Nie ma powodu się tak unosić. Zaraz oddzwonię - powiedział mężczyzna i odłożył słuchawkę.

„Zaraz” oznaczało dwadzieścia pięć minut.

- Strasznie mi przykro, ale pani suknia jest w Monte Carlo.

- Monte Carlo?! - zawyłam histerycznie.

- Tak, Monte Carlo - powtórzył bez cienia emocji. Wytłumaczył mi, że suknia, którą trzymam w rękach, była przeznaczona dla osoby towarzyszącej (eufemistyczne określenie callgirl) pewnego biznesmena z branży software'owej. A teraz ona ma moją kreację. W

Monte Carlo. Nie było zatem najmniejszej szansy, by ją odzyskać. Mężczyzna zaproponował mi w ramach rekompensaty bon na usługi jego firmy, który jednak w tym momencie nie bardzo mógł mi pomóc. Rzuciłam słuchawkę, obrzucając faceta i jego potomków do siódmego pokolenia potokiem przekleństw.

W akcie ostatecznej desperacji przymierzyłam niebieską suknię i stwierdziłam - ku mojemu ubolewaniu - że owa młoda „osoba towarzysząca” była znacznie szczuplejsza ode mnie.

Oglądając się w lustrze, zauważyłam, że obcisła sukienka mocno uwydatniała mój biust i pośladki. Szczerze mówiąc, coś w tym było. Wyglądałam seksownie jak nigdy dotąd, a moje uda wydawały się lepiej zamaskowane, niż wcześniej planowałam. A ponieważ jako wyjście alternatywne miałam tylko dzinsy i bluzkę z golfem, która wskutek fryzjerskich zabiegów Lorelei pełna była kłujących włosków, zdecydowałam się włożyć tę kreację na wieczorną uroczystość. Z narzuconą czarną etolą będzie całkiem znośnie. Tylko nie powinnam się zbyt gwałtownie poruszać.

Tak przyodziana, zjechałam windą do hotelowego holu; okazało się, że efekt był całkiem niezły. Wszyscy mężczyźni gapili się na mnie. I bynajmniej żaden z nich nie tracił ani sekundy na kontemplację mojej twarzy.

Carstens oczekujący mnie przy wejściu do hotelu był pod ogromnym wrażeniem.

- O, rany, słodziutka, ta kiecka zapiera mi dech w piersiach! Poczułam, że suknia opina mnie niczym ciasno zasznurowany gorset.

- Mnie też - sapnęłam.

Nadjechała czarna limuzyna bmw. Szofer otworzył mi drzwi i przytrzymał je przez całe dwie i pół minuty, których potrzebowałam, by rozlokować na tylnym siedzeniu suknię, zważając na to, aby nie pękła wskutek nieprzemyślanych ruchów.

W strugach wieczornego deszczu jechaliśmy przez teren przemysłowy Koln - Ossendorf o nieodłącznym uroku poatomowego armagedonu; tam znajdowało się miejsce dzisiejszej uroczystości - Coloneum. Patrzyłam na opuszczone hale z powybijanymi oknami i znów ogarnęło mnie uczucie samotności.

Usiłując je zwalczyć, chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do domu, ale nikt nie odbierał. Zapewne po raz ostatni gromada małych urodzinowych gości przetaczała się przez dom niczym tornado.

Pewnie wszystkim, jak zawsze, udzielał się dobry humor Alexa. I świetnie się bawili. A mnie przy tym nie było. Czułam się okropnie. Jak zbity pies.

Dopiero kiedy nasza limuzyna sforsowała trzy blokady i zatrzymała się przy czerwonym dywanie, niemiłe myśli zastąpiła wzbierająca adrenalina - naprzeciwko mnie stało ponad dwustu fotoreporterów!

Kierowca otworzył mi drzwi, a ja wydostałam się z limuzyny tak szybko, jak to możliwe (a więc niezgrabnie, w zwolnionym tempie), i stanęłam otoczona największym w moim życiu blaskiem fleszy. Fotografowie przekrzykiwali się: „Tutaj, Kim!”, „Spójrz w tę stronę!”, „Tak jest sexy!”. To było szalone. Podniecające. Upajające.

Do czasu gdy nadjechała kolejna limuzyna. Wszystkie obiektywy w liczbie dwustu jak na rozkaz odwróciły się ode mnie, by uchwycić Veronę Pooth. Zdymisjonowana, słyszałam: „Tutaj, Verona!”, „Spójrz w tę stronę!”, „Tak jest sexy!”.

Carstens i ja zajęliśmy miejsca. Uroczystość się rozpoczęła, a po całej masie obłudnych przemówień i podziękowań Ulrich Wickert zapowiedział w końcu kategorię „Najlepszy prowadzący programu informacyjnego”. Nareszcie! Teraz się zacznij! Serce zaczęło mi łomotać. Mniej więcej tak właśnie muszą się czuć piloci odrzutowców, kiedy przekraczają barierę dźwięku. I przy tym katapultują się z samolotu. I stwierdzają, że zapomnieli spadochronu.

Po krótkim wstępie, z którego na skutek ogromnego zdenerwowania nie zarejestrowałam ani słowa, ogłoszono nazwiska nominowanych:

- Daniel Kohn, Sandra Maischberger i Kim Lange.

Na telebimach można było obejrzeć nas w wielkim formacie, wszyscy staraliśmy się nonszalancko uśmiechać. Jedyńm, któremu udało się być przekonującym, okazał się Daniel.

Wickert rozpoczął.

- Zwycięzcą w kategorii „Najlepszy prowadzący programu informacyjnego” jest... - otworzywszy kopertę, teatralnie zawiesił głos. Serce waliło mi jeszcze mocniej. W rekordowym tempie. Było wręcz bliskie zawału. To było nie do wytrzymania.

W końcu Wickert zakończył pauzę.

- Kim Lange!

Było to niczym uderzenie ogromnym młotkiem, tylko bezbolesne. W najwyższej euforii wstałam i wyściskałam Carstensa, który znów uszczypnął mnie w policzek.

Poddałam się owacji.

I tego właśnie nie powinnam była robić.

Być może wówczas usłyszałabym złowrogie „trzzrrzrzasssssk”.

Albo przynajmniej zastanowiłoby mnie, dlaczego moja najbardziej zatwardziała przeciwniczka Sandra się uśmiecha. Przecież teoretycznie, ogarnięta największą wściekłością, powinna była toczyć pianę z ust.

Zawahałam się dopiero, gdy w drodze na scenę usłyszałam kolejny trzask. Potem drugi. I trzeci. Coraz więcej ludzi chichotało. Z chwili na chwilę szemrzący chichot przeistoczył się w ogromny, niepohamowany wybuch śmiechu.

Przystanąłam na pierwszym stopniu prowadzącym na podium, uświadomiwszy sobie, że jakoś nieco inaczej się czuję. Jakby bardziej przewiewnie. I nie tak opięta. Ostrożnie dotknęłam pośladka. Pękła mi suknia!

Ale to nie wszystko! Aby suknia lepiej leżała, nie włożyłam pod nią bielizny!

A więc tysiącowi pięciuset prominentom ukazał się mój goły tyłek!

I trzydziestu trzem telewizyjnym kamerom!

A tym samym sześciu milionom widzów przed telewizorami!

Rozdział 4

W TYM DRUGIM CO DO JAKOŚCI NAJNĘDZNIJSZYM MOMENCIE dnia powinnam była wyluzowana wejść na scenę. Tam rzucić jakiś żart na temat mojej wpadki, na przykład: „W dzisiejszych czasach trzeba być rozpoznawalnym, by dostać się na szczyt”, i cieszyć się do woli odebraną właśnie nagrodą.

Niestety ów plan przyszedł mi do głowy dopiero po zabarykadowaniu się w hotelowym pokoju.

Szlochając, wyrzuciłam nieprzerwanie brzęczącą komórkę do toalety. A zaraz po niej cały czas dzwoniący pokojowy aparat telefoniczny. Po prostu nie byłam w stanie rozmawiać z dziennikarzami. Ani z Alexem. Nawet z Lilly nie chciałam rozmawiać, na pewno nieziemsko wstydziła się swojej matki. A mnie było jeszcze bardziej wstyd, że ona się musi za mnie wstydzić.

Z całą pewnością następne dni byłyby jeszcze gorsze. Oczyma wyobraźni widziałam już nagłówki gazet: „Niemiecka Nagroda Pośladkowa dla Kim Lange”, „Czy bielizna jest już passe?”, „Nawet gwiazdy mają cellulitis!”.

Ktoś zapukał do drzwi. Zamarłam. Jeśli to dziennikarz, jego również wrzucę do sedesu. Albo siebie.

- To ja, Daniel. Przełknęłam ślinę.
- Kim, wiem, że tam jesteś.
- Nie ma mnie - odpowiedziałam.
- Nie bardzo to przekonujące - odparł Daniel.
- Ale prawdziwe - stwierdziłam.
- Och, Kim, otwórz, proszę. Zawahałam się. - Jesteś sam?
- Oczywiście. Zastanowiłam się przez chwilę, ostatecznie podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Daniel trzymał w dłoniach butelkę szampana i dwa kieliszki. Uśmiechał się do mnie, jak gdyby niedawne Waterloo z moją pupą w roli głównej nigdy się nie wydarzyło. I to było kojące.

- Przecież chcieliśmy wznieść toast - przypomniał i spojrzał w moje zapłakane oczy. Nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa, gdy ścierał mi łzę z policzka.

Uśmiechnęłam się. Wszedł do pokoju. I nawet nie udało nam się otworzyć tego szampana.

Rozdział 5

OD LAT NIE PRZEŻYŁAM LEPSZEGO SEKSU. BYŁO WSPANIALE, fantastycznie, superhiperprzecudownie.

Leżąc po wszystkim w ramionach Daniela, czułam się rewelacyjnie. Okropność! Jak mogłam się tak wyśmienicie czuć? Właśnie zdradziłam własnego męża. I tym samym moją córeczkę.

Nie mogłam tak dłużej leżeć. Wstałam i się ubrałam. Naturalnie nie w podartą suknię, którą zamierzałam wyrzucić jutro do najbliższego kontenera na śmieci. Chwyciłam dzinsy i drapiący golf.

- Dokąd chcesz pójść? - zapytał Daniel.

- Tylko na chwilę, na świeże powietrze.

- Na dole czyhają fotoreporterzy - ostrzegł zatroskany Daniel.

- Idę na dach.

- Mam pójść z tobą? - spytał delikatnie Daniel. Spojrzałam mu w oczy i poczułam zaskoczenie. Wszystko wskazywało na to, że tym razem był szczery. Czy naprawdę coś do mnie czuł? Czy bał się, że skoczę?

- Pójdę tylko na chwilę - wyjaśniłam.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Spojrzał na mnie, a ja nie potrafiłam rozszyfrować jego myśli. Spróbowałam.

- Właściwie nie chciałabym naciskać, więc nie pytam... ale czy ty...

- Tak, będę tu na ciebie czekał - odpowiedział.

Bardzo mnie to ucieszyło. Co prawda wciąż nie byłam pewna, czy można mu zaufać, ale mimo wszystko cieszyłam się.

Włożyłam buty i wyszłam z pokoju. To były moje ostatnie kroki jako Kim Lange.

Rozdział 6

BEZZAŁOGOWY STATEK KOSMICZNY PRZEPROWADZAŁ DLA ROSYJSKICH naukowców eksperymenty medyczne, materiałoznawcze oraz biologiczne. W dniu uroczystego rozdania Niemieckich Nagród Telewizyjnych przestarzały statek został wystrzelony z portu kosmicznego Bajkonur do atmosfery ziemskiej, by tam się spalił. Wkrótce jednak inżynierowie z centrum dowodzenia zauważyli, że kąt wejścia zbyt odbiega od wcześniejszych obliczeń. Zamiast całkowicie spłonąć w atmosferze, zniszczone zostało tylko dziewięćdziesiąt osiem procent statku. Pozostałe dwa procent wylądowało jako szczątki rozproszone po całej północnej części Europy.

Dlaczego opowiadam te brednie? Bo przekłeta umywalka z tego cholernego statku kosmicznego spadła wprost na moją głowę!

Stałam na tarasie na dachu hotelu, spoglądałam na migoczącą w nocy Kolonię i czułam się osamotniona ze swymi pogmatwanymi myślami. Czy Daniel mówił poważnie? Czy powinnam się rozwieść z Alexem? Jak by na to zareagowała Lilly? Czy moje nagie pośladki będą przez następnych czterdzieści lat pokazywane na całym świecie w programach typu „66 niezapomnianych chwil telewizji”?

Nagle spostrzegłam na niebie coś świecącego. Wyglądało pięknie. Jak spadająca gwiazda. Spojrzałam na nią, zamknęłam oczy i wypowiedziałam życzenie: „Niech się wszystko znowu ułoży”.

Mimo zamkniętych powiek widziałam, że owa gwiazda staje się coraz jaśniejsza. Niczym latarnia morska. Narastał hałas. Ogłuszający. Otworzyłam oczy i zobaczyłam płonącą kulę ognia spadającą dokładnie na mnie.

W lot pojęłam, że nie mam najmniejszej szansy na ucieczkę. Zdażyłam tylko pomyśleć: „Co za idiotyczna śmierć”.

Zaraz potem nastąpiło obowiązkowe „życie - przemknęło - mi - przed - oczami”. Szkoda, że nie były to wyłącznie miłe wspomnienia. Przed oczyma mojej duszy przepływały następujące obrazy:

- Mój tatuś kołysze mnie jako małą dziewczynkę na kolanach. Jestem pełna dziecięcego zaufania.
- Tatuś buja mnie na placu zabaw. Wciąż jestem pełna dziecięcego zaufania.
- Tatuś podaje mi bułeczkę.
- Tatuś zostawia nas dla pani pracującej w piekarni. I tyle w kwestii dziecięcego niczym niezmaconego zaufania.

- Robię мамie śniadanie - mam siedem lat.
 - W szkole jestem outsiderką.
 - Poznaję Ninę. Jest taka sama jak ja. Teraz obie jesteśmy outsiderkami.
 - Zakładam się z Niną o to, która z nas pierwsza straci dziewictwo. Mamy po trzynaście lat.
 - Rok później. Wygrałam zakład. Lepiej byłoby go jednak przegrać.
 - Mój ojciec się wyprowadza. Nie mam pojęcia dokąd.
 - Nina i ja włączymy się po imprezach. Dużo alkoholu. Troszkę ekstazy i ogromny ból głowy.
 - Nareszcie matura. Nina i ja się ściskamy.
 - Poznaję Alexa w Wenecji. Kocham go.
 - Alex, Nina i ja wybieramy się na wspólny urlop. Odkrywam, że ona też go kocha.
 - Ona także nie jest mu obojętna.
 - Alex wybiera mnie. Uff.
 - Wykrzykuję Ninie, że nie chcę jej już nigdy więcej widzieć.
 - Alex i ja bierzemy ślub w kaplicy San Vincenzo w Wenecji. Wprost skaczę ze szczęścia.
 - Narodziny Lilly. Czuję jej skórę na moim brzuchu. Najlepsza chwila w moim życiu. Dlaczego nie może trwać wiecznie?
 - Zapominam o naszej rocznicy ślubu.
 - Kłótnia z Alexem. Alex sprawia Lilly prezent w postaci ciężarnej świnki morskiej.
 - Obiecuję Lilly wspólne spędzenie miłego dnia.
 - Ulrich Wickert wyczytuje: „Kim Lange!”.
 - Pokazuję sześciu milionom ludzi nagie pośladki.
 - Daniel i ja śpimy ze sobą.
 - Wypowiadam życzenie, żeby wszystko znów się ułożyło.
 - Spada na mnie rozżarzona umywalka z rosyjskiego statku kosmicznego.
- Po tej szybkiej podróży przez życie nagle ujrzałam światłość. Tak jak się zawsze słyszy w telewizyjnych reportażach od ludzi, którym na kilka minut ustała akcja serca, a za chwilę ponownie wrócili do życia.
- Ujrzałam światłość. Stawała się coraz jaśniejsza.
- Była cudowna.
- Otaczała mnie.

Przyjaźnie.

Ciepło.

Czule.

Objęłam ją i poddałam się jej.

Boże, jak przyjemnie.

Tak bezpiecznie.

Szczęśliwie.

Znów nabrałam tej dziecięcej ufności.

I w tym momencie jakaś siła odepchnęła mnie od światłości.

Straciłam przytomność.

Kiedy ponownie odzyskałam zmysły, stwierdziłam, że mam ogromną głowę. I okropny odwłok. I sześć odnóży. I parę ekstremalnie długich czułeków.

I to było absolutnym numerem jeden w rankingu zdecydowanie najżałośniejszych chwil tego dnia!

Rozdział 7

KIEDY CZŁOWIEK BUDZI SIĘ W CIELE MRÓWKI, ISTNIEJE TYLKO JEDNA normalna reakcja - nie może w to uwierzyć.

Próbowałam zrekonstruować przebieg ostatnich wydarzeń: spadła mi na głowę ta idiotyczna rosyjska umywalka, potem ujrzałam światłość, ale zostałam stamtąd z powrotem wyrzucona, co oznaczało, że ciągle jestem przy życiu. Na pewno doznałam jakiegoś urazu czaszki. Tak, tak musiało się stać. Z pewnością leżałam w śpiączce i za chwilę usłyszę głosy w rodzaju:

„Funkcje życiowe stabilne”.

„Ale mózg wydaje się nie pracować”.

„Już przygotowuję kolejną transfuzję krwi”.

„Łącznie z zaaplikowaniem adrenaliny, dożylnie”..

„Boże, jaka ona piękna, gdy tak leży”.

„A kim pan jest?”.

„Daniel Kohn”.

Ludzie, nawet w takiej sytuacji myślę o Danielu!

Ale... jeśli byłam w śpiączce, to dlaczego mój mózg wyimaginował sobie, że jestem mrówką? Czy to pozostałości traumy z dzieciństwa? Jeżeli nawet, to jak idiotyczna musi być owa trauma skoro w śpiączce człowiek myśli, że jest mrówką?

Z zadumą podrapałam się lewym przednim odnóżem po czułkach. To spowodowało zmysłową rewolucję. Wszystko wskazywało na to, że tą częścią ciała jednocześnie czułam dotyk, smak i zapach: moja noga okazała się słona, twarda i pachniała koniecznością wzięcia natychmiastowego prysznicza.

Kumulacja bodźców była dla mnie zbyt męcząca.

Pogrążona w panice, szukałam w głowie jakiejś możliwości nawiązania kontaktu z lekarzami i pielęgniarzami. Gdybym się zmusiła i bardzo głośno krzyczała, może wymamrotałabym cokolwiek jako pacjentka w śpiączce. Zauważyliby, że wciąż jestem przy życiu, i uwolniliby mnie z tego koszmaru. Zaczęłam więc wrzeszczeć jak szalona.

- Pomocy!!! Pomóżcie mi!

Mój mrówczy głos był niewiarygodnie krzykliwy. Troszkę podobny do głosu mojej byłej anglistki na krótko przed zamknięciem jej w szpitalu psychiatrycznym.

- Pomocy! Mój mózg nie umarł! Czy ktoś mnie słyszy? - darłam się coraz głośniej.

- Oczywiście, że słyszę. Robisz wystarczająco dużo hałasu - odparł pocziwy głos.

Zamarłam. I ucieszyłam się. Ktoś mnie usłyszał! Lekarze nawiązali ze mną kontakt! Alleluja! O mało nie zatańczyłam wszystkimi sześcioma odnóżami tańca radości.

- Czy możecie mnie wyprowadzić ze śpiączki? - spytałam, pełni nadziei.

- Nie jesteś w śpiączce - odpowiedział ten sam dobrotliwy głos.

Byłam zszokowana. Jeśli nie byłam w śpiączce, to co się dzieje?

I kto ze mną rozmawiał?

- Obróć się.

Powoli odwróciłam się - mój pierwszy obrót o sto osiemdziesiąt stopni na sześciu nogach, których koordynacja jest bez wątpienia trudniejsza niż wsteczne parkowanie ciężarówką, pod wpływem alkoholu w dawce przekraczającej wszelkie normy.

Kiedy w końcu rozplątałam tylne odnóża, zaczęłam trochę bardziej rozpoznawać miejsce, w którym się znajdowałam: byłam niedaleko powierzchni ziemi, w tunelu, który niewątpliwie został wykopany przez mrówki. W tunelu stała też mrówka. Nieprawdopodobnie gruba mrówka. Łagodnie się do mnie uśmiechała. Niczym Święty Mikołaj. Który właśnie najadł się ciasteczek z marihuaną.

- Jak leci?

To była z całą pewnością mrówka, która do mnie mówiła. Teraz już czarno na białym widać, że mój mózg ostatecznie się ze mną pożegnał.

- Zapewne jesteś nieco zdezorientowana, Kim.

- Ty... ee... znasz moje imię? - spytałam.

- Oczywiście - odpowiedziała z uśmiechem gruba mrówka. - Znam wszystkie imiona.

Odpowiedź, która wywoływała jeszcze więcej wątpliwości, ale żadnej nie rozwiązywała.

- Z pewnością chcesz wiedzieć, kim jestem - domyśliła się mrówka.

- Tak, oraz jak mam się wydostać z tego koszmaru.

- To nie jest żaden koszmar.

- Zatem halucynacja?
- Również nie halucynacja.
- No to co? - dociekałam, przeczuwając już, że odpowiedź na to pytanie mi się nie spodoba.
- Twoje nowe życie.

To zdanie wywołało drzenie moich chudych nóg i przerażone dygotanie czułek.

Rozdział 8

- SIDDHARTHA GAUTAMA - POWIEDZIAŁA DOBROTLIWIE GRUBA mrówka.

- Co takiego? - spytałam całkowicie zdruzgotana.

- To moje imię.

Owa wypowiedź odwróciła na chwilę moją uwagę od trzęsącego się ciała. Siddhartha - czy to nie z jakiegoś filmu z Keanu Reevesem? Alex mnie na niego zaciągnął. Fabuła przypominała domoroślą sztukę, na której po dwudziestu minutach człowiek wymyka się do toalety, by tam z ogromnym zainteresowaniem studiować wszystkie napisy na ścianach i drzwiach. W filmie Siddhartha chodzi o...

- Budda - wtrąciła się gruba mrówka. - Budda jest imieniem, które zapewne więcej o mnie mówi.

Nie miałam zbyt dużego pojęcia o Buddzie, może powinnam była bardziej uważać na tym filmie, zamiast myśleć o Keanu Reevesie, który tak smakowicie wygląda z nagim torsem. Ale jedno wiedziałam na pewno.

- Budda nie jest mrówką - oznajmiłam.

- Przyjmuję tę samą formę, w jakiej odradza się dusza człowieka. Ty się odrodziłaś jako mrówka, więc i ja ukazuję się w mrówczej postaci.

- Od... odrodziłam się? - wyjąkałam.

- Odrodziłaś - potwierdził Budda [Z Pamiętników Casanovy: Gdy przed laty Budda obwieścił mi, że od teraz prowadzić będę swe życie, przybrawszy postać pożałowania godnej mrówki, najbardziej ubodła mnie myśl, iż nigdy więcej nie zdołam przeżyć namiętności miłosnych uniesień.].

- Okej, okej - powiedziałam, bliska szaleństwa. - Załóżmy, że we wszystko wierzę, czego oczywiście nie robię, ponieważ to tak absurdalne, że niemożliwością byłoby uwierzyć, więc i ja nie wierzę, nawet jeśli...

- Do czego zmierzasz? - przerwał mi Budda, ja zaś próbowała uformować mój potok słów w uporządkowane zdania.

- Jeśli jesteś Buddą, a ja się odrodziłam... to dlaczego jako mrówka?

- Bo nie zasłużyłaś na nic innego.

- Co to ma znaczyć? Że niby byłam złym człowiekiem? - Czułam wściekłość. Nigdy nie znosiłam impertynencji.

Budda tylko spojrział na mnie z milczącym uśmiechem.

- Dyktatorzy to są źli ludzie - zaprotestowałam. - Politycy, a nawet kierownicy programów telewizyjnych też, ale przecież nie ja!

- Dyktatorzy odradzają się w nieco innej postaci - odparł Budda.
- W jakiej?

- Jako bakterie jelitowe.

Właśnie wyobraziłam sobie Hitlera i Stalina jako bakterie hasające w jelitach, kiedy Budda popatrzył mi głęboko w oczy (i przyoczka).

- Ale ludzie, którzy byli niedobrzy dla innych, powracają na ziemię jako insekty - oświadczył.

- Niedobrzy?

- Niedobrzy - potwierdził Budda. - I ja byłam niedobra dla innych?

- Właśnie.

- W porządku, zapewne nie zawsze byłam idealna. Ale któż, do diabła, jest? - zapytałam ze złością.

- Więcej ludzi, niż ci się wydaje. - I dodał: - Postaraj się zatem zrobić wszystko, co w twojej mocy, by twoje nowe życie okazało się lepsze.

Potem odwrócił się i wesoło pogwizdując, odszedł w stronę wyjścia z tunelu.

Zwyczajnie nie mogłam pojąć: niedobra? Ja miałabym być niedobra dla innych?

- Zaczekaj! - zawołałam i pobiegłam za Buddą. - Jeszcze nie skończyliśmy!

Szedł przed siebie, nie odwróciwszy się nawet.

- Byłam dobra dla innych, nawet bardzo, wręcz bardzo bardzo... - krzyknęłam. - Mam ogromny stos pokwitowań za datki na cele charytatywne...

Gnałam tunelem coraz szybciej, aż tylne odnóża splątały się tak ze środkowymi, że się potknęłam i wpadłam na ścianę. Zanim zdołałam wyswobodzić czułki z wilgotnych grudek ziemi, Budda rozpułnął się już w powietrzu.

Rozdział 9

ZOSTAŁAM WIĘC W TUNELU SAMA, WYŁĄCZNIE W TOWARZYSTWIE własnych myśli, których mniej więcej trzy miliony przeszywały mój mózg i próbowały - wszystkie jednocześnie - przyciągnąć moją uwagę. Początkowo wyglądało jeszcze na to, że argument: „W zeszłym roku byłam nawet na siedmiu galach charytatywnych!” mógłby w tej umysłowej bitwie zwyciężyć. W chwilę później jednak został znokautowany przez słowa: „Kto udzielił tej spasionej mrówce prawa do oceniania mnie?”. Owa myśl na krótką chwilę objęła prowadzenie, jednak ostatecznie na samej mecie wyprzedzona została przez stwierdzenie: „Jasna cholera, ja naprawdę nie żyję!”.

Zanim jednak zdążyłam pojąć istotę tego faktu, moją uwagę skutecznie odwróciło głośnie dudnienie. Brzmiało niczym nadciągająca kompania - co prawdopodobnie wynikało z tego, że naprawdę zbliżała się pewna kompania. Kompania mrówek. Nadeszła stamtąd, gdzie uprzednio zniknął Budda. Na przedzie maszerowała apodyktyczna mrówka - przywódczyni, którą dzięki nad wyraz rozwiniętemu narządowi słuchu umieszczonemu na czułkach mogłam dobrze zrozumieć nawet z pewnej odległości. A wykrzykiwała komunikaty w rodzaju: „Szybciej, wałkonie!”, „Ja wam pokażę!”, „Jeśli mnie nie posłuchacie, wepchnę wam czułki w tylne dziury w odwłoku!”.

Zapewne dobrze by jej zrobiło szkolenie z zakresu pozytywnej motywacji pracowników. Za przywódczynią podążały cztery pracownice. Transportowały coś, co wyglądało na ekologiczny żelek w kształcie misia, taki, jakim zajadał się niegdyś Nils, kolega Lilly. Kolega ten należał zresztą do kategorii „działających na nerwy bachorów”. Przypomniałam sobie moją ostatnią wymianę zdań z tym dzieciakiem, gdy aksamitnym głosem wyjaśniałam mu, że jeśli jeszcze raz nazwie mnie głupią krową, nocą nawiedzi go wstrętny potwór, który mu raz na zawsze zaszyje tę jego złośliwą paszczę.

- Hej, ty, ruszaj z nami! - wydarła się mrówka dowodząca. Spojrzałam na nią.

- Tak, ciebie mam na myśli! - wrzasnęła.

Nie wiedziałam, jak powinnam zareagować, przecież niecodziennie jest się werbalnie atakowanym przez mrówki.

- Do jakiej jednostki należysz?

- Ja... ja nie wiem - odparłam, zgodnie z prawdą, ale także z niemałą konsternacją.

Moje łatwo zauważalne zdezorientowanie trochę złagodziło władczy ton przywódczyni:

- Ach, rozumiem, byłaś w wielkiej mgle.

- W jakiej wielkiej mgle?

- Wielkiej mgle, która od czasu do czasu pojawia się na powierzchni. Większość, których spotka, ginie marnie, a ci, którzy mają tyle szczęścia, co ty, stają się pomyleni albo ślepną. Albo jedno i drugie.

Definicja wielkiej mgły jednoznacznie nasuwała na myśl opryski przeciwko insektom, które i ja zapewne nieraz - daremnie - stosowałam, chcąc się pozbyć mrówek z naszego tarasu.

- Tak... hmm... jestem ofiarą wielkiej mgły - odpowiedziałam.

- Jestem komendantem Krrtx - zagrzmiała mrówka wyjaśniająco.

Niedobór samogłosek w jej imieniu nie zdziwił mnie specjalnie, raczej zastanawiałam się nad nadmiarem blizn widocznych na jej całym ciele. Czyżby nabawiła się ich na wojnie?

- A ty jak się nazywasz? - spytała Krrtx. - Kim.

- Cóż to za idiotyczne imię?

Do moich ośrodków słuchowych dobiegły lekkie chichoty pozostałych członków kompanii.

- Spokój w szeregu! - huknęła Krrtx. Prawdopodobnie nie mogła znieść rozprężenia panującego w oddziale. - Idziesz z nami, Kim - powiedziała, a w jej ustach słowo „Kim” brzmiało niczym najbardziej odrażające przekleństwo.

- Nie, dziękuję - odparłam. Tego mi jeszcze brakowało, nie dość, że jestem martwa, to jeszcze mam taszczyć misiożelka.

- Z nami, ale już!

- Tylko nie tym tonem. - Nie podobało mi się, kiedy ktoś na mnie wrzeszczał. Jeśli dotychczas w rozmowach, w których uczestniczyłam, ktokolwiek stawał się głośny, byłam to z całą pewnością ja.

- A jaki ton ci odpowiada? - spytała Krrtx przesłodzonym głosem.

- Stosowny - odrzekłam.

- IDZIESZ Z NAAAAAMI, ALE JUUUUUUUUUŹ! - Krrtx rozdarła się tak głośno, że moje czułki zawibrowały.

A potem spytała jeszcze nieco bardziej słodkim tonem:

- Czy to było wystarczająco stosowne?

- Nie bardzo.

Mrówka - szef, osiągnąwszy właśnie najwyższe stadium rozwścieczenia, wycedziła:

- Natychmiast ruszaj się i chodź z nami.

- Niby dlaczego?

- Bo w przeciwnym razie skręcę ci kark.

Był to dość przekonujący argument.

Zastraszona, dołączyłam do szeregu i tym samym musiałam czynnie uczestniczyć w niesieniu na plecach kawałka żelowego misia. Był klejący i okropnie śmierdział sztucznym aromatem truskawkowym. Taszczyliśmy go tak przez niekończący się tunel, który prowadził coraz dalej w głąb wilgotnego królestwa podziemia. To było szalenie męczące. Dawno się tak nie napociłam. Jakoś nigdy nie byłam wysportowana. Za każdym razem, gdy Alex pytał mnie, czy potowarzyszę mu w porannym joggingu, niezmiennie odpowiadałam: „Gdyby Bóg chciał, żeby ludzie uprawiali jogging, zadbałby o to, by wyglądali w dresach estetycznie”.

Zasapałam się pod ciężarem żelatynowo - cukrowej bryły, podobnie zresztą jak pozostałe mrówki koło mnie, które jednak skutecznie unikały jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego. To był naprawdę niezłe zastraszony oddział.

Po chwili odezwałam się do młodej robotnicy tuż obok mnie:

- Ty też się odrodziłaś?

Zanim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, dobiegł mnie już wrzask Krrtx.

- Ty, nowa! Wiesz, co robię z tymi, którzy gadają podczas pracy?

- Skręcasz im kark?

- Natychmiast po wyrwaniu czułek!

Im bardziej byłyśmy wykończone, tym bardziej twórcze stawały się groźby Krrtx. Ostatecznie obiecała nawet wyprawiać bardzo nieprzyjemne rzeczy z naszymi gruczołami płciowymi. Byłam jednak zbyt wyczerpana, aby w ogóle jeszcze słuchać. Nogi uginały mi się pod ciężarem kawałka gumowego misia - żelka, czułki wachały mój ostry pot, a ja tęskniłam za gorącą kąpielą z pianą i olejkami aromatycznymi. Choć wiedziałam, że raczej nie spotyka się mrówek w gorącej kąpeli z dodatkiem ajurwedyjskich olejków

aromatycznych. A jeśli nawet - to tylko jako zwłoki topielca, które właśnie znikają w odpływie.

Nareszcie dotarliśmy do końca tunelu, skąd dobiegało potworne buczenie. Z każdym krokiem buczenie słyszałam coraz głośniejsze. Aż moim oczom ukazał się najbardziej zapierający dech w piersiach widok - mrówcza metropolia. Ogromny hol głęboko w ziemi, oświetlony światłem słonecznym, które wpadało przez niezliczone tunele; dzięki moim wrażliwym na światło oczom wydawało się nad wyraz jasne.

Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy mrówek brzęczały, świszczały i buczały jednocześnie.

Każda знаła swoją drogę w stworzonym przez siebie królestwie pełnym ścieżek, hałd pożywienia i wylęgarni. Byłam przytłoczona. Tak musi się czuć każdy, kto wychował się w Koziej Wólce i nagle w godzinach szczytu został przeniesiony do centrum Tokio.

Przyglądałam się latającym mrówkom, które w zwartej formacji przefruwały nad naszymi głowami. Obserwowałam też pracownice, z niezwykle dyscypliną drążące w ziemi małe wnęki. Zadziwił mnie widok żołnierek, które taszczyły pożywienie i układały je w przeogromne zwały. Wszystko robiło wrażenie perfekcyjnie zaplanowanego chaosu. Albo raczej chaotycznie zaplanowanej perfekcji? W każdym razie to było wielkie przedsięwzięcie!

Nagle dwie latające mrówki niczym dwa meserszmity przemknęły nad naszymi głowami w wariackim tempie. Śmiały się przy tym szyderczo:

- O rety, ale te robotnice są ślamazarne!
- Życie bez skrzydeł musi być naprawdę bez sensu.
- Dobrze, że nie jesteśmy samicami.

Krrtx rzuciła im wściekłe spojrzenie i zaklęła:

- Głupie samce! Kompletnie nieprzydatne w tym świecie!

A ja stwierdziłam w myślach, że to zdanie często można usłyszeć także z ust prawdziwych kobiet.

- Jedyne, co potrafią, to spółkować z królową - Krrtx zwymyślała ich ponownie.

Tym razem nie było to zbyt często wypowiedane przez prawdziwe kobiety zdanie.

Podążyłam wzrokiem za latającymi mrówkami. Byłam tak przytłoczona nadmiarem bodźców, że nie słyszałam dalszych

przekleństw Krrtx. A szkoda, bo może wtedy usłyszałabym także to skierowane do mnie:

- Rusz się, bo cię zaraz ugryzę w odwłok!

- Ojej! - krzyknęłam głośno i ponownie ruszyłam z miejsca.

Wreszcie dotarliśmy z naszym misiożelkowym ładunkiem do jednej z gór pożywienia i spostrzegłam, że składa się ona wyłącznie z odpadków, które pozostawili ludzie - tutaj reszka murzynka, tam kawałek czekolady, jeszcze obok połowa karmelka. Ten widok mimowolnie skłonił mnie do pewnej refleksji: czy mrówki też mogą zachorować na cukrzycę?

Kiedy wreszcie dołożyliśmy do tej góry nasz smakołyk, byliśmy wszystkie ledwie żywe. Do tego stopnia, że gdy Krrtx zaprowadziła nas do „sypialni” we wnęce obok żywnościowego wzgórza, cały oddział jak na rozkaz padł i zaczął chrapać. Poza ową młodą mrówką, którą zagadnęłam w tunelu.

- Jestem Fss - powiedziała.

- Cześć, Fss, jestem Kim - odrzekłam.

- To rzeczywiście idiotyczne imię. - Uśmiechnęła się szyderczo.

- I to mówi ktoś, kto się nazywa Fss - odparowałam ze złością. Mrówki naprawdę potrafią całkiem nieźle działać na nerwy.

- Poprzednio pytałaś mnie o coś - Fss na nowo podjęła rozmowę.

Raptem znów stałam się ożywiona. I podekscytowana.

- Tak, chciałam wiedzieć, czy ty też się odrodziłaś?

Może młoda mrówka podzielała mój los? A może wszystkie mrówki były w poprzednim wcieleniu ludźmi? I nie byłam sama?

Przyjrzała mi się, nieznacznie odchyliła głowę na bok i się zamyśliła. Myślała długo. Potem spytała z młodzieńczą naiwnością:

- Co to jest „odrodziłaś”?

I cała moja nadzieja legła w gruzach.

Rozdział 10

MRÓWCZE MIASTO STOPNIOWO OGARNIAŁ SPOKÓJ. BRZĘCZENIE, świszczanie i buczenie ustawało. Nie było to więc miasto z rodzaju tych, które nigdy nie śpią. Tylko ja jedna nie mogłam zapaść w sen, mimo że moje ciało bardzo było tego spragnione.

Nie tak sobie wyobrażałam śmierć. A mówiąc szczerze - w ogóle jej sobie nie wyobrażałam. Za bardzo byłam zajęta życiem w nieustannym pośpiechu.

A konkretnie sprawami nieistotnymi (oświadczenie podatkowe), istotnymi (kariera) i ekstremalnie ważnymi (masaż upiększający). Ostatniemu takiemu masażowi poddawałam się z przyjemnością, podczas gdy Alex z Lilly na przedszkolnej uroczystości wielkanocnej musieli konstruować koszyczki na święconkę...

Lilly! O Boże! Nigdy więcej nie zobaczę mojej małej córeczki!

Całkowicie zaschło mi w gardle... Nie przeżyję chwili, kiedy wyrznie się jej pierwszy stały ząb, nie przeżyję pierwszego dnia w szkole, pierwszego seansu w kinie. Pierwszej lekcji gry na fortepianie. Pierwszej miesiączki...

Okej, z tego mogłabym nawet dobrowolnie zrezygnować.

Ale z całej reszty nie!

Lilly od tej chwili będzie szła przez resztę życia już beze mnie. A ja bez niej.

W tym momencie doświadczyłam na własnej skórze, że nawet mrówki mają serce.

Znajdowało się ono za ostatnimi odnóżami, w grubym odwłoku. I podczas rozmyślań o mojej córeczce piekielnie bolało.

Nagle nocną ciszę przeciął wrzask: „Trzymać go!”. Mrówki wokół mnie budziły się powoli, podenerwowane. Na górze, dzięki wpadającej przez tunel poświacie księżycowej oświetlającej sklepienie, dostrzegłam przyczynę zamieszania, która okazała się mrówką - samcem uciekającym w szaleńczym tempie. Ścigała go gromada innych latających mrówek [Z Pamiętników Casanovy: Po niezbyt emocjonującym akcie miłosnym z królową na jej pytanie: „Czy dla ciebie też było to ekscytujące?” nie powinienem był udzielać tak dalece zgodnej z prawdą odpowiedzi na temat poziomu jej miłosnego kunsztu.]

To był niesamowity spektakl.

Uciekinier chciał dostać się do jednego z tuneli prowadzących przez sklepienie na powierzchnię ziemi. Prześladowcy za wszelką cenę starali się odciąć mu drogę, ale samiec wciąż się wyplątywał z zasadzki, kręcił beczki, korkociągi i nurkował. Chociaż go nie znałam i nie miałam najmniejszego nawet pojęcia, czym zawinił, miałam nadzieję, że uda mu się uciec. Przeczynałam, że w przeciwnym razie źle się to dla niego skończy.

- Dopadną go - powiedziała Krrtx tonem zdradzającym, że przywykła do podobnych sytuacji.

Obecnie rokowania dla uciekiniera przedstawiały się całkiem nieźle: coraz bardziej zbliżał się do tunelu ratunkowego i zaraz byłby w nim zapewne zniknął. Tego mu szczególnie zazdrościłam, też chciałabym mieć skrzydła. Za ich pomocą mogłabym uciec z tego głupiego mrówczego kopca. Być może nawet do mojej Lilly.

Brakowało już tylko kilku sekund, by umykający samiec zniknął na dobre w tunelu, kiedy nagle z bocznych wnęk wyleciało jeszcze ze trzydzieści mrówek.

- Kolejni kochankowie królowej - skomentowała Krrtx. Przez chwilę zastanawiałam się, cóż takiego królowa wyprawia z tymi wszystkimi absztyfikantami, ale szybko doszłam do wniosku, że chyba lepiej jednak nie wiedzieć.

Rozwścieczeni łowcy przetoczyli się w zwartej formacji do uciekiniera i odcięli mu drogę tuż przed wejściem do tunelu.

- A teraz zostanie zabity - oznajmiła Krrtx tym samym tonem „widziałam - to - już - nie - raz” co wcześniej.

Istotnie - wszystkie mrówki ruszyły na zbiega, który zanurkował w tę fruwającą masę i zniknął z pola widzenia. Na scenie pozostała tylko brzęcząca chmura, kręcąca się wariacko wokół własnej osi.

Chwilę później łowcy znów się rozpierzchli na boki, a spomiędzy nich ów niedoszły uciekinier spadał na ziemię niczym kamień. Stracił przytomność? Czyżby nie żył?

- Wynocha! - wydarła się pod naszym adresem Krrtx. Mrówki z mojego oddziału rozbiegły się we wszystkie strony świata. Tylko ja zostałam na miejscu, wpatrując się jak zakłęta w spadającą mrówkę, i dopiero wtedy pojęłam, dlaczego wszyscy uciekli: ona spadała dokładnie na mnie!

Uklucie niczym prąd przeszło moją głowę. To prawdopodobnie mrówczy zmysł ostrzegawczy, który uruchamiał instynkt

samozachowawczy i był o wiele bardziej dokuczliwy niż ludzka migrena. Nawet migrena nieszczęśliwie zakochanych.

Całe moje ciało znajdowało się w trybie ucieczki, mózg jednak myślał coś zupełnie innego - jeśli ta mrówka na mnie spadnie, umrę. A jeśli umrę, uwolnię się od tego koszmaru. Być może.

Trzeba było spróbować, żeby się o tym przekonać.

Stałam w miejscu. Bolesne ukłucia w głowie stawały się coraz dotkliwsze; próbowały mi w ten sposób rozkazać: rusz, do jasnej cholery, swoje śmierdzące małe odnóża!

Jednak przewyciężając ból, stałam niczym wmurowana w ziemię. Ostatnio równie mocno walczyłam ze swoim ciałem, kiedy mając dwanaście lat, przegrałam w „Prawda albo zadanie” i za karę musiałam pocałować grubego Denissa.

- Oszalałaś? - wrzasnęła Krrtx i rzuciła się ku mnie, by uderzeniem swego ciała wypchnąć mnie ze strefy zagrożenia. Bohaterski czyn, którym ryzykowała życie. Krrtx była wprawdzie dowódczynią, jej słownictwo składało się w siedemdziesięciu ośmiu procentach z przekleństw, ale poświęcała się dla podwładnych. Czy po ludzkim przełożonym można się było tego spodziewać? Ja na przykład nie ryzykowałabym życia za swoją redakcyjną asystentkę! (Kiedyś złamałam sobie paznokiec, pomagając grubej Soni - unikałam zatrudniania pracowników atrakcyjniejszych od siebie - wydostać rękaw z niszczarki do papieru. Po tym incydencie zdecydowałam w przyszłości pozostawiać wszystkie Sonie tego świata na pastwę ich niszczarek).

Odważny czyn Krrtx okazał się ostatecznie niepotrzebny: na krótko przed uderzeniem spadająca mrówka ponownie powróciła do życia i jęła energicznie machać skrzydełkami, z których lewej nieco drżało - było naddarte. Gorączkowe machanie spowolniło wprawdzie upadek, ale przed nim nie uchroniło. Mrówka przeżyła więc twarde lądowanie awaryjne. Spadła tak blisko mnie, że uderzenie wprawilo moje odnóża w wibracje. Poturbowana, spojrzała nieprzytomnie w moim kierunku, ale zdawała się mnie nie zauważać.

Spróbowała ucieczki, lecz jej odnóża ostatecznie odmówiły posłuszeństwa, zaczęła się więc czołgać, wydając przy tym dramatyczne okrzyki bólu, które rozdzierały mi serce.

Krrtx zawołała:

- Brać go! - a pozostałe mrówki z mojego oddziału rzuciły się na biednego uciekiniera. Kopały go odnóżami, gryzły szczękami, bucząc przy tym bojowo - prawdziwa jatka.

Nie mogłam tego znieść, zrobiłam więc to, co większość czyni w takiej sytuacji: odwróciłam wzrok. Zakryłam nawet oczy nóżkami, co było prawdziwym wyzwaniem logistycznym, przy parze oczu i kilku przyoczkach oraz sześciu odnóżach.

Lecz nawet w ten sposób nie mogłam zagłuszyć własnego sumienia.

Czy powinnam była pomóc? Tak jak wtedy Alex w Wenecji, który tak bohatersko interweniował, kiedy obmacywał mnie Salvatore?

Z drugiej strony, tutaj stawką były mrówki, nie Włosi.

A jeszcze z drugiej strony, czy będę potrafiła spojrzeć jeszcze kiedyś w lustro, jeśli teraz nie pomogę?

Ale z drugiej strony tej drugiej strony, jako mrówka prawdopodobnie nie będę już miała sposobności, by spojrzeć kiedykolwiek w lustro.

Z drugiej strony tej drugiej strony drugiej strony, to było wprost nieznośne; tak bardzo, że nie wytrzymałam i wydarłam się na mrówki:

- Wy, świnie!

Mrówki, całkowicie nieporuszone, dalej zajęte były bitwą. W tych warunkach określenie „świnie” prawdopodobnie nie było najlepiej dobranym epitetem.

Wrzasnęłam więc jeszcze głośniej:

- Przestańcie! To nieludzkie!

- Nieludzkie? - zdziwił się uciekinier. Mrówki nadal napierały na niego, ale on zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi. Skoncentrował się wyłącznie na mnie.

- Nieludzkie... tego słowa... mrówki przecież nie znają... Czy pani się... się... także odrodziła?

Jakby mnie prąd poraził. A więc nie jestem tutaj jedynym człowiekiem! Nie jestem osamotniona w swojej doli! I jeśli żyje w tym mrówczym mieście jeszcze więcej zreinkarnowanych ludzi, może moglibyśmy wspólnymi siłami się uratować. Jakoś...?

Próbowałam przeszkodzić pozostałym mrówkom w atakach na byłego człowieka.

- Skończcie wreszcie! Przecież go zabijecie! Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu zareagowała Krrtx.

- Ona ma rację. Wystarczy - zakomenderowała. Mrówki porzuciły więc swoją ofiarę, leżącą bez tchu i zbyt słabą, by cokolwiek powiedzieć. Zdawało się, że resztę energii pochłania mu utrzymywanie kontaktu wzrokowego ze mną. Krrtx stanęła przed niedoszłym zbiegiem, wymierzyła weń swój garbaty odwłok, potrząsnęła nim i trysnęła mu prosto w twarz potężnym strumieniem czarnej cieczy. Kwasu mrówkowego.

- Jak masz na imię? - zdążyłam pospiesznie spytać.

- C... Ca... sa - wydusił w odpowiedzi i popadł w głębokie omdlenie [Z Pamiętników Casanovy: W całej mej dotychczasowej jałowej, mrówczej egzystencji (we wszystkich żywotach) spotkałem na swej drodze tylko troje reinkarnowanych ludzi. Pierwszym był osławiony Dżyngis Chan. Przeżył uprzednio - wedle jego zapewnień - inne wcielenia, jak choćby pchły żerującej na wieprzach. Słyszając to, ubawiłem się wręcz szampańsko. On natomiast trząsał się, jakby rozgniewany moim śmiechem: „Kiedyś kazałby cię wrzucić do wrzącego oleju, ale dziś jestem bardziej pokojowo nastawiony”. To rzekłszy zawiązał węzeł gordyjski na moich czułkach. Od tego czasu starałem się w miarę sposobności unikać bliższych spotkań z tym „pokojowo nastawionym” Chanem. Drugim człowiekiem, którego niedawno spotkałem, była mrówka przedstawiająca się jako Albert Einstein. Albert dzielnie godził się ze swoim losem, dostrzegając jedynie, że wszechświat okazuje się jeszcze bardziej względny, niż wcześniej mógłby to przypuszczać. Trzecią człowieczą mrówką w mym owadzim żywocie, z jaką dane mi było zawrzeć znajomość, była madame Kim. Istota, która miała od podstaw zmienić moją bolesną jak dotąd egzystencję.]

Pozostałe mrówki odholowały nieprzytomnego dezertera. Spytałam małą Fss o jego dalsze losy, na co odparła: - O tym zadecyduje królowa.

- A na co się zdecyduje? - drażylałam.

- Albo rozkaże go publicznie stracić na szubienicy... - Albo...?

- Albo rozkaże powiesić go bez świadków.

Przełknęłam głośno ślinę. To takie podłe: nareszcie poznałam innego człowieka w mrówczej postaci, tylko po to, by uczestniczyć w jego rychłym pogrzebie.

Rozdział 11

PODCZAS GDY NIEKTÓRE MRÓWKI SPOKOJNIE DRZEMAŁY, CHRAPLIWIE wciągając przy tym powietrze, inne wierciły się na wszystkie strony - śniły. Być może o pożywieniu. Albo o niedoszłym zbiegu. Albo o tym, w które otwory ich biednych ciał Krrtx zdolna byłaby wcisnąć swoje własne odnóża.

Tego, że mrówki także potrafią śnić, nie zauważyli dotąd żadni naukowcy. Ale oni i tak nigdy się zbytnio nie angażują. Bo inaczej ci wielmożni panowie już dawno wynaleźliby kawę instant, która jest taka smaczna. Zamiast tego pozwalają jedynie, by statki kosmiczne spadały na głowy niewinnych ludzi. Wielkie dzięki. Wyobraziłam sobie więc, że tym rosyjskim naukowcom, odpowiedzialnym za moją śmierć, przyskam prosto w twarz mrówczym kwasem.

Mój Boże, dopiero wczoraj umarłam, a już zaczynam myśleć jak mrówka.

Wtedy wpadłam w otchłań rozpacz. Rozmyślałam o wszystkich tych chwilach, których nigdy już nie doświadczę jako człowiek - wielkich zakupów na Manhattanie, pocałunków Daniela Kohna zabiegów upiększających, spaghetti gamba w naszej ulubionej włoskiej knajpce, wyznania miłości Daniela...

W tym momencie zorientowałam się, że w moich myślach zdumiewająco często pojawia się Daniel Kohn; a zarazem niezwykle rzadko mój własny mąż.

Ale czy to źle?

Przecież moje małżeństwo było już nieaktualne. A poza tym ja sama już nie żyłam. Mogłam zatem nareszcie spokojnie myśleć o innym mężczyźnie!

Zasnęłam więc ze wspomnieniem niedawnego superhiperprzewspaniałego seksu z Danielem Kohnem.

Miałam dziki sen, w którym znów byłam człowiekiem. Cudowne uczucie. Ponownie miałam jedną parę oczu, dwie nogi, dziesięć palców u stóp z dziesięcioma pomalowanymi paznokciami - wszystko na swoim miejscu. Potrafiłam cieszyć się nawet ze swojego cellulitisu. Aż nagle wyrosła przede mną Krrtx. Wielkości człowieka. Chwycała mnie i zaprowadziła przed Alexa, który objawił się w postaci królowej mrówek. Grzmiącym głosem obwieścił:

- Z powodu zdrady z Danielem Kohnem skazuję cię na śmierć. - Na te słowa setki ogromnych mrówek zaczęły maszerować w moją stronę, ostrząc swoje ogromne zęby.

Obudziłam się z głośnym krzykiem. I wręcz bałam się ponownie zasnąć. Jeszcze gorzej jednak było rozbudzić się, a tym samym zdać na pastwę wyrzutów sumienia względem Alexa. Po długich rozmyślaniach ostatecznie udałam się w - tym razem pozbawione sennych marzeń - objęcia Morfeusza. Tylko po to, by za chwilę zostać obudzoną przez Krrtx.

A ściślej mówiąc: przez jej okrzyk.

- Wstawać!

Ten głos nie tylko ożywiłby umarłych, ale także zmusiłby owych umarłych do porannej gimnastyki. Wszystkie mrówki natychmiast dziarsko wstały. Tylko ja nie mogłam ustać na nogach, byłam po prostu zbyt wykończona.

- Wypałaś się? - pytająco wrzasnęła do mnie Krrtx.

Czy się wypałam? Jej chyba brak piątej klepki? Przecież odpoczywałyśmy zaledwie kilka godzin.

- Musimy postarać się o pożywienie!

Byłam cała obolała po wczorajszej harówce, a za chwilę znów miałabym dźwigać? Czy teraz całe moje życie będzie polegać na taszczeniu ekologicznych misiożelków?

- Buddo! - zawylałam. Chciałam się poskarżyć. Tak przecież nie może już dłużej być. Nie godzi się bez sprawiedliwego procesu sądowego skazywać ludzi na mrówczy żywot.

- Buddo! - zawołałam raz jeszcze.

- Nie ma tu żadnego Buddy - głos Krrtx zdawał się niebezpiecznie poirytowany.

Mimo to krzyknęłam znowu.

- Buddo! Jeśli mnie natychmiast nie uwolnisz z tego bagna, to... to... - Uświadomiłam sobie, że nie znam adekwatnego wyrażenia.

Za to Krrtx miała odpowiednie pod ręką.

- Jeśli natychmiast nie wstaniesz - zagroziła - to...

- Skrećisz mi kark, wyrwiesz czułki itede, itepe... - dokończyłam strapioną, po czym wzięłam się w garść. Ze świadomością, że opasły Budda zapewne więcej się nie zjawi.

Nasz oddział brnął w górę tunelu, w kierunku powierzchni ziemi. Wzniesienie było strome, miejscami przekraczało czterdzieści pięć

stopni. Nawet profesjonalni kolarze pokonują takie wyzwanie, wspomagani dopingiem.

Przed wyjściem z tunelu Krrtx pouczyła nas o czyhających na zewnątrz niebezpieczeństwach:

- Musimy uważać na pająki.

Pająki? Ośmionożne potwory! Są z całą pewnością dziesięć razy większe ode mnie w mrówczym ciele. Te bestie sprawiały mi kłopot nawet wówczas, kiedy były sto razy mniejsze ode mnie i biegały po mojej łazience. Zawsze wtedy wołałam Alexa, który - używając szklanki - eksportował pająka na zewnątrz, podczas gdy ja, drąc się na całe gardło, nalegałam na karę śmierci, żeby to świństwo na powrót nie weszło do domu.

A teraz narażam się na niebezpieczeństwo połknięcia przez pająka? Zrobiło mi się niedobrze.

Krrtx przestrzegła nas także przed „wielką mgłą” i wspomniała jeszcze o czymś. Mianowicie o skupionym promieniu słonecznym.

- Skupiony promień słoneczny? - dopytywałam.

- Przed paroma dniami jedna z naszych latających mrówek została spalona. Ci, którzy przeżyli, donoszą, że słońce stało się nagle przerażająco gorące, a jego promienie skoncentrowały się w jeden i zwęgliły ofiarę.

„Lupa!” - przemknęło mi przez myśl. Lilly opowiadała przecież, jak ten irytujący dzieciak Nils nieźle rozrabiał z lupą na jej urodzinowym przyjęciu. Zakiełkowało we mnie ziarenko nadziei, że znalazłam się w mrowisku przed naszym tarasem. Było to rozważanie wprawdzie nierealistyczne, ale bardzo przyjemne, bo otwierało przede mną szansę ujrzenia Lilly.

Zmęczenie uleciało z mych odnóży, wnet chciałam koniecznie wydostać się na zewnątrz, na powierzchnię, i dowiedzieć się, czy przebywam w pobliżu mojej małej, ukochanej Lilly.

- Naprzód, idziemy! - komenderowała Krrtx. Po raz pierwszy jej słowa mi się spodobały.

Wydobyliśmy się na słońce. Światło oślepiało, ale moje oczy błyskawicznie się dostosowały. Po krótkim marszu pomiędzy nadzwyczaj wysokimi źdźbłami trawy poczułam, że wspinamy się na kamień. Czy jesteśmy na naszym tarasie? Rozejrzałam się. Wszystko wyglądało monstrualnie. Trawnik zdawał się puszcza, drzewa pięły

się tak wysoko, że nie byłam w stanie dojrzeć koron, a przelatujący nieopodal motyl wydał się ogromny niczym jumbo jet.

Szybko odkryłam, że przyoczkami, niczym lornetką, mogę skalować obraz. Dzięki temu otoczenie nie działało na mnie już tak przytłaczająco i mogłam dostrzec, czy źdźbło trawy jest złamane czy też nie, mogłam wyraźnie rozpoznawać liście na drzewach i rejestrować, że wspomniany motyl ma wesoły wyraz twarzy. Najwidoczniej rozkosz sprawiał mu lot w blasku słońca; w każdym razie albo to, albo najadł się konopi indyjskich, potajemnie hodowanych w ogrodzie przez naszego sąsiada.

Aby zdobyć pewność, że istotnie znajduję się na naszym tarasie, musiałam spojrzeć za siebie. Zaczęłam się odwracać. Powoli. Z bijącym sercem.

I ujrzałam... nasz dom!

Po sekundzie radości na jego widok ruszyłam energicznie do przodu. Chciałam koniecznie zobaczyć Lilly. Natychmiast!

Jednak Krrtx zagroziła mi drogę.

- Co ty sobie wyobrażasz? Dokąd biegniesz?!

- Tam, do środka!

- Do grglldd?

- Co? - spytałam.

- To istoty, które rzucają na nas pożywienie.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Mrówki wychodzą na trawę i czekają, aż ludzie upuszczą słodczyce - Karol Darwin zdumiałby się takim obrazem ewolucji.

- Tam z tyłu... - Wskazałam na dom. - ...jest jeszcze więcej pożywienia.

- Być może, niemniej jednak tam nie pójdziemy.

- Dlaczego?

- Dlatego - odparła Krrtx, wskazując pajęczą sieć, która rozciągała się na tarasie dokładnie przed wejściem do domu. Teraz przeklinałam siebie, przecież sama, jeszcze przed wyjazdem na rozdanie nagród, prosiłam sprzątaczkę o przyjście dopiero w następnym tygodniu - sprzątanie przed imprezą urodzinową dziecka nie ma najmniejszego sensu.

Przyjrzałam się dokładnie tej sieci - w istocie wyglądała przerażająco. Ja jednak chciałam do Lilly, niezależnie od tego, czy czyhał tam jakiś pająk, czy nie. I nieważne, czy jest on dziesięć razy

większy ode mnie. A zapewne jest. Nic nie było w stanie mnie powstrzymać! Moja tęsknota była po prostu zbyt wielka. Obejrzałam dokładnie pajęczynę i orzekłam:

- Tam nie ma żadnego pająka.

Krrtx również się przypatrzyła.

- A w środku są ilości pożywienia, o jakich można tylko pomarzyć - zachęcałam.

Krrtx się zawahała.

- Idę - powiedziałam zdecydowanym tonem i podreptałam przed siebie.

- Idziemy z tobą - zdecydowała Krrtx. Podwładne mrówki zatrwożone ruszyły za nią, dając po sobie poznać, że gdyby tutaj panowała demokracja, postąpiłyby zgoła inaczej.

Nasz oddział zbliżał się zatem do pajęczej sieci. Cuchnęło stęchlizną, poszczególne nici powiewały na wietrze. Widok takiego obiektu z bliska, z perspektywy mrówki, był przerażająco majestatyczny. Z naciskiem na „przerażająco”. Sygnał alarmu ostrzegawczego ponownie zadźwięczał w mojej głowie, a ja stwierdziłam, że inni przypuszczalnie poczuli się podobnie - wszystkie mrówki chciały stąd jak najszybciej czmychnąć.

Darem niebios była faktyczna absencja pająka, dzięki której bezpiecznie dotarliśmy do progu drzwi i wdrapałyśmy się do domu.

Wewnątrz nie było widać żadnego człowieka, za to na stole prezentowała się taca z ciastem i innymi słodkościami. Ale po co? Przecież urodziny minęły, dlaczego więc znów podano ciasto?

- Obiecałaś złote góry i oto one - powiedziała Krrtx, uśmiechając się do mnie. Dotychczas nie byłam świadoma, że ona jest zdolna do uśmiechu.

Usłyszałam otwieranie drzwi i słowa Alexa.

- Wejdźcie do środka - jego głos brzmiał niczym grzmoty burzy, na co moje czułki reagowały wibrowaniem. Miałam nadzieję, że mój słuch, podobnie jak oczy, ma funkcję automatycznego dopasowania.

Moja nadzieja się ziściła.

- Mam kawę i ciasto - ponownie dobiegł mnie głos Alexa, lecz tym razem przy normalnym natężeniu dźwięku. Zbliżał się do pokoju.

Jego krokom towarzyszyły inne.

- Grgllld! - krzyknęły symultanicznie spanikowane mrówki i rozpierzchły się we wszystkie strony. Zostałam tylko ja; zobaczyłam

Alexa wchodzącego do pokoju. Odzianego w czarny garnitur. I wtedy uświadomiłam sobie, co oznaczała owa taca pełna ciasta - moją stypę.

Rozdział 12

KIEDY CZŁOWIEK DOWIADUJE SIĘ, ŻE JEST MARTWY, CIĘŻKO MU w to uwierzyć. Ale dopiero kiedy inni także o tym wiedzą, domniemanie staje się brutalną prawdą. Podobnie jak z ogromnym znamieniem na udzie. Jego istnienie samo w sobie nie jest czymś zbyt pięknym, lecz dopiero w momencie odkrycia go przez kochankę podczas miłosnego aktu staje się naprawdę nieprzyjemne. Jednak śmierć jest o wiele bardziej nieestetyczna niż znamię.

Alex nie miał na sobie krawata. Nie znosił krawatów. Nie włożył go nawet na naszą ceremonię ślubną w Wenecji. Uparł się, mimo moich gróźb, że bezlitośnie wykreśli noc poślubną z naszego planu zajęć. Ja natomiast marzyłam o prawdziwych zaślubinach, ze wszystkimi szczegółami i akcesoriami. A do tych właśnie szczegółów i akcesoriów należał między innymi krawat pana młodego.

Naturalnie nie wprowadziłam w życie pogroźek - noc poślubna, owszem, odbyła się i była cudowna. Alex obsypywał pocałunkami całe moje ciało, nawet gigantyczne znamię. Bez najmniejszych nawet oznak zdumienia. Wszyscy pozostali mężczyźni - włączając Daniela Kohna - na jego widok zatrzymywali się na chwilę; Alex ani na milisekundę. Wtedy naprawdę kochał we mnie wszystko. To było wprost wspaniałe.

Alex spoglądał pustym wzrokiem na tacę. Znać było, że mnie oplakiwał - miał wyraźnie zaczerwienione oczy. Zaskoczyło mnie to. A potem się zdziwiłam własnym zaskoczeniem. Być może nie kochaliśmy się już, ale wciąż łączyło nas wspomnienie wspólnych pięknych lat. I w takiej sytuacji płacz był czymś całkiem oczywistym.

- Hej, ty, pomyłona! - zawołała Krrtx. - Chodź tu!

Rozejrzałam się szybko wokół siebie i zauważyłam, że mój oddział znalazł schronienie pod pokrowcem starego fotela, dokładnie za frędzlami.

Zignorowałam Krrtx, bo za Alexem do pokoju wkroczył mój redakcyjny szef Carstens. Jego luksusowa woda toaletowa omiotła moje czułki.

- Mógł pan spokojnie zaprosić także redakcyjnych kolegów Kim - rzekł Carstens do Alexa.

„Też tak uważam” - pomyślałam. Aż nadto chętnie chciałabym zobaczyć ich, gdy mnie oplakują.

- Wtedy musiałbym przez resztę dnia wycierać z podłogi krokodyle łzy.

Cały Alex. Szczery, bezpośredni, dokładny, pełen miłości - po prostu dobry człowiek - który jednak swoim usposobieniem przepełnionym wartościami moralnymi, potrafił całkiem nieźle zaleźć za skórę.

A jednak przez wiele lat uważałam za bardzo przyjemne posiadanie kogoś takiego u boku. W świecie pełnym kłamstw, intryg i sztucznych rzes okazał się jedynym człowiekiem, który w stosunku do mnie zawsze był szczery.

- Chcę dzisiaj przyjąć tylko tych ludzi, którzy naprawdę lubili Kim - mówił dalej Alex. Przyjrzałam się tacy i naliczyłam pięć kawałków ciasta. Niezbyt wielka pociecha z tych „ludzi, którzy naprawdę lubili”. Zszokowało mnie to i zmartwiło zarazem.

Jako następna do pokoju wkroczyła moja matka. Jej ręce drżały, co było pozytywnym znakiem, bo świadczyło o tym, że tego dnia nie wypięła jeszcze ani kropli alkoholu.

- Usiądź, Marto - powiedział przyjaźnie Alex. Zawsze potrafił być miły dla mojej mamy. Mnie nigdy się nie udało, tak długo jak jemu, aby na nią nie nawrzeszczyć. Rekord wynosił siedemnaście minut i dwadzieścia trzy sekundy. Mierzyłam. To było w dniu, w którym solennie postanowiłam sobie możliwie długo unikać kłótni z nią.

- Moja kulka! - usłyszałam wołającą z korytarza Lilly. A w następnej sekundzie do pokoju wpadła pomarańczowa gumowa kulka. Pierwszy strzał ów pomarańczowy pocisk zadał stołowi, potem świsnął mi tuż nad głową - niemal zmiotł mnie sam podmuch - by ostatecznie uderzyć w fotel, tuż obok frędzli. Ciało mrówek zadrżały. Pomarańczowa guma definitywnie nadwreżyła ich zdolność imaginacji.

Mnie nie poruszyła wcale. Po trosze dlatego, że niezależnie od wielkości, jakoś trudno było mi wzbudzić w sobie strach przed gumową kulką, a po trosze z powodu Lilly, która wbiegła do pokoju i tym samym skupiła na sobie całą moją uwagę. Ubrana była w ulubioną zieloną sukienkę (Alex nigdy by jej nie zmuszał do włożenia czerni), przyciskała bardzo mocno do siebie misia, a jej oczy także były czerwone.

Tak szybko, jak tylko potrafiłam, rzuciłam się biegiem w jej kierunku. Chciałam wziąć ją w ramiona. Przytulić. Pocieszyć. „Ja żyję. Nie musisz płakać!”.

- Co ty wyprawiasz, zwariowałaś? - zawołała Krrtx głosem wciąż jeszcze nieco drżącym od gumowego przeżycia. Pytanie było jak najbardziej na miejscu. Przecież będąc mrówką, nie zdołałabym w geście pocieszenia objąć ramieniem nawet najmniejszego palca stopy mojej córki.

Na wskroś przygnębiona, zatrzymałam się i miałam ochotę wybuchnąć płaczem. Niestety, mrówki widocznie nie dysponują żadną łzopodobną cieczą. Nie mogłam zatem ulżyć mej udręczonej duszy nawet szlochaniem. Rozrywało mnie od środka i nic nie mogłam na to poradzić. Każda sekunda widoku zaczerwienionych oczu Lilly tylko pogarszała sytuację. Nie mogąc już dłużej tego znieść, odwróciłam wzrok i zatrzymałam go na stole. Spostrzegłam, że kogoś brakuje.

Czyżby Daniela Kohna?

Nie, jego z całą pewnością Alex nie zaprosił.

Może mojego ojca? Raczej mało prawdopodobne. Nawet nie wiedziałam, gdzie mieszka. Ostatnią pocztówkę dostałam od niego w czasach, kiedy jeszcze David Hasselhoff uchodził za symbol seksu.

- O rany, ile czasu zajęło mi znalezienie miejsca na parkingu - zakomunikował aż nadto znany mi głos. Nina! Co ona robi na mojej stypie?

Jej fryzura była szykowna, a ciało wymodelowane aerobikiem i odziane w elegancką czarną sukienkę, która ciasno opinając ciało próbuje przekazać mężczyznom sygnał: „Na mój widok możesz spokojnie erotycznie fantazjować”.

Nawet jeśli ubierała się tak samo wyzywająco, jak będąc nastolatką, teraz czyniła to z większym wyczuciem stylu. Kiedyś, gdy wychodziłyśmy gdzieś razem, zawsze wyglądałyśmy podobnie. Obie nosiłyśmy dekolty, które groziły ucieczką naszych piersi oraz miałyśmy taką ilość lakieru do włosów, że bezpieczniej było nie bawić się w pobliżu naszych głów zapalniczką.

Nina i ja wyraźnie odstawałyśmy od szkolnego kołtuństwa i delektowałyśmy się statusem outsiderek. Obie pochodziłyśmy z rozbitych rodzin. Obie nie dawałyśmy sobie w kaszę dmuchać. Obie chciałyśmy podbić świat. Mnie udało się dzięki telewizji. A Nina...

hm... jej się nie bardzo udało. Ostatecznie skończyła policealną szkołę dla przewodników turystycznych.

W miłości także nie układało jej się najlepiej. Bilans Niny opiewał na jedną aborcję oraz serię nieudanych związków, z których żaden nie trwał dłużej niż trzy miesiące. Za czasów naszej najprawdziwszej przyjaźni spytałam, czy nie unieszczęśliwia jej taki stan rzeczy. Wzruszając ramionami, odpowiedziała, że odpowiedni dla niej mężczyzna po prostu jeszcze się nie narodził. Mawiała: „Pokaż mi inteligentnego, przystojnego i porządnego mężczyznę, a ja ci pokażę ósmy cud świata”.

Wtedy jeszcze nie podejrzewała, że ósmym cudem świata okaże się dla niej Alex.

Aż w końcu nadszedł wieczór, w którym rozpadła się moja przyjaźń z Niną. Miałyśmy po dwadzieścia pięć lat, Lilly nie było jeszcze na świecie, a ja pracowałam jak szalona na pierwszej posadzie w rozgłośni radiowej. Dlatego dość rzadko pojawiałam się w naszym mieszkaniu w berlińskiej kamienicy. Gdy pewnego dnia z powodu grypy żołądkowej wróciłam nieoczekiwanie wcześniej do domu, z salonu dobiegł mnie śmiech. Alex i Nina doskonale się bawili.

Nie miałam nic przeciwko temu.

Szłam w głąb korytarza - ich paplanina stawała się coraz głośniejsza.

Nadal było wszystko w porządku.

Weszłam do pokoju i zobaczyłam, że mają na sobie wyłącznie bieliznę.

To absolutnie w żadnym razie nie było w porządku.

Starałam się nie robić scen. Chciałam zachowywać się na luzie. Odetchnęłam głęboko, zaczęłam przemówienie i... zwymiotowałam Ninie na stopy.

To było niezbyt cool.

Podczas gdy Nina szybko uciekła do domu, żeby się wykapać, Alex łamiącym się głosem próbował wyjaśnić, że nie spał z nią i w ogóle to był pierwszy raz, kiedy się pocałowali. Przechodził ogromny kryzys na swoich biochemicznych studiach, oblał kilka egzaminów i stracił widoki na ich pomyślne zdanie. Dodatkowo doszło poczucie, że ja się jego studiami nie interesuję, jestem stale przepracowana i zmęczona, przez co nie bardzo nadaję się do rozmowy. Poza tym nie chciał mnie obciążać, a Nina okazała się cierpliwą słuchaczką,

udzielała rad, pocieszała, podnosiła na duchu. I tak jedno pociągało za sobą drugie; pewnie by do tego drugiego wcale nie doszło, gdybym nie była tak zaabsorbowana swoją pracą i zarazem bardziej otwarta, i, i, i...

Nic mnie to nie obchodziło. Czułam się tak bardzo zraniona! Oznajmiłam mu - także łamiącym się głosem - że ma dziesięć sekund na podjęcie decyzji: albo Nina, albo ja.

Wykorzystał pełne dziesięć sekund.

Wreszcie zdecydował się na mnie.

Już nigdy więcej nie spotkałam Niny.

Miałam nadzieję, że nigdy też nie zmyje ze swoich stóp zapachu moich wymiocin.

Ostatnia informacja, jaka do mnie dotarła, dotyczyła podjęcia przez Ninę pracy w Hamburgu.

A teraz znów jest tutaj.

Mój zmysł ostrzegawczy ponownie zaczął się wyraźnie odzywać.

- Kto chce kawy? - zapytał Alex, na co zgłosili się wszyscy, nawet Marta, która, dzięki Bogu, miała na tyle przyzwoitości, że w obecności Lilly nie prosiła o napoje z rodzaju wysokoprocentowych.

- Pomogę ci - zaoferowała się Nina, obdarzając przy tym Alexa uśmiechem.

Był to jeden z tych uśmiechów, które pojawiają się całkiem bez powodu, a kryjąca się za nimi tęsknota jest prawie niezauważalna. W każdym razie mężczyźni nie potrafią tego zauważyć. W przeciwieństwie do kobiet. Także tych kobiet, które odrodziły się w ciele mrówki.

Szalałam z wściekłości. Dopiero od trzech dni nie żyłam. Moje zwłoki jeszcze były ciepłe. Okej, może nie całkiem ciepłe. Ale z pewnością utrzymywały temperaturę pokojową. A Nina już miała chrapkę na mojego męża?

Przy tym bezczelnie zagadnęła moją córkę:

- Masz ochotę na czekoladę na gorąco? Lilly skinęła głową.

- No to ci zrobię - powiedziała Nina, po czym wykonała gest, który sprawił, że wszystkie moje bezpieczniki zaczęły płonąć. Poglaskała Lilly po głowie.

- Zostaw moją córkę w spokoju! - wydarłam się.

Ale usłyszały to wyłącznie mrówki, które ostatecznie utwierdziły się w przekonaniu o moim całkowitym obłędzie.

Zamyśliłam się na dwie sekundy. Może przesadziłam z reakcją?
Może Nina chciała tylko pocieszyć moją córkę?

Ale przecież znałam Ninę - była taka sama jak ja.

A to oznacza, że jeśli czegoś pragnie, dojdzie do celu po trupach.
W tym przypadku po moim.

Chciała Alexa.

I to od zawsze.

Droga do jego serca prowadziła przez naszą córeczkę.

Rozdział 13

JAK OPĘTANA POBIEGŁAM W STRONĘ STOŁU; CHCIAŁAM COKOLWIEK robić. Nie wiedziałam wprowadzić co, ale nie mogłam przecież biernie się przyglądać, jak kradną mi rodzinę! Kiedy dotarłam do stołowej nogi, przyssałam się do niej mocno i zaczęłam wspinać się na górę, podczas gdy Nina i Alex przynosili z kuchni gorące napoje. Lilly poszła do pokoju po coś do zabawy, a Marta wykorzystwała krótką nieobecność małej, żeby golnąć sobie podwójną sherry. Odpowiednio rozochociona, zamęczała Carstensa swoją paplaniną.

- Jest pan jeszcze w telewizji?

Przytaknął.

- Musi pan zrobić reportaż o internetowych giełdach singli. Dla takich kobiet jak ja nie ma tam nic ciekawego.

- Ach, tak? - odrzekł Carstens z ledwo skrywanym brakiem zainteresowania i podniósł filiżankę do ust.

- Tak! - odparła moja matka. - Wie pan, że większości starych baranów, którzy się tam logują, chodzi tylko o seks?

Carstens zachłysnął się kawą.

Marta niewzruszona paplała dalej.

- Nikt nie chce tam normalnie rozmawiać. Sami zboczeńcy. Carstens uczynił to, co zrobiłby każdy w tej sytuacji:

- Muszę iść do toalety - powiedział.

Wstał i wyszedł. Alex natomiast właśnie powrócił z kawą, w asyście Niny niosącej gorącą czekoladę dla Lilly. Nina delikatnie sprawiała już wrażenie pani domu!

Przyspieszyłam kroku i wspinałam się coraz szybciej, Reinhold Messner przy mnie to amator.

- Przemówienie pastora było naprawdę piękne - oceniła Nina.

- O tak, wzruszająco mówił o cierpieniu matki - dodała moja matka.

- Przede wszystkim pięknie podsumował Kim - rzekł Alex. Te słowa na chwilę wstrzymały moją wędrówkę. Cóż takiego pięknego powiedział o mnie pastor Piotr?

- Długo mówił o jej znaczeniu dla społeczeństwa - przypomniała Nina.

Poczułam się mile połączona.

- I o tym, że była dobrą matką - dorzucił Alex.

Irytował mnie brak ironii w jego głosie. Przecież przed trzema dniami zarzucał mi coś zupełnie przeciwnego. Czy teraz naprawdę wierzył w to, że byłam dobrą matką? Byłoby wspaniale. To nieprawdopodobne, ale piękne.

Lilly tymczasem wróciła ze swoim gameboyem. Nina postawiła kakao na stole i powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie jest za gorące?

- Skądże, ma dokładnie idealną Lilly - temperaturę - odparł Alex. Skierowany do Niny komplement sprawił, że wszystko wokół mnie przestało istnieć. Wściekła, wspięłam się na stół i zamierzałam pobiec po miękkiej powierzchni obrusu wprost do Lilly, ale wtem znalazłam się obok niego; obok ciasta!

Mój mrówczy instynkt wołał: „Zdobyc!” i wysyłał rozkazy marszu do moich odnóży. Jak opętana zbliżałam się do ciasta i chwilę później wskoczyłam - wbrew własnej woli - wprost na lepłą polewę czekoladową.

Miałam mrówczy zmysł smaku, więc czynność jedzenia ciasta wywoływała jedyną w swoim rodzaju eksplozję zmysłów. Lepszą niż każdy orgazm - z wyjątkiem tych, które przeżywałam w pierwszych latach związku z Alexem, i tego, którym obdarowała mnie noc z Danielem Kohnem.

Oszołomiona nagłym szczęściem duszy, leżąc na kawałku ciasta, zajadałam się bez końca.

Gdzieś z oddali - jakby zza grubej kotary - zdążyłam zarejestrować głos Lilly:

- Nino, na twoim cieście jest mrówka - ostrzegła.

Nina jednak nie zdążyła na czas zareagować i wraz z ciastem powędrowałam prosto do jej ust.

Rozdział 14

POŁKNIĘCIE PRZEZ NINĘ BYŁO JESZCZE GŁUPSZYM RODZAJEM ŚMIERCI niż trafienie przez umywalkę statku kosmicznego.

Moje życie (mrówki mają tylko jedno) znów przemknęło mi przed oczyma duszy. Tym razem jednak były to obrazy z mojego ponurego żywota mrówki: spotkanie z Buddą, przekleństwa Krrtx, widok wspaniałej mrówczej metropolii, brutalny atak przemocy na reinkarnowanego człowieka, pomarańczowa gumowa kulka, próby Niny zajęcia mojego miejsca w rodzinie.

Kiedy na dotychczasowe życie składają się wyłącznie takie sceny, trudno się martwić z powodu śmierci.

Znów ujrzałam światłość.

Stawała się coraz jaśniejsza.

Była przepiękna.

Otulała mnie.

Delikatniej niż ostatnim razem.

Jeszcze cieplej.

Czulej.

Wtuliłam się w nią i poddałam się jej.

Czułam się tak dobrze.

Bezpiecznie.

Szczęśliwie.

Koszmar nareszcie się skończył.

Na całe dwie sekundy.

Zaraz potem znów byłam mrówką.

Znalazłam się wprawdzie w nowym ciele, które było mniejsze i zwinniejsze, ale ponownie byłam przeklętą mrówką!

Powrót do życia mrówki, nie osiągnij wewnętrznego spokoju i - zamiast tego - bądź sfrustrowana jak nigdy dotąd!

- Witaj - usłyszałam szebiotanie Buddy.

Odwróciłam się. Znowu byłam w tym samym podziemnym tunelu, w którym ostatnio przebudziłam się w nowym ciele. I także tym razem uśmiechał się do mnie niewiarygodnie tłusty Budda w mrówczej postaci. Zdawał się bardzo zadowolony z siebie, ze świata, wręcz z całego uniwersum. W całkowitym przeciwieństwie do mnie.

- MUSIMY... NATYCHMIAST... POROZMAWIAĆ! - nalegałam mocno oburzona.

- Jesteś zmartwiona, bo nie wolno ci było podążyć za światłością
- stwierdził Budda.

To prawda. Ale nie miałam najmniejszej ochoty zdradzać tego przed nim. Zresztą to nie jego sprawa. Znalazłam natomiast pewien temat, który, owszem, dotyczył nas obojga.

- Nie zasłużyłam na to, by znów narodzić się jako mrówka!

- Masz zadziwiające spojrzenie na te kwestie - odrzekł Budda nieco rozbawiony.

- Co prawda troszkę nabroiłam, ale twoja ocena jest zbyt surowa - narzekałam. - Żądam, byś mnie uwolnił od mrówczego bytu.

- Nie mogę tego uczynić.

- Myślałam, że jesteś tu najwyższym guru!

- Tylko ty sama możesz to zrobić.

- Niby jak? - spytałam podniecona. Jeśli istnieje droga ucieczki stąd, chciałam koniecznie otrzymać dokładną jej mapę.

- Drogę odkrywa się po drodze - zaświergotał słodko Budda.

- To brzmi jak przepowiednia w ciasteczku szczęścia - odpowiedziałam zirytowana.

- Być może. - Budda uśmiechnął się delikatnie. - Ale to nie znaczy, że moje słowa są mniej prawdziwe - to rzekłszy, rozpląnął się powoli w powietrzu.

Ten typ wyraźnie zaczynał mi działać na nerwy!

Przez chwilę rozważałam, cóż on takiego miał na myśli, wygłaszając te swoje ciasteczkowe sentencje, nie miałam jednak bladego pojęcia.

Tymczasem przypominałam sobie o mojej stypie. Nina chciała mieć Alexa dla siebie. A on jej ulegnie. Nie dziś, nie jutro. Ale kiedyś z pewnością. Byłam o tym przekonana.

Bo Nina tego pragnęła.

Alex zaś już raz byłby się prawie na nią zdecydował.

Wtedy jeszcze żyłam, ale dzisiaj już nie.

A więc nic nie stało na przeszkodzie, by prędzej czy później Alex poszukał wsparcia u Niny. Wtedy ona stałaby się matką dla Lilly.

Na tę myśl ścisnął się boleśnie mój mały mrówczy żołądek.

Z pewnej odległości usłyszałam tupot wielu mrówczych odnóży i utkane z przekleństw tyrady Krrtx. Jednego byłam pewna - pod żadnym pozorem nie mogę pozwolić zaciągnąć się ponownie do jej

oddziału. Mój mrówczy los muszę chwycić we własne sześć odnóży, by w jakiś sposób uniemożliwić Ninie przejęcie mojej rodziny.

Istniała tylko jedna istota, która mogła mi w tym pomóc. Owa skazana przez królową na powieszenie mrówka, która w poprzednim wcieleniu także była człowiekiem. Być może ona zna sposoby, jak można wpłynąć na życie prawdziwych ludzi, samemu żyjąc pod postacią mrówki.

Z tą myślą pobiegłam przed siebie, zanim Krrtx zdążyła mnie wypatrzeć, i rozpoczęłam moje nowe życie. Życie, w którym Giacomo Casanova odegra bardzo istotną rolę.

Rozdział 15

PĘDZIŁAM PRZED SIEBIE, WPROST DO INTENSYWNIIE TĘTNIĄCEJ życiem mrówczej metropolii, układając przy tym w myślach następujący plan: dowiem się, gdzie znajduje się królewski loch, a wtedy... wtedy... się zobaczy.

Przyznaję, wykoncypowany przeze mnie zamysł nie był nadzwyczaj imponujący. Ale wobec sytuacji, w której się znajdowałam, nie wydawał się także aż tak kiepski. A sytuacja przedstawiała się następująco: nie chciałam sobie nawet wyobrażać Niny wychowującej moją małą Lilly. Zawsze jednak, kiedy próbujemy uciec od jakiegoś obrazu, imaginujemy go z podwójną siłą, i to w najbardziej jaskrawych kolorach. Oczyma wyobraźni widziałam zatem moją słodką córeczkę - malutką, bezbronną istotę, która nocami przytulała się do mnie ze strachu przed Gargamelem (czarodziejem na tyle niekompetentnym, że nigdy nie udało mu się przechytrzyć smerfów)... Nina nie ma prawa zawładnąć Lilly i wychować ją na egoistyczną i bezwzględną kobietę. Na kobietę taką jak... jak... ja?

Poczułam się przyłapana przez samą siebie, nerwowo odpędziłam więc tę myśl, a w zamian jeszcze bardziej przeklełam Ninę.

- Durna flądra! - złorzeczyłam przed siebie.

- Co powiedziałaś? - spytała mrówka - komendant, która wraz ze swoim oddziałem przecięła mi drogę. Była o połowę większa ode mnie i sprawiała wrażenie naprawdę groźnej.

- Ja jestem durną flądram? - Była żywo dotknięta.

Zająknęłam się:

- Ja... tylko... się przejeździłam.

- A co takiego zamierzałaś powiedzieć? - Jurna i mądra - wyjaśniłam mało przekonująco.

- Jurna i mądra? - dopytywała się całkowicie zdezorientowana przywódczyni.

- Jurna i mądra - powtórzyłam.

- A co to ma znaczyć? Sama chciałybyś wiedzieć.

W odpowiedzi zaczęłam dukać:

- Hmm... ja... po prostu nie lubię... kiedy mrówki się... hmm... lenią... i chciałam powiedzieć... że... mądra mrówka jest pracowita i energiczna... czyli... jurna.

- Aha - odparła komendantka, nieszczerze usatysfakcjonowana. Chciałam natychmiast czmychnąć co siłą, lecz ona nadal drażyła.

- Co robisz tutaj w pojedynkę?

- Pracuję.

- Żadna mrówka nie pracuje pojedynczo - odparła dowódczyni i zrobiła niepokojący krok w moją stronę. Poczułam na sobie jej oddech, co wywołało moje głębokie życzenie wynalezienia płynu do płukania jamy ustnej dla mrówek i jego szybkiej ekspansji na rynku.

- Co zamierzasz? - Nie dawała za wygraną.

W głowie wirowało mi od intensywnych prób wymyślenia zadowalającej odpowiedzi. Ostatecznie zaryzykowałam połowę prawdy.

- Szukam... hmm... lochu królowej.

Wtedy spostrzegłam, że uprzednio władcza mrówka nagle zaczęła drzeć.

- Należysz do... do gwardii królewskiej?

- Naturalnie, że należę do gwardii królewskiej - potwierdziłam możliwie autorytarnym tonem. W odpowiedzi mrówka - komendant zaczęła się jeszcze bardziej trząść, jak gdybym okazała się samym diabłem wcielonym. Spodobała mi się ta reakcja. Nadzwyczaj. Tyle respektu i trwogi okazywały mi wcześniej wyłącznie moje asystentki.

- Wybacz mi, kapłanko - rzekła uniżenie przywódczyni i dała oddziałowi nerwowo rozkaz bardzo szybkiego odwrotu. Przestraszone mrówki śpieszyły gorączkowo w górę, w tempie, które pozwalało przewidzieć, że zatrzymają się dopiero, gdy osiągną powierzchnię ziemi.

„Kapłanka” - tak mnie nazwała. Najwidoczniej mrówki także praktykują pewien rodzaj religii. Zastanawiałam się tylko, na czym może ona polegać? Wierzą w jakiegoś boga? W wielu bogów? Może nawet w życie po śmierci?

Dalej podążałam przed siebie krętym korytarzem w poszukiwaniu lochu, którego obecność podejrzewałam we wnęce na prawej ścianie. W tym bowiem kierunku pomaszerowały podwładne Krrtx, odholowując pojmanego.

Za każdym razem, gdy napotykałam nieprzychylnie spojrzenie jakiejś mijającej mnie dowódczyni, wypowiadałam magiczne słowa: "Należę do gwardii królewskiej", co nieodmiennie wywoływało za

każdym razem taką samą pełną strachu reakcją. Nareszcie ktoś czuł przede mną respekt. Zdanie „Należę do królewskiej gwardii” stało się bezsprzecznie moim ulubionym zdaniem. Do tego stopnia, że kierowałam je również w stronę tych komendantek, które wcale na mnie krzywo nie patrzyły. Po prostu sprawiało mi to niezłą frajdę. Niestety przypadkiem wypowiedziałam te magiczne słowa o jeden raz za dużo.

- Należę do gwardii królewskiej.

- My też - odparły trzy mrówki.

Spojrzałam na ich twarze. Oczy miały lodowato zimne, twarde i nieprzejednane. Takie oczy mieliby zapewne kapłani hiszpańskiej inkwizycji, gdyby posiadali ich aż sześć.

- Nie znamy cię - stwierdziła ostrym głosem przywódczyni tych trzech.

- Bo jestem nowa - odpowiedziałam słabym głosem. Wszystkie trzy wymieniły krótkie spojrzenia, których przekaz był łatwy do odgadnięcia: „Ktoś się pod nas podszywa. To ewidentne świętokradztwo. Powinniśmy ją natychmiast i na miejscu unicestwić. Możliwie powoli, inaczej w pełni nie zadośćuczynimy temu zbrodniczemu aktowi”.

Pisk mojego mrówczego zmysłu ostrzegawczego przeszywał mi czaszkę. Mój instynkt samozachowawczy nie zdążył się jeszcze dobrze odezwać, a już gnałam przed siebie. Tak szybko nie biegłam jeszcze nigdy w moim życiu. Krew boleśnie pulsowała mi w głowie, podczas gdy umysł pracował na najwyższych obrotach - „Jak mogę im umknąć? Najlepszym sposobem byłoby zmieszanie się z tłumem. Pośród tysiąca prawie jednakowych mrówek mogę je zmylić. Tak że już mnie więcej nie znajdą. Właśnie. Właśnie tak zro...”.

Nie zdążyłam dojść do „...bie”. Moje prześladowczynie były szybkie niczym amerykańskie oddziały specjalne działające pod wpływem amfetaminy. Powaliły mnie w ciągu sekundy. Postępowały przy tym z niemal chirurgiczną precyzją: wszystkie naraz kopały mnie w odnóża, tak że nie mogłam się poruszać. Ból był wprost niewiarygodny, ale nie mogłam krzyknąć, bo jedna z oprawczyń celnym kopniakiem w gardło unieruchomiła mój aparat mowy. Jakakolwiek religię te mrówki praktykowały, najwidoczniej miłość wobec bliźniego nie należała do jej głównych założeń.

- Czy mamy ją od razu zabić? - spytała jedna kapłanka z wyraźnie słyszalną radością, była bowiem przekonana, że uzyska przyzwolenie; radość ta wywołała u mnie napad drgawek.

- Nie, wrzucimy ją do lochu, do tego drugiego jeńca - zdecydowała mrówka dowodząca i czterema z sześciu odnóży kopnęła mnie raz jeszcze.

"Teraz przynajmniej nie muszę już dłużej szukać lochu" - przemknęło mi przez głowę. I ze świadomością, że szklanka jest do połowy pełna, straciłam z bólu przytomność.

Rozdział 16

KIEDY SIĘ PRZEBUDZIŁAM, STWIERDZIŁAM, ŻE LEŻĘ TWARZĄ W PIASKU, który skrzypiał mi między zębami, niezależnie od siły i częstotliwości moich splunień. Nieco zamroczone, podniosłam się i spostrzegłam, że jestem we wnęce wydrążonej w jednej z podziemnych ścian. Pomieszczenie było całkiem duże, a wysoko nad nim znajdowało się wyjście z lochu, strzeżone przez dwie kapłanki z królewskiej gwardii. Oszacowałam moje szanse wydostania się w sposób niepostrzeżony. Wynik obliczeń wynosił 0,0003 procenta. W przybliżeniu.

Rozejrzałam się wkoło, aż natrafiłam wzrokiem na leżącą w kącie, nieobecny myślami mrówkę z naderwanym skrzydłem. Oprzytomniałam nagle niczym rażona piorunem: to przecież ten reinkarnowany człowiek! Podbiegłam do niego tak szybko, jak potrafiłam, co w rezultacie jednak nie przyniosło olśniewających efektów z powodu moich odnóży wciąż jeszcze obolałych od ciosów kapłanek.

- Dzień dobry - zagadnęłam ostrożnie.

Na krótką chwilę osobnik zaszczycił mnie swym spojrzeniem, po czym ponownie odpłynął.

Nie był zainteresowany moją mrówczą osobą ani na jotę. Wobec tego zmuszona byłam przejść od razu do rzeczy: - Ja też w poprzednim wcieleniu byłam człowiekiem. Wreszcie przykułam jego uwagę.

- Nazywam się Kim Lange.

W jego oczach pojawił się błysk. Nic wprawdzie nie odpowiedział, z pewnością musiał się uporać z całą masą myśli, które w tej chwili kotłowały się w jego głowie [Z Pamiętników Casanovy: Mój umysł z zachwyty podsuwał obecnie wyłącznie jedną wspaniałą myśl - po tylu pełnych niedostatku stuleciach nareszcie spotkałem kobietę! Alleluja!].

- Jak się pan nazywa? - spróbowałam pomóc mu w ich uporządkowaniu.

- Casanova.

- Co takiego?

- Giacomo Girolamo Casanova - mężczyzna celebrował swe imiona.

Istniały trzy możliwości:

1. Naprawdę był kolejnym wcieleniem słynnego Casanovy.

2. Chciał mnie zrobić w konia.

3. Całkiem mu się pomieszało w głowie.

- Zawsze do usług, madame Lange - rzekł z włoskim akcentem, który brzmiał bardziej autentycznie niż mowa właściciela naszej ulubionej włoskiej knajpki w Poczdamie.

Ten były mężczyzna wykonał ukłon, dygając przednimi odnóżami, środkowym prawym natomiast elegancko wirując jednocześnie w powietrzu, jakby zdejmował niewidzialny kapelusz.

- Naprawdę jest pan Casanovą? Tym Casanovą?

- Pani o mnie słyszała? - spytał z prawie perfekcyjnie odegraną skromnością.

- Pan zapewne... umarł dawno temu, jeśli jest pan faktycznie tym Casanovą.

- Dokładnie 4 czerwca 1798 roku.

- Ponad dwieście lat temu.

- Ponad... dwieście... lat? - wyjąkał. Jego pewność siebie zdawała się ulotnić na krótką chwilę, a czułki smutno opadły. Wyglądało na to, że w istocie był Casanovą.

- Przez ten cały czas żył pan jako mrówka? - spytałam ze współczuciem.

- Tak, wciąż od nowa - odparł i wyprostował mężnie czułki. - A obecnie wiodę mój sto piętnasty żywot mrówki.

Emocjonalnej pustki, która rozbrzmiewała w tym zdaniu, nie zdołał przykryć nawet elegancki ton jego głosu.

Sto piętnaste życie. Cóż za straszliwy los. Ten biedny mężczyzna wpadł w niekończącą się pętlę.

„Ja również” - przemknęło mi przez myśl.

Pojąwszy to, usiadłam na ziemi i zrezygnowana zwiesiłam czułki. Co z kolei obudziło w Casanovie duszę kawalera. Położył mi pocieszająco jedną z nóg na głowie i pogłaskał mnie delikatnie.

- Madame, proszę nie wątpić w swój los.

Mówiąc to, przysunął się blisko mnie. Za blisko.

- Hej, czy te tam dotykają właśnie moich gruczołów płciowych? - spytałam z niesmakiem.

- Niechże mi pani wybaczy moje nieokiełznane żądze - odparł i schował tylne odnoże. - Nigdy nie narzucam się kobiecie - kontynuował Casanova [Z Pamiętników Casanovy: Narzucanie się nie

leżało w mojej naturze. Omamione przeze mnie kobiety wkrótce narzucały się same.]

Spojrzawszy w jego oczy, dostrzegłam, iż zraniłam jego dumę. Odetchnęłam głęboko.

- Czy mógłby mi pan pomóc? - poprosiłam.

- Zawsze do usług. - Szarmancki uśmiech na powrót zagościł na jego twarzy.

- Czy ma pan pojęcie, jak można wpłynąć na życie ludzi, będąc mrówką? - zadałam decydujące pytanie.

Casanova zamilkł na krótką chwilę. Ale zaraz rzekł głosem pełnym otuchy:

- Obojętne, w jak trudnej sytuacji pani się znajduje, madame, z pewnością znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Udzielona mi odpowiedź była niestety eufemistyczną wersją wyrażenia: „Nie mam bladego pojęcia”. A więc dotarłam tutaj na próżno.

- A cóż takiego chce pani poczynić z ludźmi? - spytał Casanova. Zawahałam się przez chwilę, czy opowiedzieć mu o moim problemie z Niną, ale brakowało mi odpowiednich słów.

- Nie musi pani niczego tłumaczyć - rzekł. - W każdej chwili możemy się stąd wydostać i dotrzeć do ludzi.

- A niby jak przemkniemy obok tych strażniczek? - powątpiewałam.

Na te słowa Casanova oświadczył, że już raz udało mu się zbiec ze znacznie bardziej strzeżonego więzienia: żelaznej celi w Pałacu Dożów, wtedy w Wenecji w 1756 roku.

- A za co został pan pojmany? - zaciekałam się.

- Ach, powodem było całkowicie banalne błędne orzeczenie sądowe. Oskarżono mnie o niemoralność [Z Pamiętników Casanovy: A wszystko zaledwie z powodu uwiedzenia dwóch sióstr zakonnych z weneckiego klasztoru Santa Maria degli Angeli.].

Casanova w uśmiechu mrugnął oczkiem, a ja musiałam przyznać, że jak na mrówkę, potrafił się nadzwyczaj wdzięcznie uśmiechać.

- Skoro możemy stąd w każdej chwili uciec, dlaczego pan tego dotychczas nie uczynił?

- Brakowało mi motywacji.

- Motywacji? Przecież królowa zamierza pana powiesić!

- Wtedy znów odrodzę się jako mrówka.

- No tak, racja - zauważyłam i zastanowiłam się, czy nie korzystniej dla mnie byłoby również zaczekać na szubienicę. Wtedy wprawdzie nadal byłabym mrówką, ale przynajmniej z dala od tego więzienia, a tym samym być może bliżej Lilly.

Ze zdziwieniem stwierdziłam, że śmierć przez powieszenie może okazać się dla mnie mniej przerażająca niż wizyta u dentysty.

- A kiedy zostaniemy straceni? - dopytywałam się.

- Królowa musi poczekać, aż skończy się jej okres płodny.

- A kiedy to nastąpi?

- Za kilka tygodni.

- Nie mam aż tyle czasu! - zawołałam.

- Musimy zatem postarać się uciec z tego lochu - odparł Casanova, wyraźnie ożywiony wizją przygody.

- Ale jak?

- Podobnie jak kiedyś przy mojej pierwszej próbie ucieczki z tego okropnego weneckiego więzienia - oznajmił. - Tunelem.

Wspólnie z Casanovą zaczęliśmy więc kopanie tunelu, nie wiedząc, dokąd on prowadzi. Casanova trafnie jednak komentował ten drobny mankament - wszędzie jest lepiej niż w więzieniu.

Byliśmy poza zasięgiem wzroku kapłanek stojących na górze, przy wyjściu z lochu. Kopaliśmy w martwym punkcie ich pola widzenia, zachowując się przy tym nadzwyczaj cicho. Szeptem spytałam Casanovę o religię praktykowaną przez mrówki.

Casanova odpowiedział z uśmiechem.

- Boginią tutaj jest królowa. I nikt poza nią. Podobnie jak faraoni w starożytnym Egipcie.

Podczas gdy ja oddawałam się refleksji na temat bóstwa i jego prawdziwego spełnienia w tejże religii, Casanova zawołał:

- Ziemia staje się luźna, zaraz wykopujemy dziu...

Oboje przez otwór runęliśmy w dół. Wprost na królową, oddającą się właśnie miłosnym uciechom wraz z kilkoma latającymi mrówkami. The Queen was not amused. (The Queen... - Królowa nie była zadowolona. Nawiązanie do słów królowej Wiktorii: We are not amused (przyp. red..))

Rozdział 17

- HEJ, TY! !! - WYDARŁA SIĘ, WLEPIAJĄC WZROK W CASANOVE.

- Widzę, że wasza wysokość przypomina mnie sobie - Casanova uśmiechnął się, imponująco opanowany, zważywszy na fakt, że znajdujemy się przed królową, której właśnie zgotowaliśmy coitus interruptus (Coitus interruptus (łac.) - stosunek przerywany (przyp. red.)).

- Ty... ty... zaraz być martwy! - jąkała się dotknięta do żywego królowa.

- Widzę, że wciąż potrafi się pani wybornie wypowiadać - ironizował Casanova.

Królowa wyrosła przed nami w całej okazałości. A była mniej więcej sześć razy od nas większa i sprawiała wrażenie potwora z filmu science fiction z lat pięćdziesiątych. Tylko niestety na żywo i w kolorze.

- Łapać ich! - zawołała do straży, stojącej u drzwi jej komnaty której ściany składały się z pieczołowicie wygładzonego piasku. W ten sposób prawdopodobnie demonstrowała królewski dostatek.

- Mam pewien zatrważający plan - szepnął do mnie Casanova.

- Mianowicie? - spytałam ze strachem.

- Polecimy.

- Rzeczywiście zatrważający plan - zgodziłam się.

Casanova biegł przed siebie, a ja podążałam za nim. Nie kierowaliśmy się jednak do drzwi, ponieważ stamtąd nadbiegała straż. Pędziliśmy więc w kierunku dziury w ścianie. Najwyraźniej używanej przez królową jako swego rodzaju okno panoramiczne, dzięki któremu mogła z góry przyglądać się całej mrówczej osadzie.

Nagle pojęłam, że Casanova ma zamiar kolejny raz spróbować ucieczki przez tunel w sklepieniu, prowadzący na powierzchnię ziemi.

Niezły pomysł. Cała sprawa zawierała jednak drobniutki haczyk.

- Nie umiem latać! - krzyczałam do Casanovy. - W przeciwieństwie do pana, nie mam tych przeklętych skrzydeł!

- Uwzględniłem to, madame - odparł Casanova, kiedy zatrzymaliśmy się przy oknie panoramicznym. - Proszę usiąść na moim grzbiecie i lecimy.

- Pańskie skrzydło jest naddarte.

- Przez to nasza ucieczka będzie tylko bardziej zatrważająca. Spojrzałam na mrówczą metropolię i stwierdziłam, że sięga ona

ekstremalnie głęboko. Zrobiło mi się nieprzyjemnie; znów obawiałam się śmierci. Nieważne, czy się na nowo odrodzę, czy nie - śmiertelne uderzenie sprawiłoby mi z pewnością niesamowity ból.

- Łapać ich! - zawołała królowa, a ja spostrzegłam, że straż nas dogania.

W mgnieniu oka wdrapałam się na plecy Casanovy, który rozwinął skrzydła, wykrzyknął *attenzione!* i skoczył.

Spadaliśmy jak kamień. A dokładniej, jak dwa kamienie.

- AAAAAA! - krzyczałam spanikowana.

- AAAAAA! - wtórował mi równie przerażony Casanova. Ponieważ on także wpadł w panikę, moja ostatnia nadzieja na wyjście z opresji cała legła w gruzach.

- AAAAAAAAAAAAAA! - wołałam dalej.

- AAAAAAAAAAAAAA! - wrzeszczało echo w postaci Casanovy.

A ziemia zbliżała się nieubłaganie.

- Niechże pan leci! - wydarłam się.

- Nie mogę! - odkrzyknął. Był sparaliżowany strachem. Ugryzłam go. Mocno.

- Zacznie pan w końcu lecieć? - zapytałam. Od ostatecznego uderzenia w hańdę pożywienia dzielił nas ułamek sekundy. Wyraźnie widziałam lentilka czekającego na bliskie spotkanie z nami.

- Lecę, już lecę, tylko proszę więcej nie gryźć! - zawołał Casanova, najwyraźniej wybudzony z wcześniejszego odrętwienia. W istocie, zaczęliśmy nabierać wysokości. Wprawdzie z powodu jego naddartego skrzydła wirowaliśmy przy tym wokół własne osi, co znacząco utrudniało mi mocny uchwyt, ale nabieraliśmy wysokości! Arrivederci, lentilku!

Lot Casanovy zaczął się stabilizować. W końcu siedziałam statecznie na jego plecach i z góry oglądałam mrówcze miasto. Mówi się, że ludzie obserwowani z dużej wysokości wyglądają jak mrówki. A teraz wiem, że mrówki z góry przypominają ludzi; są istotami podobnymi do nas - żywotne, energiczne, pracowite, stale w ruchu! I pomyśleć, że ten głupi bachor Nils przypalał je lupą albo że ja spryskiwałam płynem owadobójczym.

- Proszę spojrzeć, madame, królowa - powiedział Casanova, kiedy znów znaleźliśmy się na wysokości okna panoramicznego.

- Każę was powiesić! - krzyczała. Casanova podleciał nieco bliżej wrzeszczącej królowej.

- Droga damo, pani za bardzo się irytuje - rzekł.

Nie można mu było odmówić zuchwalstwa, ale bezmyślności także nie. Bo wprawdzie gwardzistki nie mają skrzydeł, zapomniał wszak o kochankach królowej, z których każdy bez wyjątku potrafi latać.

- Dostarczyć ich! Ale przedtem rozszarpać na kawałki! - z pianą na ustach rozkazała władczyni swemu batalionowi łowców.

Tuzin męskich mrówek ze świstem wyleciał z izby królewskiej, dokładnie w naszym kierunku. - I co teraz? - darłam się.

- Mam pewien śmiały plan - odpowiedział Casanova.

Jeśli jest on tak samo śmiały jak poprzedni śmiały plan, to mamy problem. - Jaki, mianowicie? - spytałam niepewnie.

- Zobacz pani, madame. Proszę się tylko mocno trzymać! Ponownie zaczęliśmy spadać prosto na ziemię, jednak tym razem jak najbardziej celowo. Czy ten szaleniec chce nas zabić? Moimi aparatami chwytymi znajdującymi się pomiędzy pazurkami wczepiłam się mocno w opancerzony grzbiet Casanovy, poczułam opór powietrza, wczepiłam się jeszcze mocniej i zaczęłam się modlić do Boga. Chwilę później zawahałam się w myślach - czy powinnam rzeczywiście modlić się do Boga? Czy reinkarnacja była faktycznie koncepcją jakiegoś boga?

Mimo naszego zawrotnego tempa latające mrówki niebezpiecznie się zbliżały. Pędziły wprost niewiarygodnie szybko. Zapewne tak zachowują się wystrzelone rakiety.

Zamknęłam oczy, w pełni przekonana, że po naszym uderzeniu pozostanie wielki krater, w którym będzie można znaleźć jedynie nasze zmasakrowane szczątki. Prześladowcy prawie osiągnęli już nasz pułap, a my znajdowaliśmy się tylko o kilka długości mrówki od ziemi.

Właśnie w tym momencie Casanova zaczął osłabiać nasze nurkowanie, maksymalnie hamując. Stęknął głośno i w ostatniej chwili udało mu się zawisnąć nad ziemią.

Nasi gnębiciele, nieświadomi planu, nie byli w stanie odpowiednio szybko zareagować - gremialnie walnęli o ziemię, zostawiając po sobie imponujący krater księżycowy.

- Madame, zebrałem doświadczenia w zakresie latania w ciągu stu piętnastu wcieleń, w przeciwieństwie do tych mrówek, które mają za sobą zaledwie jedno - Casanova skomentował swój manewr ze

słabo skrywaną dumą i znów zaczął się wznosić. Mimo iż zwłoki naszych niedoszłych oprawców stawały się coraz mniejsze i trudniejsze do rozpoznania, nie mogłam oderwać oczu od ich zmiażdżonych ciał.

Rozdział 18

LECIELIŚMY JUŻ W TUNELU PROWADZĄCYM KU WOLNOŚCI, ALE nie potrafiłam się tym w pełni cieszyć. Śmierć naszych prześladowców zaskakująco mnie przejęła. Mrówki były dla mnie prawie jak ludzie.

- Madame, czym się pani tak frasuje? - spytał Casanova, kiedy wylądowaliśmy na tarasie mego dawnego domu, który oświetlała teraz poświata księżycowa.

Spojrzałam na nasz dom i spróbowałam skoncentrować się na tym, co istotne - na przeszkodzeniu Ninie w przejęciu roli matki Lilly.

- Tutaj mieszka moja rodzina - rzekłam. Casanova zamilkł.

- I to na ich życie chce pani wpłynąć? - zapytał po chwili. Przytaknęłam smutno; przecież nie miałam najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Chętnie dotrzymam pani towarzystwa. Niezależnie od trudności, jakich nastrecza rozwiązanie jej dylematu - ofiarował się Casanova. - Pięknej kobiety nigdy bym nie opuścił w kłopotach.

- A skąd pan wie, że jestem piękną kobietą? Obecnie moja powierzchowność nie zdradza zbyt wiele w tej kwestii - zapytałam podchwytliwie.

- Na piękno kobiety składa się nie wygląd zewnętrzny, lecz emanacja.

Mimo wszystko musiałam się uśmiechnąć. Ten mężczyzna naprawdę wie, jak czarować kobiety. Był w tym trochę podobny do Daniela Kohna.

- O kim pani myśli? - zagadnął Casanova.

- Słucham?

- Pani się uśmiechała ze szczególnym rozrzewnieniem, jakie pojawia się podczas rozmyślań o kimś, kogo się darzy wyjątkową czułością.

Casanova najwyraźniej nie tylko wiedział, co podoba się kobietom, ale także odgadywał ich myśli. Jednak ja nie byłam pewna, czy aby na pewno mi to odpowiada.

Zamiast szczerze opowiedzieć o Danielu, rzekłam tylko:

- Chodźmy już.

Tarasem przeszliśmy do domu. Śmierdząca stęchlizną pajęczyna wciąż pozostawała niezamieszкана. Pająk prawdopodobnie ją porzucił.

Drzwi do salonu stały otworem, więc tam się skierowaliśmy. W pomieszczeniu nie było żadnych ludzi, a ciasto zostało zabrane.

- Czy to jest pani domicyl? - spytał Casanova. Przytaknęłam.

- Gust ludzki z upływem czasu bardzo się zmienił - zadumał się Casanova z wyraźną dezaprobatą, patrząc na naszą chromowaną lampę stojącą.

Nagle usłyszeliśmy kroki. Kto to mógł być? Alex? Lilly? Nina. Z mokrymi włosami. W szlafroku. Prychnęłam.

- Kimże jest ta wdzięczna istota? - dociekał Casanova. W odpowiedzi tylko mknęłam.

- Czarująca - komentował zafascynowany. Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie.

- Ostatnimi czasy miałem bardzo niewiele okazji oglądać z bliska kobiety, a już w szczególności kobiety z takim imponującym dekoltem.

W istocie, Nina na tyle luźno zawiązała szlafrok, by zwrócić uwagę mężczyzn, a zarazem tak, aby sądzili, że robi to całkiem nieświadomie. Czy uwiodła Alexa już w dniu mojego pogrzebu? Z pewnością! Bo niby dlaczego krzątałaby się tutaj w szlafroku?

Oszalała z wściekłości, podbiegłam do niej i ugryzłam ją w palec u nogi, który pachniał moim brzoskwiniowym żelem pod prysznic. Gryzłam z całych sił. Gryzłam i szarpałam szczękami! Wydawałam przy tym bojowe okrzyki; to była prawdziwa jatka.

Ale bez żadnego efektu.

Nina nawet mnie nie zauważyła. Po prostu byłam za mała. Sfrustrowana, zrezygnowałam.

Wtem do pokoju wkroczył Alex. Zmienił czarny garnitur na dżinsy i T - shirt, ale jego oczy wydawały się jeszcze bardziej zaczerwienione i zmęczone.

- Jak ma się Lilly? - zapytała z troską Nina.

- Gra na gameboyu - odpowiedział Alex i opadł na sofę. Milczał przez chwilę.

- Czy malutka kiedyś to przeboleje? - spytał wreszcie.

- Z pewnością - odparła Nina. Była to raczej bezowocna próba pocieszenia niż szczerze przekonanie.

Alex milczał.

- Dziękuję, że mogę tu przenocować. - Nina usiadła obok niego.

- Jakoś nie wyobrażałam sobie, że mogłabyś spać w hotelu - odrzekł ze zmęczeniem Alex i wlepił wzrok w podłogę. Był przy tym cudownie niezainteresowany dekoltem Niny, a ja wstydziłam się swoich wcześniejszych podejrzeń, że do czegoś już między nimi doszło.

- Gdybyś potrzebował pomocy, mogę wziąć jeszcze kilka dni urlopu - zaoferowała Nina.

- On nie potrzebuje żadnej pomocy! - krzyczałam. - Zmiataj z powrotem do Hamburga karmić węgorze na targu rybnym! Czy co tam się jeszcze robi!

Alex zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Faktycznie, byłoby miło, gdybyś mogła jeszcze trochę zostać. Chciałbym się w pełni skoncentrować na Lilly, więc jeśli wsparłabyś mnie w tej całej papierkowej robocie, bardzo bym się cieszył.

- Jestem świetna w udzielaniu wsparcia - zareklamowała się Nina.

Na co się wydarłam:

- Ja ci zaraz udzielenie! Albo raczej cię zdzielenie! Prosto w kark!

Alex spojrzał na Ninę ze sztucznym uśmiechem i podziękował.

- To naprawdę miłe z twojej strony. Nina się rozpromieniła.

- Och, nie ma o czym mówić.

- Jest wspaniała - pochwalił Casanova. - Jaka jest??? - zaatakowałam go.

- Cudowna. Przepiękna kobieta, która nie opuszcza w potrzebie drugiego człowieka - stwierdził Casanova, wpatrując się w nią jak urzeczony.

W odpowiedzi wymierzyłam mu porządnego kopniaka moją małą tylną nóżką.

- Au! - zawołał. Ja zaś byłam rozczarowana, że nie sprawiłam mu tyle bólu, by krzyknął: „AUUUUUUUUUU!”.

Alex podniósł się z sofy. - Położę Lilly.

- Dobrze - zgodziła się Nina. - Zrobię kolację.

- To miłe - odpowiedział Alex ze znużeniem i poszedł w stronę pokoju dziecięcego.

A ja za nim, podczas gdy Casanova wciąż z zafascynowaniem kontemplował Ninę.

Rozdział 19

- PRZYGOTUJEMY SIĘ DO SPANIA? - SPYTAŁ ALEX LILLY GRAJĄCĄ NA łóżku w gameboya.

Mała w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Nigdy nie była specjalnie wylewna, ale teraz zdawała się ostatecznie stracić mowę.

Alex próbował ukryć przed samym sobą własną bezsilność i zaprowadził Lilly do łazienki. Ja natomiast postanowiłam poczekać aż wróci, i w tym czasie rozejrzeć się po pokoju. Zauważyłam świecące gwiazdki, które nakleiliśmy na suficie, i mnóstwo zabawek, ale byłam pewna, że Lilly bawiła się regularnie zaledwie kilkoma. Mój wzrok przykuło jednak zdjęcie. Moje zdjęcie, które Lilly przypięła nad łóżkiem. Tęskniła za mną.

W tym momencie zorientowałam się, że wbrew moim wcześniejszym przypuszczeniom mrówki mają łzopodobną ciecz, która jednak dopiero wtedy napływa do oczu, gdy ból staje się nieznośnie ogromny - jak mój w tej chwili. Szlochałam tak mocno, jak dotąd żadna inna mrówka.

Alex i Lilly wrócili do pokoju. Natychmiast wzięłam się w garść, przecież Lilly nie może widzieć płaczącej mamy. Wprawdzie i tak by nie zauważyła, jak płaczę, byłam zbyt mała - chodziło jednak o zasadę.

Alex czule przykrył kołdrą naszą córeczkę i czytał jej na głos Pippi Pończoszkę. Niezależnie jednak od tego, jak śmieszne były sceny z panią Prysselius, Lilly nie uśmiechnęła się ani razu.

Po przeczytaniu trzech rozdziałów Alex zgasił światło i leżał przy córeczce tak długo, aż zasnęła. Widać było, jak bardzo się o nią troszczy.

Usłyszawszy delikatne i słodkie dziecięce chrapanie, wstał bardzo ostrożnie, przemknął na palcach do drzwi, jeszcze raz spojrzął na śpiącą Lilly, westchnął głęboko i wyszedł smutny.

Nareszcie zostałam sama z moją malutką.

Dopęłam do jej twarzy. Nawet nie drgnęła, chociaż moich sześć małych odnóży musiało ją z pewnością laskotać. Spała głęboko i mocno.

Szepnęłam do niej: „Kocham cię” i dałam mrówczego całusa w dolną wargę.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, czułam się świetnie. Byłam spokojna, a trudy wczorajszej ucieczki udało mi się wytrząsnąć

ze wszystkich sześciu nóżek. I nareszcie miałam plan. Zostanę w pokoju Lilly. W ten sposób będę mogła zawsze przed snem szeptać jej miłe rzeczy. Nawet jeśli mnie nie zrozumie, być może uda mi się przez to dotrzeć do jej podświadomości. Tym sposobem będę mogła ją uchronić przed przyjęciem Niny jako nowej matki.

A jeśli umrę, narodzę się ponownie mrówką i ponownie do niej przywędruję. Tak, to był perfekcyjny plan na następne życie.

Plan, który przetrwał całe trzy i pół minuty.

Rozdział 20

JESZCZE TRZY MINUTY I DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ SEKUND rozkoszowałam się bliskością Lilly. Obserwowaniem jej twarzy, wdychaniem słodkiego dziecięcego zapachu. Jednak po trzech minutach i trzydziestu sekundach do pokoju wszedł Alex, a jego wzrok od razu padł na mnie!

Widział we mnie niestety nie swoją byłą żonę, tylko mrówkę pełzającą po jego córce.

- Okej - powiedział cicho. - Mam was zdecydowanie dosyć, wy małe bestie.

Zdjął mnie z jej twarzy tak delikatnie, że Lilly nawet się nie obudziła. Ja natomiast po najwyraźniej niedelikatnym kontakcie z tapetą rozmyślałam, jak się leczy u mrówek wirującą traumę.

Lilly wymamrotała coś, ale po chwili ponownie zasnęła. Alex dał jej całusa i wyszedł z pokoju. Najprawdopodobniej podejmie teraz kolejną próbę wytopienia mrówek. Coś, co mnie się nie udało. Na dwa dni przed moim bliskim spotkaniem ze statkiem kosmicznym powiedziałam mu, że muszę zastosować w tej kwestii bardziej radykalne środki. Chciałam kiedyś użyć węża ogrodowego, aby zalać mrowisko. A teraz było jasne, że słowa: „Mam was zdecydowanie dosyć”, oznaczają w tłumaczeniu: „Zaraz chwytam za szlauch!”.

Przełknęłam ślinę; ogromna powódź całkowicie zaleje miasteczko mrówek. Szybko się jednak uspokoiliłam. A co mnie to obchodzi? Owadzie miasto nie było zbyt przyjemnym miejscem. Przy odrobinie szczęścia wszystkie mrówki ujrzą światłość.

A jeśli nie?

Jeśli ta śmierć okazałaby się ostatecznym końcem ich egzystencji? Wtedy byłaby w zupełności pozbawiona sensu.

I okropna.

Kompletnie się pogubiłam.

Mijając rolki Lilly, pospiesznie wymaszerowałam na korytarz, wprost do salonu, do Casanovy, który znalazłszy parę okruszków wczorajszego ciasta, z zadowoleniem się nimi zajadał.

- Pan na pewno zna światłość, która się pojawia przed kolejnym narodzeniem? - zagadnęłam go.

- Tak. Jest jak kielbasa trzymana na sznurku, zawsze trochę zbyt wysoko.

- Czy mrówki także zmierzają do tej światłości? - dopytywałam się.

- Nie wiem - odparł. - Ale chyba nie potrafię sobie wyobrazić, by tak zwyczajne istoty jak mrówki w ciągu swego życia zbierały dobrą karmę.

- Karmę? - powtórzyłam całkiem osłupiała.

Rozdział 21

NATURALNIE SŁYSZAŁAM WCZEŚNIEJ O KARMIE. ALEX CZYTAŁ KSIĄŻKI o buddyzmie, kiedy znajdował się w głębokim kryzysie podczas swoich studiów biochemicznych. Ja natomiast, łapiąc ciężką chandrę, sięgałam raczej po tytuły z rodzaju: Bądź miła dla siebie, Bądź dla siebie jeszcze miłsza lub Zapomnij o innych.

- To bardzo proste - wyjaśnił Casanova. - Kto czyni dobro, zbiera tym samym dobrą karmę i osiąga nirwanę, wchodząc w zakazaną nam dotychczas światłość. Kto czyni zło, przedłuża swoją egzystencję, tak jak my.

- Przecież nie zrobiłam niczego złego! - zaprotestowałam. - Jest pani pewna, madame?

Przytaknęłam. Niepewnie.

- Nie popełniła pani chociażby zdrady? - drażzył Casanova. Nie mogłam pominąć myślą Daniela Kohna.

- Ani innym nie szkodziła dla własnej korzyści?

Nie mogłam pominąć myślą Sandry Kolling, która przeze mnie straciła pracę, bo poinformowałam szefostwo o jej problemie z kokainą.

- Lub nie zanedbywała pani chociażby ludzi ze swojego najbliższego otoczenia?

Nie mogłam pominąć myślą Lilly.

- A może pani podwładni cierpieli przez...?

- Dość już! - zarządziłam. - A może...

- Czego dokładnie nie zrozumiał pan w wyrażeniu „dość już”? „Dość” czy „już”?

- Pani wybaczy, madame - odrzekł Casanova.

- Właściwie dlaczego dotąd nie zebrał pan dobrej karmy? - spytałam Casanovę.

- Po pierwsze, doprawdy nie jest to łatwe w mrowisku.

- A po drugie?

- To nie bardzo leży w mojej naturze - dokończył, uśmiechając się tak szarmancko, że i ja nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

- Ale pani zapewne się to uda - pocieszył mnie. Zamyśliłam się.

- Wcale nie chcę dotrzeć do światłości - wyjaśniłam. - Ja tylko chcę zapobiec przejściu przez Ninę obowiązków żony i matki.

- Hmm. - Casanova uśmiechnął się tajemniczo i zaczął wspominać. - Kiedy przedostatni raz umarłem, objawił mi się Budda... Słusznie zakładam, że pani już zdążyła poznać tego jegomościa?

- Owszem, nie należy do moich ulubionych postaci - odpowiedziałam.

- Podzielałam pani zdanie - rzekł Casanova. - Podczas spotkania ta niewiarygodnie opasła mrówka westchnęła ciężko, twierdząc, że wciąż nie pojąłem istoty mechanizmu i że należy mi to wreszcie wyjaśnić.

- I wtedy opowiedział o karmie?

- I o tym, że jej zebranie nie prowadzi wprost do nirwany.

- Nie? - spytałam zaintrygowana.

- Najpierw trzeba się odrodzić jako wyższe zwierzę.

- Wyższe zwierzę?

- Wyższe na drabinie reinkarnacji, jak pies, kot, owca; w zależności od ilości zebranej karmy.

Oniemiałam.

- Wie pani, madame, co to dla niej oznacza? - Casanova się uśmiechnął.

- Że jeśli przyjdę na świat w ciele psa...

- Łatwiej będzie pani ingerować w świat ludzi jako pies niż jako mrówka - dokończył.

Rozdział 22

MIAŁAM NOWY PLAN, KTÓRY TYM RAZEM POWINIEN PRZETRWAĆ dłużej niż trzy i pół minuty. Muszę zebrać dobrą karmę!

I już wiedziałam jak.

- Ostrzegę mrówki przed zalaniem - powiedziałam.

W tej właśnie chwili ziemia pode mną zadrżała. Alex w mgnieniu oka wciągnął buty i energicznie podążył w stronę ogrodu. Nawet jeśli odnalezienie wśród chaosu panującego w naszej szopie końcówki węża ogrodowego zajęłoby mu dłuższą chwilę, nie zostało mi zbyt wiele czasu. Musiałam ostrzec mrówki. Zostawiłam Casanovę i popędziłam przed siebie.

- Madame! - krzyknął za mną zatroskany Casanova. - Żeby się ponownie narodzić, trzeba najpierw umrzeć!

Ale nie słuchałam go, koniecznie pragnęłam dobrej karmy. Natychmiast. Śmierć wydała mi się sprawą drugorzędną.

Wparowałam na taras jako pierwsza. Oglądałam się przy tym za siebie, żeby sprawdzić, jak daleko znajduje się Alex. I to był błąd! Wpadłam wprost w pajęczynę.

Pojedyncze nitki okazały się dla mnie niczym liny okrętowe, które ktoś zamoczył w super glue. Od razu się w nie zaplątałam, a im bardziej próbowałam się wydostać, tym ciaśniej i mocniej przyklejały się do mnie. Trwało to tak długo, że prawie straciłam oddech.

Próbowałam się uspokoić. Głęboki wdech i wydech. Jeszcze głębszy wdech i jeszcze głębszy wydech. Powoli doszłam do siebie. Co prawda, wciąż byłam uwięziona, ale przynajmniej dzięki wewnętrznemu rozluźnieniu mogłam nabrać więcej powietrza. Wcześniejsza panika zniknęła.

Myślałam, jak wydostać się z tej niefortunnej sytuacji. I wtedy odezwał się mój zmysł ostrzegawczy - dotkliwy ból przeszył mój łeppek.

Odnóża chciały porwać się do ucieczki, ale tylko bezradnie wierzgały w sieci. Nitki coraz ciaśniej mnie oplatały, a ja nie mogłam przestać - instynkt samozachowawczy był nie do opanowania. Przebierałam odnóżami, szarpałam się i tym samym jeszcze bardziej zaplątywałam. W końcu odwróciłam głowę, a wtedy poznałam prawdziwą przyczynę wariowania mojego zmysłu ostrzegawczego: na górnej krawędzi sieci siedział pająk!

Był ogromny, nogi miał bardziej owłosione niż argentyński piłkarz i emanowało z niego hasło: „Z litością nie jestem na ty”. Szedł w moją stronę! Ocieźzale. Jak znudzony facet, idący w przerwie na reklamę po kolejne piwo. Byłam niczym małe co nieco między właściwymi posiłkami. Niczym o wpół do dziesiątej rano w Niemczech (Znany slogan reklamujący wafelek - przekąskę marki Knoppers (przyp. tłum.).).

Chciałam natychmiast uciec, ale przecież więziły mnie lepkie liny.

Dlatego zaczęłam wołać:

- Pomocy! Pomocy!

- O rany, nie cierpię, kiedy jedzenie się awanturuje - gderał pająk głosem równie trzeszczącym, jak zdenerwowanym. „Chciałabym mieć takie problemy” - pomyślałam.

Samym faktem, że w przypadku rychłej śmierci ponownie w kolejnym wcieleniu urodzę się mrówką, zbytnio się nie przejmowałam. Raczej tym, że - po pierwsze - nie zdążyłabym zawczasu ostrzec mrówek przed potopem i tym samym straciłabym wspaniałą szansę na zebranie dobrej karmy, a po drugie - jakoś niespecjalnie zależało mi na tym, by zostać zezartą przez pająka, kawałek po kawałku.

- Nie ma ciebie zbyt dużo - marudził pająk.

Byłam za bardzo przerażona, żeby odpowiedzieć na ten zarzut.

- Ale na przegryzkę wystarczy - dodał po chwili.

Przegryzkę? Ciekawe, skąd pająk zna takie słowo jak „przegryzka”. Pająk powoli coraz bardziej zbliżał się do mnie. Nie miał zresztą żadnego powodu, by się śpieszyć.

- No, powiedzmy, nadasz się na brunch.

„Brunch?” - zastanawiałam się; to ten pająk zna też pojęcie „brunch”? W głowie mi wirowało: „Czy to możliwe? Właściwie dlaczego nie? Jest to jakaś szansa”.

Pająk zawisł wprost nade mną.

- No, moja mróweczko. Normalnie musiałbym cię zatruć jadem. Ale szczerze mówiąc, nie jestem wielkim miłośnikiem substancji trujących w pożywieniu. A więc wybacz mi, że będę cię pożerał na żywca.

„Substancje trujące?” - powtórzyłam w myślach. Teraz okazja stała się oczywista! Pająk już otwierał swój wielki aparat gębowy.

- Ty też kiedyś byłeś człowiekiem, prawda? - wyrzuciłam prędko z siebie.

Pająk cofnął się, zamknął gębę i w zamyśleniu kiwał głową.

- Mam rację? - dopytywałam się.

Po chwili pająk ostrożnie przytaknął. Mój zmysł ostrzegawczy się uciszył.

- Ja też się ponownie narodziłam - dodałam, nieco uspokojona. - Nazywam się Kim Lange.

- Ta z telewizji?

- Tak, właśnie ta - odpowiedziałam z ulgą i nawet jakoś mi schlebiało, że mnie zna.

- A kim ty jes...? - zaczęłam.

- Byłeś - sprostował.

- A kim ty byłeś?

- Thorsten Borchert - odrzekł pająk.

Przeskanowałam szybko zasoby pamięci, ale nie znalazłam żadnej informacji o Thorstenie Borchercie.

- Nie wysilaj się. Nie znałaś mnie - zapewnił pająk. - Byłem nikim. - Nie zabrzmiała w tym nawet nutka pewności siebie.

- Nikt nie jest nikim - powiedziałam więc, używając przyjemnego i swobodnego tonu; wyćwiczyłam go na szczególnie trudnych gościach, z którymi przeprowadzałam wywiady.

- A jednak - nadeszła odpowiedź. - Pani była prowadzącą talk - show. Ja zaledwie grubym, małym urzędniczyną w wydziale oczyszczania ścieków.

- Och, to przecież interesujący zawód - odparłam identycznym jak wcześniej tonem.

- A dokładnie co w nim takiego interesującego?

- No, hmm... wszystko. Ścieki są bardzo ciekawe - próbowałam wybrnąć.

W tym momencie zrozumiałam jednak, że pająki również potrafią rzucać spojrzenie mówiące jednoznacznie: „bujac potrafię sam”.

- Mną nie zainteresowałyby się nawet pani... tylek - stwierdził Thorsten Borchert.

- Owszem, zainteresowałyby się nawet oczy - pospieszyłam ze sprostowaniem.

- Również teraz rozmawia pani ze mną tylko dlatego, że zamierzam panią pożreć.

„Zamierzam”? - powtórzyłam w myślach. On naprawdę powiedział „zamierzam”? Przecież powinien był raczej powiedzieć "zamierzałem". Obecność czasu teraźniejszego w jego wypowiedzi całkowicie mi się nie spodobała. Mój zmysł ostrzegawczy znów zaczął się budzić.

Powiedziałam, jak mogłam najspokojniej:

- Chcę się wszystkiego o panu dowiedzieć. Proszę mnie rozwiązać, a wtedy będziemy mogli uciąć sobie miłą pogawędkę.

- Czy aby na pewno interesuje panią rozmowa z kimś, kto w wieku trzydziestu trzech lat nadal mieszkał ze swoją matką?

- Hmm... tak - zełgałam.

- Nie wierzę - odparował.

- Przecież nie ma powodu, by mi nie wierzyć - przekonywałam i spostrzegłam, jak bardzo niewiarygodnie brzmiały moje słowa.

- Zmarnowałem całe życie - załkał Thorsten. - Nie udało mi się spełnić ani jednego z marzeń. Wie pani, że nigdy nie tańczyłem w deszczu?

- Nie... - W tym momencie nie istniał dla mnie temat mniej interesujący niż jego niespełnione marzenia.

- A moja mama, owszem.

Spojrzałam w kierunku szopy stojącej na końcu naszego ogrodu i usłyszałam Alexa, który głośno klnąc, szukał nasadki do węża.

- Proszę mnie uratować! Muszę koniecznie ocalić mrowisko przed eksterminacją! - nalegałam.

Pająk Thorsten zirytował się nagłą zmianą tematu, więc w telegraficznym skrócie wyłuszczyłam mu sytuację.

- Te bestie kompletnie mnie nie interesują!

- Ale mnie tak! - zawołałam.

- Chce pani ze mną prowadzić rozmowę czy nie? - zapytał.

- Nie - odparłam, co taktycznie nie było zbyt mądre. - Uwolnij mnie wreszcie, ty idioto! - Ostatecznie pożegnałam się z uprzejmymi frazesami.

- Mama miała rację, mówiąc, że wszystkie kobiety kłamią. Nie podobał mi się kierunek, jaki obierała nasza pogawędka.

Pająk ponownie zbliżał się do mnie. Ten kierunek także mi się nie podobał. A mojemu zmysłowi ostrzegawczemu już tym bardziej nie, zważywszy fakt, że instynkt właśnie rozrywał mi czaszkę.

- Co masz zamiar zrobić? - spytałam głosem drżącym ze zdenerwowania, którego niestety nie udało mi się ukryć.

- Zjeść cię - padła lapidarna odpowiedź. On także zrezygnował z uprzejmego „pani”.

- CO?! ? - wydarłam się.

- Jestem głodny.

- Ale przecież nie możesz jeść ludzi!

- Nie jesteś człowiekiem, lecz mrówką. Ja natomiast pajakiem. Takie jest nasze życie. Trzeba się z tym pogodzić. Wszystko inne byłoby tylko próbą oszukania samego siebie.

Jego podejście do reinkarnacji uważałam za stanowczo zbyt pragmatyczne.

Thorsten coraz bardziej się zbliżał. Co mogłam uczynić przeciw temu pomyślnowowi? Gorączkowo obmyślałam strategię, aż wpadłam na wątpliwej jakości pomysł.

- Wypuść mnie albo pierdnę ci prosto w twarz!

- Co? - spytał Thorsten, trochę niewyraźnie z powodu już szeroko otwartej gęby.

Pomyślał chwilę i zasugerował:

- Mimo to mogę wziąć kęs.

- Ale już nie będę ci smakować - zripostowałam. Thorsten zawahał się.

- Wtedy i tak już będziesz martwa - odparł.

- Ale ponownie się odrodzę - broniłam się. Zamilkł zdezorientowany. Ja zaś kontynuowałam:

- I zanim umrę, zdążę nasmrodzić ci w gębie. Tygodniami nie pozbedziesz się brzydkiego zapachu.

Thorsten przez chwilę szukał kontrargumentu i niestety znalazł.

- Być może uda mi się tak szybko ciebie przełknąć, że nie zdążysz nic zrobić.

Teraz ja gorączkowo obmyślałam kontrargument dla jego kontrargumentu, ostatecznie także z sukcesem.

- Puszczam gazy szybciej, niż wieje wiatr.

Pająk wahał się. Długo. Prawdopodobnie znów szukał odpowiedniej riposty dla dotychczasowego kontrargumentu do jego kontrargumentu. W tym czasie czułam na odwołku jego ciepły oddech. Panika wzbierała we mnie coraz bardziej, w każdej chwili instynkt samozachowawczy mógł przejąć nade mną sterowanie, a

wtedy podjęłabym samobójczą próbę ucieczki, która skończyłaby się atakiem Thorstena. Walczyłam ze sobą. Bardzo intensywnie. Ostatecznie jednak przegrałam i moje odnóża przygotowały się właśnie do startu, co zapewne oznaczałoby moją zgubę, gdy nagle Thorsten oznajmił:

- Dobrze, dobrze, wygrałaś. - Po czym uwolnił mnie z więzów, mówiąc: - Nie mam ochoty na jedzenie, które ze mną dyskutuje.

Spadłam na ziemię. Bolało, ale mimo to czułam się niewiarygodnie lekko ze świadomością ukończenia mojej niedawnej roli pajęczej przekąski.

Spojrzałam w kierunku Alexa, który właśnie wychodził z szopy, trzymając nasadkę do węża. Zaczęłam gnać przed siebie, lecz moje wciąż lepkie od pajęczyny odnóża przykleiły się do tarasu.

- Pozwoli pani, że pomogę? - spytał Casanova, który nagle pojawił się przy mnie. Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, z pomocą swoich sześciu odnóży uwolnił mnie od kleistych resztek.

- Dziękuję - powiedziałam i już zamierzałam pędzić dalej.

- Proszę chwilę zaczekać - odparł Casanova.

- Musimy ostrzec mrówki! - rzuciłam i ruszyłam w kierunku wejścia do tunelu.

Casanova biegł za mną.

- Przecież pani się utopi! - wołał. - A utopienie nie jest zbyt przyjemnym rodzajem śmierci! - słowa Casanovy zabrzmiały tak prawdziwie, jak gdyby wypływały z jego własnego doświadczenia w kwestii wodnego zgonu [Z Pamiętników Casanovy: Postęp, który dokonał się wśród ludzi przez ostatnie stulecia, częstokroć okazywał się dla mnie fatalny. Podczas mojego sto szóstego żywota wylądowałam na ogromnej ceramicznej misce. Jej powierzchnia była tak gładka, że ześlizgnąłem się po niej w dół i wpadłem do głębokiego jeziora.

Ostatnie słowa, jakie odnotowałem, niosły ze sobą tajemniczą w swej naturze treść. Niski męski głos rzekł mianowicie: „Zobacz, kochanie, zamontowałem w spłuczce tryb oszczędnościowy ”.].

- Potrzebuję dobrej karmy! - odparłam dzielnie.

- Pani odwaga jest silniejsza niż rozsądek - westchnął Casanova dotrzymując mi kroku.

- Dla kogoś, kto znany jest ze swego wdzięku, nie był to racz komplement - odrzekłam z wymuszonym uśmiechem.

- Och, wręcz przeciwnie, podziwiam w kobietach rozsądek ubóstwiam ich zmysłowość, ale prawdziwie olśniony jestem kobiecym kurażem.

- Dziękuję - odpowiedziałam, nagle zdziwiona własnym męstwem. Dotychczasowym największym testem dzielności i brawury podczas mojego ludzkiego żywota, było wydanie na świat Lilly.

Tuż przed wejściem do tunelu stanął mi na drodze Casanova.

- Proszę mnie nie powstrzymywać - zażądałam szorstko.

- Wcale nie mam zamiaru - odparł. - Zapraszam tylko na mój grzbiet.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

- Być może i mnie przyda się odrobina dobrej karmy.

- Myślałam, że zbieranie dobrej karmy nie jest zgodne z pańską naturą?

- Och, jeszcze przecież żadnej nie zebraliśmy - odpowiedziała z uśmiechem szarmancka mrówka.

Rozdział 23

ŚWISNĘLIŚMY W ZAWROTNYM TEMPIE PRZEZ TUNEL I PRAWIE NAD samym jego końcem udało nam się zawisnąć w powietrzu. Krzyczałam z całych sił.

- Ratujcie się! Ratujcie się! Za chwilę wszystko zostanie zalane!

Mrówki obrzuciły nas krótkim spojrzeniem. Niezrażona wołałam dalej.

- Już! Uciekajcie! Chodzi o wasze życie! Nie ruszyły się z miejsca.

- No, dalej! Hop - hop! Nadal nie drgnęły.

- Hop - hop znaczy: ruszcie w końcu swoje przeklęte tyłki! Ponownie przez krótką chwilę mrówki zaszczyciły mnie pustym spojrzeniami, po czym wróciły do przerwanej pracy. Ponieważ nie byłam ich królową ani choćby komendantką, moje ostrzeżenia obchodziły je tyle, co zeszłoroczny śnieg. No, może w odniesieniu do mrówek to nie najlepsze porównanie. W każdym razie sytuacja przypominała wielkie przedsiębiorstwa, w których zdrowy rozsądek rujnuje wewnętrzna hierarchia.

- One w ogóle nie zwracają na panią uwagi, madame - rzekł Casanova.

- Dziękuję, sama bym na to nie wpadła - odparłam zgryźliwie. - Lećmy do królowej - dodałam. - Jest jedyną istotą, której te mrówki słuchają. I tylko ona może wydać rozkaz ewakuacji.

- Chyba jednak nie należymy do jej ulubionych podwładnych - zastanawiał się głośno Casanova.

- Nieważne, chcę dobrej karmy! - zdecydowałam.

- Pani jest bardzo uparta. - Casanova westchnął i poleciał wprost do wnęk królewskich.

Dotarliśmy do okna panoramicznego, którego strzegły dwie kapłanki gwardii królewskiej, i zatrzymaliśmy się dokładnie na wysokości ich oczu.

- Czego chcecie? - spytała jedna ze strażniczek. Nie rozpoznała nas, widocznie wczoraj inne rzuciły się za nami w pościg.

- Chcemy się zobaczyć z królową. To bardzo pilne! - zażądałam.

- Królowa nie przyjmuje żadnych niezapowiedzianych wizyt.

- Ale tu chodzi o życie wszystkich mrówek.

- Królowa nie przyjmuje żadnych niezapowiedzianych wizyt. - Jeśli nas natychmiast nie wysłucha, wszystkie mrówki zginą!

- Królowa nie przyjmuje żadnych niezapowiedzianych wizyt.
- Potrafisz wyartykułować coś innego niż: „Królowa nie przyjmuje żadnych niezapowiedzianych wizyt”? - spytałam poirytowana.

- Królowa nie przy...
- Dobra, już! - przerwałam.
- Lecimy z powrotem? - szepnął do mnie Casanova.
- Nie - odparłam zdecydowana i wskazałam na królewską wnękę.
- Lecimy tam!
- Jeśli spróbujemy się tam dostać, zostaniemy pokonani przez strażniczkę.

Posłałam mu wyjątkowo przenikliwe spojrzenie.

- Z pani oczu wyczytałem, że nie zdołam już pani odwieść od zamiaru? - westchnął Casanova.

- Trafnie pan wyczytał - przytaknęłam. Casanova odleciał sporym łukiem, by nabrać odpowiedniej prędkości, i uderzył wprost na wartowniczkę o stoickim wyrazem twarzy, który notabene zmieniał się wprost proporcjonalnie do zmniejszającej się między nami odległości.

Osiągnąwszy największą prędkość, przelecieliśmy między obiema strażniczkami, które nasz podmuch tak dalece zmiotł na bok, że spadły z okna na ziemię. Mogło to być dla nich wprawdzie bolesne przeżycie, ale i tak znajdowały się w o wiele lepszym położeniu niż my.

- Nie mogę... - zawołał Casanova, lecąc niewiarygodnie szybko.
- Czego pan nie może? - krzyknęłam pytająco.
- Nie mogę zahamowaaaaaaaaaaać!

Uderzywszy w ścianę królewskiego pomieszczenia, oszołomieni spadliśmy dokładnie na łożo królowej. Co samo w sobie byłoby już świętokradztwem, jednak jeszcze większej potworności temu czynowi dodawał fakt, iż na posłaniu właśnie drzemała królowa. Opadliśmy wprawdzie całkiem miękko, lecz queen była jeszcze mniej amused niż podczas naszego ostatniego twardego lądowania na jej królewskim ciele.

Casanova pozbiierał się pierwszy.

- Odnoszę wrażenie, że królowa nie jest obecnie w nastroju do wysłuchania nas - rzekł do mnie.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć: „Ja też tak sądzę”, królowa podniosła swoje monstrualne ciało.

- Tym razem nie wezwę straży - uprzedziła.

- Nie? - zapytałam z delikatną nadzieją.

- Osobiście pouryvam wam głowy. Tu i teraz! - wydarła się królowa.

Przełknęłam ślinę, a ona już podążała na gigantycznych nogach w naszą stronę.

- Proszę posłuchać! - błagałam, unikając jej ciosów. - Wszyscy znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie!

- Was to już wkrótce nie będzie dotyczyć - kontynuowała wymachiwanie odnóżami, prowadząc mnie w ten sposób przed sobą. Aż dotarłam do rogu. Następnym machnięciem z pewnością by mnie trafiła.

Gorączkowo wyrzuciłam z siebie:

- Za chwilę mrowisko zostanie zatopione przez ogromną powódź. - Królowa zatrzymała się dokładnie w połowie ciosu. Jej przednie nogi oddalone były teraz mniej więcej o nanometr od mojej czaszki.

- Powódź? - spytała.

- Tak, człowiek...

- Co to jest „człowiek”?

- Ach, racja. Grglldd - poprawiłam się.

- Liczba pojedyncza od „grglldd” brzmi „grgglu”! - krzyknął do mnie Casanova.

Ponownie skorygowałam wypowiedź:

- Pani wybaczy, królowo, jakiś grgglu chce zatopić mrówcze miasto.

Królowa opuściła odnóża.

- Ci grglldd są zdolni do takich rzeczy - stwierdziła.

- Powinna pani wydać rozkaz opuszczenia miasta przez wszystkie mrówki - nalegałam.

Królowa przyjrzała mi się.

- Dlaczego miałabym uwierzyć jakiejś śmiesznej pracownicy - zapytała.

- Przecież inaczej bym tutaj nie przybyła, skoro pani chciała mnie powiesić.

Królowa przytaknęła, moje wytłumaczenie wyraźnie ją zadowoliło. Zaraz potem wydała rozkaz ewakuacji.

Niestety, pod pojęciem „ewakuacji” królowa rozumiała coś zupełnie innego niż ja. Rozkazała mianowicie obu swoim kapłankom:

- Przeprowadźcie tu moich najlepszych kochanków. Polecimy z nimi daleko stąd.

Obie kapłanki ruszyły przed siebie. Królowa zdążyła jeszcze krzyknąć za nimi:

- I nie zdradźcie innym, że uciekamy! Spojrzałam na królową z nieskrywaną irytacją.

- Nie chce pani, żeby inne kapłanki się dowiedziały?

- Moi kochankowie są w stanie udźwignąć tylko mnie i dwie strażniczki - wyjaśniła tak niewzruszonym tonem, jakby jej decyzja była najbardziej oczywista na świecie.

- I dlatego pozostałe powinny się utopić? - spytałam oburzona.

- No to co? - rezolutnie odpowiedziała królowa.

Zdyszane kapłanki powróciły w towarzystwie dziesięciu latających mrówek.

- Nie chce pani nawet wygłosić żadnego orędzia do narodu?

- W takiej sytuacji każda sekunda jest cenna. Nie będę marnować czasu! - ostatecznie wyklarowała królowa. Po czym zwróciła się do swoich absztyfikantów: - Zabierzcie nas na powierzchnię!

Latający kochankowie okazali posłuszeństwo. Dwóch z nich zabrało po jednej strażniczce, pozostali zaś, sapiąc i zipiąc, podnosili królową.

- Przecież nie może pani pozwolić, by jej naród się utopił! - krzyczałam.

- Najważniejsze jest zachowanie ciągłości narodu - odparła królowa z najlepszą manierą dyktatora odpowiadającego na konferencji prasowej. - Muszę siebie uratować, by uratować naród.

To rzekłszy, odleciała, wiedziona przez swoich kochanków.

Zszokowana stałam w miejscu; w każdym momencie Alex może całe to mrówcze miasto zamienić w Atlantyde, a królowa dezerteruje!

Skonsternowana podeszłam do okna. Wszędzie krążyły małe oddziały mrówek. Gdzieś wśród nich znajdowały się także zapewne Fss i Krrtx, które o wiele bardziej zasłużyły na ratunek niż królowa.

- Musimy po prostu ostrzec mrówki! - rzekłam do Casanovy, nie mając najmniejszego pojęcia, jak tym razem zmusić owady do słuchania.

Ale właśnie do naszych uszu dobiegło dudnienie wody wdzierającej się przez tunel.

- Za późno - zakomunikował Casanova.

- To niesprawiedliwe - oceniłam smutno.

- Przynajmniej kilka mrówek udało nam się uratować - kontynuował Casanova. - Może to wystarczy na dobrą karmę.

- Mam nadzieję - przytaknęłam.

I wtedy miasto nawiedziła wielka powódź.

Rozdział 24

PONOWNIE OBRAZY Z MRÓWCZEGO ŻYCIA PRZEMKNEŁY PRZED OCZYMA mojej duszy jak w kalejdoskopie: ucieczka z królewskiej komnaty, Nina w szlafroku, zrezygnowany Alex, mój sen na policzku małej Lilly... W tym miejscu ze wszystkich sił próbowałam zatrzymać obraz. Chciałam delektować się wspomnieniem jej oddechu, bliskości, małego mrówczego całusa, którego jej dałam - tym wszystkim chciałam się zawsze delektować...

Jednak rzeka wspomnień płynęła własnym nurtem. Znów przyglądałam się odlatującej królowej i słyszałam nadchodzącą falę powodzi. Widziałam niewiarygodne ilości wody, wpływające z góry do mrówczego miasta! Słyszałam krzyki mrówek! Zauważyłam obluzowującą się ziemię sklepienia, spadającą na metropolię. Odnotowałam jeszcze, że mulista woda porywa mnie ze sobą... I wtedy zrobiło mi się ciemno przed oczami...

Na sekundę.

Ponownie ujrzałam światłość. Stawała się coraz jaśniejsza.

Była cudowna. Otulała mnie.

Przeczuwałam jednak, że i tym razem niebawem mnie odrzuci. Ze wszystkich sił próbowałam zatem nie obejmować jej, nie poddawać się. Nie chciałam znowu poczuć rozczarowania.

Nie miałam szans. Ona była po prostu zbyt delikatna, aksamitna. Przestałam się opierać.

Poddałam się jej.

Czułam się tak wspaniale.

Tak bezpiecznie.

Tak szczęśliwie.

I wtedy zostałam od niej odepchnięta.

Jak zwykle...

Przebudziłam się na wskroś strapiona. Nie powiedziałam Casanovie całej prawdy. Chciałam wprawdzie przepędzić Ninę, niemniej jednak jakaś częśćka mnie niezmiernie tęskniła za światłością. Piekielnie wielka częśćka.

Signore miał rację - było to w istocie niczym mentalna kielbasa trzymana na sznurku przed nosem, nęcąca swoją smakowitą wonią, niemalże w zasięgu szczęki, a jednak w ostatniej chwili zawsze podciągana nieosiągalnie wysoko.

Miałam nadzieję nie odrodzić się już więcej w mrówczym ciełe. Nie potrafiłam jednak do końca uwierzyć, że taki los mógłby mnie już nie dotyczyć. Ostatecznie moja próba uratowania mrowiska nie zakończyła się spektakularnym sukcesem. Udało mi się ostrzec wyłącznie królową, która dotychczas jedynie uciskała poddanych.

Jednak... skoro jestem mrówką, dlaczego nic nie widzę?

I dlaczego wyczuwam tylko cztery nogi zamiast sześciu? I dlaczego, do diabła, ktoś mnie ze wszystkich stron oblizuje?!

- Moja malutka, stój spokojnie. Przecież chcę cię tylko wyczyścić - zwrócił się do mnie przyjemny głos.

Setki pytań przebiegały moje myśli: Gdzie jestem? Kim jestem? Nie jestem już mrówką? Co tu się dzieje? Gdzie jest ten stuknięty Budda?

Jednak zamiast odpowiedzi wydobyło się tylko przeciągłe „Piiiiiiiiip!”.

To byłam ja? Postanowiłam spróbować jeszcze raz i zawołałam: „Budda!”, ale usłyszałam tylko ponownie: „Piiip”.

No dobrze, niewątpliwie piski pochodziły ode mnie. Może jestem pchłą?

- Uspokój się - zaszczebotał do mnie matczynym tonem znajomy już, miły głos.

„Uspokoić się, uspokoić się” - myślałam. „Jestem ślepa. Nie mogę nic powiedzieć. Nie mam pojęcia, w czym jestem ciełe, a jakiś język nieustannie mnie oblizuje - jak mam się, do diabła, w takich warunkach uspokoić?”.

- Piiip - odpowiedziałam więc wcale nieuspokojona.

- Moja kochana, nie musisz się bać życia - znów zaświergotał przyjemny głosik.

„Nie bać się życia” - byłoby wyśmienicie, ale najpierw muszę wiedzieć, cóż to za życie? Może ślepego kreta? Ale przecież nie znajdowaliśmy się pod powierzchnią ziemi - czułam na ciełe ciepło promieni słonecznych. Zatem kretem nie jestem. Kim więc? Ślepą owcą? Ślepym psem? Ślepą kurą? Czy znajdę jakieś ziarnko?

- No, teraz czas na pozostałych - zakomunikował głos, a dotychczasowe oblizywanie wspaniałomyślnie ustało.

„Pozostałych?” - chciałam zapytać, ale i tym razem wyartykułowałam tylko: „Piiip”. W odpowiedzi usłyszałam jeszcze jedno „piiip” i jeszcze jedno, i jeszcze jedno. Nie byłam sama [Z

Pamiętników Casanovy: Powróciłem na ziemię tym razem w ciele ssaka, a moje serce szalało z radości ze względu na moje przyszłe życie erotyczne, które od tego momentu z całą Pewnością nabierze rozmachu.].

- Dzieci moje kochane, nie denerwujcie się tak, mamusia jest przy was - czule uspokajał głos. A wcześniejsze piski cichły z wolna.

„Mamusia jest przy was” - to doprawdy piękne stwierdzenie, ale przypominające jednoznacznie o prawdziwej tragedii. Obojętne przecież, pod jaką postacią tym razem się odrodziłam, niestety nie byłam przy mojej...

- Lilly! Spójrz, jak nasza świnka morska wylizuje swoje maleństwa - usłyszałam słowa Alexa.

Słowa, które wywołały lawinę myśli:

- Lilly jest w pobliżu! '
- Alex także.
- Alex uśmiercił prawie wszystkie mrówki.
- To mnie rozwściecza.
- Nawet jeśli nie był świadomy swojego czynu.
- Nigdy przecież nie był mrówką.
- Ani świnką morską.
- A czy ja jestem świnką morską?!
- Tak przynajmniej wynika ze słów Alexa.
- Przecież podarował córce na urodziny zwierzątko.
- Właśnie do tej świnki morskiej należy zapewne miły i czuły głos matki.
- I wilgotny język.
- A więc jednak była w ciąży.
- Miałam zatem rację.
- A Alex nie miał racji.
- Idiota.
- Niemniej jednak nie jestem mrówką. • Juhuuuuuuuu!
- Wobec tego zebrałam dobrą karmę.
- Jeszcze większe juhhuuuuuuu!
- Jestem świnką morską.
- A to nie jest powód do radosnego okrzyku.
- To raczej niezłe bagno.
- Jak mam, do diabła, poradzić sobie z akcją wygnania Niny będąc w ciele świnki morskiej ?!

- Twoim zadaniem nie jest przegnanie Niny - usłyszałam głos, który natychmiast rozpoznałam po świętomikołajowym tonie. Należał do Buddy.

Wtem z ciemności wyłoniła się niewiarygodnie tłusta świnka morska i uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie. Promieniała bielą. Mówiąc „promieniała”, mam na myśli rzeczywiste promieniowanie - musiałam zacisnąć powieki, by nie dać się oślepić tej jarzącej się istotie. Budda wyjaśnił przecież przy naszym pierwszym spotkaniu, iż objawia się zawsze w postaci, w której odradza się dusza człowieka.

Nieznacznym ruchem łapek Budda rozgonił ciemność, zamiast niej ukazała się teraz ogromna łąka, mieniącą się feerią barw żywych jak w technikolorze. Rozciągała się w nieskończoność, zewsząd wyłaniały się najpiękniejsze kwiaty, przypominające hipisowską wycieczkę po krainie LSD - ta sceneria nie mogła być realna. Budda sprowadził mnie tutaj, by ze mną porozmawiać w cztery oczy, bez rozpraszania przez cokolwiek czy kogokolwiek.

Tworzenie własnych rzeczywistości musi sprawiać niezłą frajdę. Gdybym również posiadała ową umiejętność, mój odrealniony świat przedstawiałby się następująco: ponownie żyłabym w człowieczym ciele, zdradzanie własnego męża z Danielem Kohnem w żadnym razie nie byłoby niczym nagannym, a Nina, po doznaniu całkowitej amnezji, zamieszkałaby nad jeziorem Titicaca.

Spojrzałam na siebie i odkryłam, że jestem noworodkiem świnki morskiej, mam białe - brązowe futerko, które po porodzie jeszcze się całe klei.

- Dlaczego stałam się tylko świnką morską? - zapytałam, zanim jednak Budda zdążył udzielić jakiegokolwiek odpowiedzi, tupnęłam moją małą świńską łapką i zażądałam: - Chcę być psem! Chcę! Chcę! Chcę! - Jeszcze przed tygodniem nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek wypowiem takie zdanie.

- By odrodzić się w ciele psa, musiałabyś zebrać więcej dobrej karmy.

- Czyżbym uratowała niewłaściwe mrówki? - zgadywałam.

- Nie.

- Nie?

- Uratowałaś je z niewłaściwych pobudek.

- Z niewłaściwych pobudek?

- Motywy twojego postępowania były egoistyczne. Chciałaś bowiem zyskać przede wszystkim możliwość przepędzenia Niny. Gdybyś to samo uczyniła ze szczerego serca, byłabyś teraz...

- Psem? - spytałam pełna nadziei.

- Albo jakąś inną, jeszcze wyższą w hierarchii istotą - odparł Budda, podczas gdy narkotyczny krajobraz wokół nas bladł. Widać było już wyłącznie białego Budde. Spowitego w całkowitą ciemność.

- Żyj pięknym życiem - rzuciła na pożegnanie opaska świnka i rozpułyła się w powietrzu.

Zawołałam:

- Hej, nie możesz tak po prostu stąd zniknąć! - A jednak nauczona doświadczeniem wiedziałam, że owszem, może. Może absolutnie wszystko, czego zapragnie. Znalazłszy się ponownie w owej ciemności, samotnie zastanawiałam się, cóż kryło się pod pojęciem „wyższej w hierarchii istoty” - małpa czy wręcz człowiek?

W czym jednak pomogłoby mi ludzkie ciało? Przecież jako świeżo narodzone maleństwo byłabym znacznie młodsza od Lilly.

Nagle znów przeniknęła mnie nadzieja. Mając dwa latka, jako ludzkie dziecko będę już potrafiła mówić. A wtedy opowiem wszystko Alexowi i powstrzymam go przed zejściem się z Niną. Być może nawet by na mnie zaczekał, aż dorosnę, by znów mnie poślubić. On miałby około pięćdziesięciu, ja około osiemnastu lat...

Ho, ho, ho, rozważam w myślach ponowne wyjście za mąż za Alexa. Czyżbym jednak coś do niego czuła?

Ten utopijny wytwór mojej wyobraźni zawierał jednak pewien drobny feler. Gdyby ludzie pamiętali swoje poprzednie wcielenia, tak jak ja - mrówka i ja - świnka morska to potrafię, czyż nie chodziłoby po tym świecie szalenie wiele ludzi, wspominających swoje wcześniejsze żywoty? Ludzi mówiących: „Hej, byłem kiedyś Humphreym Bogartem i cieszę się, że teraz jestem trochę wyższy” albo: „Poprzednio byłam tancerką w Moulin Rouge, ale niestety obecnie moja umiejętność tańczenia kankana nie przydaje się zbyt na kierowniczym stanowisku w firmie Mercedes - Benz”. Albo: „Przecież to ja, John Lennon! Dlaczego więc nie przeszedłem nawet eliminacji do »Idola«?”.

Niestety, jedyni ludzie, którzy pamiętają swoje poprzednie wcielenia, to albo Shirley MacLaine, albo obłąkani, albo jedno i drugie.

Tak czy owak, obydwie możliwości - odrodzenie się jako pies lub jako człowiek - byłyby lepsze niż gryzoni żywot w ciele świnki morskiej. Wobec tego muszę jak najszybciej zebrać kolejną porcję dobrej karmy!

- Czy mogę wziąć na ręce jedno małe naszej świnki? - spytała Lilly. Znów byłam w klatce. Promienie słoneczne już nie grzały, niebo się zachmurzyło. Było mi zimno.

Mama oblizwała mnie, uwalniając nareszcie moje dotąd sklezione oczy. Pierwszym obiektem, który zauważyłam jako świnka morska, był zatem różowy zwierzęcy jęczyzek. Ale drugim była... Lilly! Sprawiała wrażenie, jakby na chwilę zapomniała o swoim żalu. Obecność pięciu maleńkich świnek napępiała jej serce radością.

- Proszę, proszę, podaj mi tę maleńką, tam w kącie! - poprosiła, wskazując na mnie! - Ona tak mocno się we mnie wpatruje.

Mój puls gnał jak szalony. Koniecznie chciałam, by Lilly wzięła mnie w ramiona i przytuliła.

Alex otworzył drzwiczki klatki. Moje spanikowane rodzeństwo symultanicznie piszczało: „piiiiiiiiip!”.

- Wszystko będzie dobrze, moje kochane - uspokajała świnka - - matka. - Wallalalala nie jedzą świnek morskich. - (Najwyraźniej nasza mamusia nie była nigdy w Chile).

Moje rodzeństwo mimo kojących słów rodzicielki nadal piszczało i tylko ja byłam całkiem spokojna.

- Popatrz, tylko ta jedna w rogu wcale się nie boi - stwierdziła Lilly.

- No to ją weźmy - zdecydował Alex.

Serce biło mi jeszcze mocniej, przecież zostanę wyjęta z klatki i znajdę się w ramionach kochanej Lilly. Będę mogła się do niej tulić, czuć jej bliskość...

- Co tam robicie? - usłyszałam głos Niny.

- Lilly chce wziąć na ręce jedną z młodych świnek.

- Przecież one dopiero co się urodziły. Z pewnością nie byłoby to dla nich dobre - powiedziała Nina.

- Nie byłoby dobre?! - zawołałam. - Nie masz najmniejszego pojęcia, co czuje świnka morska! Nigdy nie byłaś gryzoniem. Co najwyżej marną imitacją króliczka. „Playboya”!

Naturalnie Nina usłyszała tylko głośnie „Piiiiiiiiip!”. Jednak mój pisk spotęgował pisk pozostałych świnek.

- Widzicie, jak piszczą ze strachu - rzekła Nina. Natychmiast zamknęłam mój mały pyszczek świnki morskiej. Ale to już nic nie pomogło.

- Masz rację - zgodził się Alex i zwrócił się do Lilly. - Poczekamy, aż nieco podrosną.

Po czym zamknął klatkę.

I znów Lilly była daleko ode mnie.

Rozdział 25

NASTĘPNE DNI MIJAŁY MNIE I MOJEMU RODZEŃSTWU NA poddawaniu się troskliwej opiece naszej mamy. A trzeba przyznać, że była diabelnie dobrą opiekunką. Rozpieszczała nas, piskliwe istoty, przez całą dobę; pocieszała, czule szeptała i dbała o naszą czystość, wylizując nas matczynym języczkiem. I jakkolwiek dziwnie by to brzmiało - zaczynało mi się to naprawdę podobać. Po wszystkich pełnych napięcia dniach mojego poprzedniego wcielenia, nowe życie jawiło się niemal jak urlop. Owszem, być może chętniej spędziłabym tydzień w spa na Sycylii, z osobistym, dobrze zbudowanym masażystą (a lizanie mojego ciała w jego wykonaniu sprawiałoby mi zapewne więcej przyjemności...). Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się, dlaczego właściwie moje nowe położenie tak mi się podoba. Początkowo odpowiedzialnością obarczałam wrodzony instynkt świnki morskiej pod hasłem: „Moja mamusia powinna mnie kochać”. Później jednak uświadomiłam sobie, że jako ludzkie dziecko także pragnęłam matczynej miłości, której mi najczęściej moja zbyt egoistyczna rodzicielka nie dostarczała.

Z biegiem lat wypracowałam sobie przeróżne strategie, mające na celu zwrócenie na siebie jej uwagi - jako dziewczynka próbowałam wyrzucić wrażenie dobrymi ocenami w szkole, ale bezskutecznie. Jako nastolatka przeżywałam bunt. I kiedy spostrzegłam, że także ten sposób nie przynosi efektów, zaczęłam szukać miłości gdzie indziej, w Alexie znalazłam nie tylko kochanka, ale także przyjaciela, który mnie wspierał. W przeciwieństwie do mnie, on pochodził z bezpiecznego i pełnego miłości domu rodzinnego. Jego rodzice byli małżeństwem od ponad dwudziestu lat, kochali swoje dzieci i zawsze pozytywnie patrzyli w przyszłość. Krótko mówiąc, wydawali mi się równie realni jak postaci z filmu science fiction.

Goszcząc u nich, czułam się zarazem i dobrze, i nieswojo. Dobrze, ze względu na wszechobecną harmonię. Nieswojo, gdyż w takich momentach zawsze przypominają mi się zgadywanki typu „Co tu nie pasuje?”.

I owym „niepasującym elementem” między tymi stworzonymi do harmonii osobami byłam właśnie ja. Alex ufał jednak, że wkrótce również stworzymy idealny model rodziny, czemu nawet przez dłuższy czas dawałam wiarę.

Niestety, teraz, przez mój nierozważny krok, dawna rodzina legła w gruzach, a ja sama stałam się częścią nowej rodziny - świnek morskich.

Po dziesięciu dniach Alex nareszcie wypowiedział do Lilly długo oczekiwane słowa:

- Już możesz wziąć któreś z maleństw na ręce.

Natychmiast zaczęłam torować sobie drogę do drzwiczek, przeciskając się usilnie między pozostałymi świnkami. W przypadku jednej z nich, przytulającej się do mnie szczególnie mocno, musiałam zastosować niewielką perswazję - ignorując przy tym stwierdzenie naszej mamy, wypowiedziane tonem nagany:

- Nie wolno ci kopać braciszka między nogi [Pamiętników Casanovy: Przez następnych parę godzin wydawałem z siebie wyłącznie piski o oktawę wyższe niż zazwyczaj.].

Odpisknęłam jedynie, ponieważ mój aparat mowy niestety nie był jeszcze wystarczająco rozwinięty, by udzielać bardziej treściwych odpowiedzi.

- Którą świnkę mam wziąć? - zastanawiała się głośno Lilly. Posłałam jej najbardziej dobroduszne spojrzenie w całej galaktyce.

Alex ostrożnie wyjął mnie z klatki, nieświadomie dotykając mojego ciała po raz pierwszy od dłuższego czasu. Jego dłonie okazały się takiej samej wielkości co cała ja, ale uścisk był lekki i zarazem męski. Wspaniały.

Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek dotknie mnie w ten sposób jako kobietę. Może rzeczywiście niedługo odrodzę się w ludzkim ciele, a on na mnie zaczeka? Czy po pięćdziesiątce nadal będzie miał takie delikatne dłonie? Kiedy spostrzegłam, z jaką tęsknotą konstruuje w myślach abstrakcyjne wizje, zrozumiałam, że naprawdę wciąż coś do niego czuję.

Alex położył mnie miękko na dłoniach Lilly i ostrzegł:

- Tylko ostrożnie!

Podksecytowana Lilly zwróciła się natomiast bezpośrednio do mnie.

- Muszę ci coś koniecznie pokazać! - Alexowi zaś posłała figlarne: - Ale ty nie możesz tego widzieć. - Alex był wprawdzie nieco zdziwiony, uszanował jednak tę drobną fanaberię.

Lilly zabrała mnie na tyły ogrodu, do jednego z kątów. Nagle zaczęła kichać, ale już po chwili przyłożyła palec do ust i zrobiła

zapowiadające naszą pierwszą wspólną tajemnicę symboliczne „Pssst!”.

Pogrzebawszy chwilę w ziemi, wyjęła z niej... murzynka!

- To moja skrytka na słodycze - oświadczyła z dumą.

Oślupiałam. Będąc pełnoetatową mamą, myślałam, że tajemnice zaczynają się raczej na krótko przed wejściem w okres dojrzewania.

- Podzielę się z tobą - zaproponowała. To nie był najlepszy pomysł. Po pierwsze, jako świnka morska nie strawiłabym takiej słodkości, po drugie, od murzynka Lilly z pewnością też zrobiłoby się niedobrze.

Energicznie pokręciłam głową, jednak Lilly, pomiędzy kolejnymi atakami kichania, stwierdziła tylko:

- Jak chcesz. W takim razie zjem sama.

Naturalnie to było najgorsze rozwiązanie. Ponieważ nie chciałam, żeby Lilly popsuła sobie żołądek, wgryzłam się w zalatującego pleśnią murzynka i jęłam się nim zajadać. Dobre posunięcie, zważywszy na chęć oszczędzenia Lilly przyszłych problemów gastrycznych. Niemądry ruch ze względu na moje wieczorne rewolucje żołądkowe, zakończone swoistym znaczeniem terenu całej klatki.

Gdy już spałaszowałam ciasto, Lilly spytała:

- Wiesz, co mi się ostatnio wciąż przytrafia w przedszkolu?

Zaprzeczyłam ruchem głowy, co Lilly przyjęła jak najzwyczajniejszą reakcję rozmówcy. Dzieci jakoś się nie dziwią, jeśli zwierzęta pojętnie reagują. (Dorośli natomiast często zastanawiają się, patrząc na swoich ulubieńców: „Czy on naprawdę mnie rozumie?”). Teraz już wiem, że reinkarnowani ludzie, chwilowo przebywający w zwierzęcych ciałach, potrafią naprawdę rozumieć. I obmyślić adekwatną odpowiedź na: „Kici, kici, kici, kto jest moim słodkim pieczuszkiem?”).

- Inne dzieci mi dokuczają - tym zdaniem Lilly wyrwała mnie z rozmyślań.

Dzieci dokuczają mojej Lilly? Wezbrała we mnie wściekłość. Już wiedziałam, dlaczego dotychczas nie znosiłam większości obcych dzieciaków.

- Lukas i Nils przezywają mnie Kill - Lill i mnie biją.

Rozjuszona uderzyłam łapkami o ziemię.

- Zachowują się tak już od tygodni - Lilly skarżyła się dalej ze łzami w oczach.

Od tygodni? To znaczy, że te głupki zaczepiały moją córeczkę, jeszcze kiedy byłam człowiekiem. Dlaczego nic mi nie powiedziała? Lub, niestety, raczej: dlaczego ja nic nie zauważyłam?

Zrobiło mi się niewiarygodnie ciężko na sercu; najwyraźniej nie znałam wystarczająco wielu faktów z życia mojej Lilly.

- Mama zawsze powtarzała, że trzeba być pewną siebie i się bronić - ciągnęła, drapiąc się po ramieniu. - Ale ja tak nie potrafię.

Mój Boże... a więc nic nie powiedziała, bo radziłam jej być zawsze silną w razie problemów w przedszkolu. Zakładałam, że samodzielnie sobie z nimi poradzi; tym samym traktowałam małą, bezbronną istotkę jak dorosłą. A przecież miała dopiero pięć lat. Powinnam była stanąć po jej stronie i porządnie zmyć głowę głupim bachorom. W przedszkolnej toalecie.

Niestety obecnie nie mogłam już nic uczynić, by pomóc córeczce w kłopotach. Lilly posłała mi pełne żalu spojrzenie. Bezradnie położyłam łapkę na jej dłoni i pogłaskałam. Malutka podrapała się po szyi.

Noc upłynęła mi w równym stopniu na walce z własnymi wyrzutami sumienia względem Lilly, jak i na jelitowych sensacjach związanych z ogrodową konsumpcją. Podczas gdy żołądek nie pozwalał mi na sen, przyglądałam się przez kraty klatki Ninie i Alexowi, gotującym wspólnie. Czynili tak codziennie, by potem zasiąść z posiłkiem w salonie przed kominkiem, który Alex chętnie rozpalał w chłodne wiosenne dni. Przy tym Nina ostrożnie znów próbowała znacząco uśmiechać się do Alexa, ale on - na szczęście - nigdy dotąd nie zareagował. Z naciskiem na „dotąd”.

Tego wieczoru jak zwykle zasiedli przed kominkiem i rozmawiali.

Alex przyjął rolę mówcy, a Nina przyjęła, najlepszą z możliwych, minę słuchacza. Prawdopodobnie myślała przy tym wyłącznie o odpowiednim momencie, w którym mogłaby uwieść Alexa, bez obaw o uznanie jej czynu za haniebny.

Nagle Nina rzuciła jakąś uwagę.

Nie usłyszałam niestety słów, ale u Alexa wywołały one uśmiech. A to mi się nie podobało. Nina mówiła dalej, ja zaś próbowałam czytać z ruchu jej ust.

„Frbmpf ” - rozszyfrowałam. „Haa, daaaffne, proll” - brzmiała wesoła odpowiedź Alexa.

Chyba muszę się bardziej skoncentrować.

Z Niny warg wyczytałam więc: „Ginekolodzy tańczą sorbctą”. Na co Alex odparł: „A urolodzy tortellini”.

Muszę się skoncentrować o wiele mocniej.

Nina rzekła: „Kocham twojego siusiaka”. Alex zaś odpowiedział: „Mój siusiak także ma dolby digital”.

- Argghhh! - krzyknęłam. To cholerne czytanie z ruchu ust doprowadzało mnie do szaleństwa.

- Psst - uciszyła mnie świnka - mama. - Wszyscy śpią. - Mimo jej miłego, kochającego tonu czułam, że powoli awansuję na kłopotliwe dziecko.

Nie zwróciłam więc na nią uwagi, chciałam dalej rozszyfrowywać rozmowę Alexa i Niny, jednak okazało się to już zbyt trudne. Nina coś rzuciła, na co Alex zareagował donośnym śmiechem. Głośnym, z całego serca!

Jak on może się tak śmiać? Po tym, jak ja umarłam! Przynajmniej dla niego. Przecież w takiej sytuacji nie może się szczerze śmiać. Powinien godzinami płakać! Całymi nocami! I dniami! Tak długo, aż musiałby poprosić lekarza o poradę z powodu całkowicie wyschniętych gruczołów łzowych!

A jednak Alex śmiał się dalej. I bynajmniej nie zaprzętał sobie głowy uzupełnianiem brakujących zasobów łez.

Cała sytuacja tak mnie rozsierdziła, że musiałam natychmiast znaleźć odpowiednie ujście dla skumulowanych emocji. Wybór padł na mojego brata - świnkę, który wcześniej zbyt intensywnie próbował się do mnie przytulać - wymierzyłam mu cios.

I wcale nie przeszkadzał mi fakt, że braciszek spał. Jemu zresztą chyba też nie za bardzo, bo wymamrotał coś cicho i zasnął ponownie.

Natomiast świnka - mama pouczyła mnie:

- Musisz być miłsza dla innych. To przecież twoje rodzeństwo, niedługo na pewno je polubisz.

"Jasne - pomyślałam - w dniu, w którym zapalałam szczerą sympatią do tych świnek morskich, papież prawdopodobnie odtańczy makarenę”.

Ponownie spojrzałam w stronę Alexa. Wycierał łzy! Ze śmiechu!

Po czym powiedział do Niny:

- Dziękuję. - To bez przeszkód rozgryzłam. Pożegnał się, rzucając: „Idę umyć siusiaka” (odczytanie tych słów nie było już takie

łatwe) i udał się do sypialni. Nina odprowadziła go wzrokiem, który jednoznacznie mówił: „Z nas jeszcze coś będzie”. Tę intencję byłam w stanie bez najmniejszych problemów odgadnąć.

Spojrzałam na nią z wściekłością, a moje fantazje w tym momencie stanowiłyby świetny materiał do filmu Świnka morska atakuje.

- Ta samica wallalalala jest dobrą istotą. - Zwierzęca mama wyrwała mnie z rozmyślań rodem z zoologicznego thrillera. - Temu samcowi zmarła niedawno jego poprzednia samica, ta nowa z czułością teraz się nim opiekuje.

- Dobra istota, też mi coś! - zapiszczałam tak zjadliwie, jak nigdy dotąd nie zapiszczała jeszcze żadna świnka morska. Choć, mimo wszystko, nie zabrzmiało to aż tak bardzo zjadliwie.

Po czym znów przyglądałam się Ninie i rozmyślałam, jak można by się jej pozbyć. Niestety, poza nedorzecznym planem polegającym na wzniesieniu w sobie jeszcze większej furii i ugryzieniu Niny ze wszystkich sił, nic nie przychodziło mi do głowy. Nina natomiast - owszem - znalazła sposób, by mnie wykluczyć z gry.

- Mówisz serio? - spytał Alex, stanąwszy przed klatką.

- Jestem tego absolutnie pewna - potwierdziła Nina, a ja spostrzegłam, że mówią bynajmniej nie o siusiakach z dolby digital.

- Lilly pęknie serce, jeśli je oddamy. Oddać? Chciała nas oddać?

- To najlepsze wyjście dla małej - odparła Nina, a Alex przytaknął.

- Najlepsze? - piszczałam. - Jak wydedukowałeś, że to najlepsze rozwiązanie? Najwspanialszym rozwiązaniem byłoby, gdybyś stanęła na środku autostrady w godzinach szczytu!

- Twarz małej jest już cała opuchnięta - mówiła dalej Nina. Lilly jest z pewnością uczulona na świnki morskie.

No nie! Tego w ogóle nie wzięłam pod uwagę. Malutka cały czas kichała i drapała się, a przyczyną nie było żadne przeziębienie czy wysypka, tylko ja! Co gorsza, Nina odstawiała obecną scenę z troski o Lilly. A to oznacza, że znów zarabia punkty u Alexa.

Dałam oficjalny wyraz mojemu protestowi, głośno piszcząc.

- Mamę musimy chwilowo zatrzymać, jest za duża. Ale małe mogą zabrać do pracy - zaproponował Alex.

Wtedy przypominałam sobie, że na krótko przed moją śmiercią Alex opowiadał o swoim koledze Bodo, który złożył mu propozycję

stanowiska na uczelni jako pracownika naukowego. Przy
doświadczeniach na zwierzętach!
Zaczęłam piszczeć jak opętana.

Rozdział 26

NASTĘPNEGO RANKA ZNALAZŁAM SIĘ WRAZ Z RODZENSTWEM W MAŁEJ, drucianej klatce, stojącej w surowym, pozbawionym okien pomieszczeniu na drewnianym stole, tuż obok komputera, którego okres świetności przypadał najwyżej na koniec lat dziewięćdziesiątych. Otaczało nas klimatyzowane, suche powietrze. To było nowe biuro Alexa, w rozległym kompleksie badawczym na skraju plaży. Rozpaczliwie beznadziejne miejsce, które każdego specjalistę od feng shui skłoniłoby do samobójstwa.

Mnie również robiło się już niedobrze.

Dlaczego Alex zdecydował się na podjęcie tej pracy? Przecież doświadczenia przeprowadzane na zwierzętach - nawet dla szczytnych celów - kłóciły się z jego przekonaniami. A ja pozostawiłam po sobie wystarczająco dużo pieniędzy...

Ojej, jasna cholera, wcale nie zostawiłam! Wszystkie oszczędności zainwestowałam w naszą willę, bo źle wykalkulowałam koszty jej remontu. I nie wykupiłam zawczasu żadnej polisy ubezpieczeniowej na życie. A zatem Alex musi teraz pracować, by spłacać hipotekę i utrzymywać dom.

Ależ my martwi jesteśmy egocentryczni! Cały czas myślimy tylko o tym, jak okropne jest nasze życie po śmierci, a przecież ci, którzy nadal żyją, także nie mają lekko.

Myśl ta wywołała u mnie tak wielkie poczucie winy, że musiałam jakoś odreagować - zdzieliłam więc tego samego co poprzednio braciszka.

- Daj wreszcie spokój, ty kretynko! - zrzędził. Osłupiałam. Nie tylko dlatego, że czarna świnka morska z białą łatką na oku tak dobrze rozwinęła aparat mowy, ale z powodu sposobu wypowiedzi. Przetestowałam mój narząd mowy:

- Czcz...

Moje struny głosowe były jeszcze nieco zeszywniałe, jednak ze sporym wysiłkiem udało mi się wyartykułować:

- Czy to pan, panie Casanova?

Oczy nieustannie spragnionej miłości świnki zaświeciły się. - Madame Kim?

- Tak - potwierdziłam i ucieszyłam się na widok światełka w tunelu beznadziejności.

- Jak cudownie, że nie jesteśmy już mrówkami - radował się Casanova, tak bardzo się do mnie przy tym przyciskając, że zaczęłam tęsknić za seansem tlenoterapii.

- A więc jednak zbieranie dobrej karmy się opłacało - paplał dalej Casanova. - Nawet pani nie wie, jak bardzo zachwyca mnie powrót do gromady ssaków! I wie pani, madame, na co się najbardziej cieszę?

- Nie, nie bardzo.

- Na uciechy cielesne.

- Uciechy cielesne? - spytałam zirytowana.

- Jako mrówka przeżywałam piekielne męki podczas aktu miłosnego z królową - wyjaśnił Casanova. - Ale teraz jestem samcem świnki morskiej i - wybacz pani kolokwialne nazewnictwo - świnki morskie pa...

- Nie chcę tego „rzą się” w ogóle słyszeć - odparłam szorstko, bo przecież również należałam do grona jego potencjalnych partnerek. W tej chwili istniały o wiele istotniejsze problemy niż libido Casanovy.

- Jesteśmy w laboratorium prób na zwierzętach - oznajmiłam.

- A co to takiego? - zapytał delikatny głosik za nami. Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na przerażone twarze naszego rodzeństwa. Ich struny głosowe także były już dostatecznie rozwinięte.

- Tego nie potrafię wam wytłumaczyć - odpowiedział Casanova sceptycznie spoglądającej mu w oczy brązowej śwince, która zadała pytanie.

- A co to jest „akt miłosny”? - spytała druga słodka samiczka, prawie cała w bieli.

- To z kolei jestem w stanie bardzo dokładnie wyjaśnić, mademoiselle - zaczął Casanova z rozmachem.

- A co znaczy „mademoiselle”? - przerwała trzecia, bardzo gruba i nieco rudawa świnka morska.

- Niezameżną kobietę nazywa się... - ciągnął Casanova.

- Co to jest „niezameżna” - znów wtrąciła świnka rodzaju żeńskiego.

- Moi drodzy... - zaczął Casanova.

- Co to są „dro...”?

- Mon Dieu, czy dacie mi wreszcie dokończyć?! - zirytował się Casanova, a zawstydzone świnki zamilkły. Casanova podjął próbę

przybliżenia rodzeństwu tematyki miłosnej we wszystkich jej odsłonach, jednak daremnie - one przecież wciąż jeszcze były dziećmi.

- Pozwólcie zatem, że porozmawiamy o samcach i samiczkach, kiedy będziecie nieco starsi - przerwałam te męki, na co małe świnki jednomyślnie zgodziły się skinieniem głowy. Zbyt barwne i bogate w detale opisy aktu płciowego, proponowane przez Casanovę, tylko by je niepotrzebnie zniechęciły.

- Ale cóż takiego oznaczają „doświadczenia na zwierzętach”? - nalegała sceptyczna świnka, która najwyraźniej przeczuwała, że nieuchronnie nadciąga niebezpieczeństwo.

Mówiłam dalej: - Wallalalala będą z nami wyczyniać nieprzyjemne rzeczy...

I to wystarczyło, by wywołać panikę.

- Mama! - krzyczały maleństwa. - My chcemy do mamy! Zdecydowałam w tym miejscu zakończyć wyjaśnienia. - Jakie mianowicie rzeczy? - Casanova chciał jednak koniecznie posiadać wiedzę.

Zanim jednak zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, do biura wkroczył Alex.

Z pewnością chciał nas zabrać do jakiegoś eksperymentu. Zaczęłam więc krzyczeć jak szalona.

- To ja! Jestem twoją żoną! Wypuść mnie stąd! Nie chcę być podłączona do jakichś elektrod tak długo, aż będę w stanie wyłącznie mamrotać coś pod nosem w rytmie La bamby!

Wszystkie świnki - oprócz pograżonego w myślach Casanovy - jeły wtórować mi przerażonym piskiem, nawet jeśli nie znały ani elektrod, ani La bamby.

Alex zaś zwrócił się do nas spokojnym tonem:

- Nie musicie się tak denerwować. Zrobimy tylko mały eksperyment zachowawczy.

Eksperyment zachowawczy? Nie denerwować się? To brzmiało już lepiej. Wprawdzie ciągle jeszcze niezbyt dobrze, a nawet nieco kiepsko. Ale z pewnością lepiej niż elektrody.

W tym momencie do biura wszedł Bodo, kumpel Alexa z czasów studiów. Miał około trzydziestu pięciu lat i był kawalerem. Nie wynikało to wyłącznie z jego niskiej i odpychającej postury. Raczej z faktu, iż niewątpliwie istnieją lepsze sposoby poderwania kobiety niż

kwestia: „Zarabiam na życie, przeprowadzając doświadczenia na zwierzętach”.

Alex prawdopodobnie nigdy by go nie poznał, gdyby profesor nie przydzielił ich do wspólnego projektu badawczego. A ponieważ Alex zawsze starał się dostrzegać pozytywne cechy u ludzi, pozostał wierny koledze, przekonując mnie, że: „On nie jest nawet w połowie tak zły, jak ci się wydaje”.

- Witamy w nowej pracy - powiedział Bodo ze śmiechem.

Alex skinął głową w milczeniu. Czuł się zapewne szalenie nieswojo z powodu konieczności podjęcia takiej roboty. Ja czułam się z tym jeszcze gorzej. Po pierwsze, byłam winna, że w ogóle musiał się na nią zdecydować, a po drugie, miałam stać się przedmiotem jego badań.

- Profesor chce już jutro mieć wyniki badań zachowania świnek morskich.

- Dlaczego? Przecież to przestarzały standardowy test. Poza profesorem już nikt go nie przeprowadza.

- Ale badanie zachowań jest jego prawdziwym konikiem.

- Naprawdę muszę już dzisiaj zacząć? - spytał Alex.

- A czy to jakiś problem?

- Mam odebrać córkę z przedszkola.

- Nikt inny nie może cię wyręczyć? Profesor z pewnością nie będzie zachwycony, jeśli wcześniej wyjdiesz.

- No... właściwie jest ktoś, kto może mi pomóc - odparł Alex z ociąganiem, a ja nie mogłam uwierzyć: czy on chce powierzyć to zajęcie Ninie?

- Słuszna postawa. W ten sposób z pewnością przetrwasz okres próbny - ocenił Bodo i wyszedł.

Alex westchnął i spojrzał na nas.

- No to idziemy do labiryntu - rzekł.

Rozdział 27

ALEX ZANIÓSŁ NAS DO WIELKIEGO, OŚWIETLONEGO NEONOWYMI lampami laboratorium. W jego podłogę wbudowany został ogromny lustrzany labirynt. Tam każdej ze świnek przydzielił po numerze. Od jednego do pięciu. Ja dostałam numer czwarty. Kiedyś Alex miewał nieco bardziej pieśczośliwe określenia dla mnie.

Byłam niewiarygodnie podenerwowana. Reszta mojego rodzeństwa z przerażenia piszczała, podczas gdy Casanova zapytał:

- Co zamierza pani mąż?

- Jeśli okaże się, że mamy szczęście, nasze zadanie będzie polegało jedynie na bieganiu w labiryncie.

Okrecałam przy tym nerwowo wokół mojej małej łapki swoją świńską bródkę.

- Nie bójcie się, maleństwa - rzekł łagodnie Alex. - Przeprowadzimy tylko nieszkodliwy eksperyment.

Jakże bardzo chciałam mu uwierzyć.

Alex umieścił nas w środku labiryntu. Pachniało tu sterylną czystością, zapewne pomieszczenie często było dezynfekowane. Ledwie postawiono nas na ziemi, moje rodzeństwo już biegło gorączkowo przed siebie.

- W mgnieniu oka się stąd wydostaniemy - rzucił Casanova i także pomknął gdzieś w dal.

Ja jednak usiadłam i strajkowałam. Niech inni się wysilają. Poczekam, aż Alexowi zrobi się głupio i sam mnie z tego labiryntu zabierze. Co może innego zrobić?

W tym momencie poczułam pod łapkami nieszkodliwy, ale silny impuls elektryczny. A więc to była jego broń!

- Do cholery, jaja sobie robisz? - krzykliwie zaatakowałam Alexa.

- Przykro mi, maleńka - usłyszałam odpowiedź. Jego głos brzmiał niepewnie. Nie był zadowolony ze swojego zadania. Ale mnie podobało się to jeszcze mniej!

Szczerze oburzona, stanęłam w miejscu jak wryta. Co naturalnie zaowocowało kolejną dawką prądu. Nieco mocniejszą.

- Twoje zachowanie jest jasnym powodem do rozwodu! - wykrzyknęłam do Alexa i pobiegłam.

Po mniej więcej piętnastu sekundach uderzyłam moim świńskim łepkiem w pierwszą lustrzaną ścianę.

Próbowałam się opanować. Przecież jakoś muszę się stąd wydostać. Nie jestem żadną pierwszą lepszą świnką morską. Tylko reinkarnowanym człowiekiem, chwilowo przebywającym w ciele małego gryzonia. A zatem o wiele bardziej rozwiniętym niż typowe zwierzęta eksperymentalne. To dopiero byłoby zabawne, gdybym nie zdołała się stąd wydostać w ciągu minuty.

Po upływie dwóch godzin wciąż tkwiłam w środku. I wcale nie było mi do śmiechu.

Miałam zmęczone łapki i bolącą głowę. Mnóstwo razy uderzyłam nią w lustrzane ścianki. Za każdym razem jednak, kiedy próbowałam się poddać lub zatrzymywałam się na dłuższą chwilę, nadchodziło elektryczne uderzenie.

- Doprawdy, nie mogę znieść pani małżonka - powiedział Casanova, stojąc naprzeciwko mnie w ślepym zaułku. (A może to było tylko lustrzane odbicie, a jego głos dochodził skądinąd?).

- Ja także! - odparłam. To, co Alex ze mną wyczyniał, nadawało pojęciu „problem małżeński” nowy wymiar. Fakt, że on z mojej winy musi obecnie kierować tym przedsięwzięciem, stał się dla mnie chwilowo całkowicie nieistotny. Ostatni ewentualny wyrzut sumienia względem niego zniknął jakiegoś dwanaście bliskich spotkań z prądem temu.

I znów nadeszło kolejne.

- W porządku, wystarczy! Wystąpię o rozwód! - wołałam. Wtem Alex pochylił się nad labiryntem. Jego naznaczona wyrzutami sumienia, z mojej perspektywy gigantyczna, twarz najwyraźniej dziwiła się, z jakiego powodu ta mała, biało - brązowa świnka morska tak przeraźliwie na niego wrzeszczy. Tego, iż chce mu wręczyć pozew rozwodowy, z pewnością nie podejrzewał.

Biegałam w kółko kolejną godzinę po labiryncie, wycieńczona ze zmęczenia i głodu. Od dłuższego czasu nie dostałam nic do jedzenia, marzyłam więc o opuszczeniu tej pułapki i spałaszowaniu czegokolwiek. Nagle wychyliwszy się za róg, zauważyłam dwie miski z pokarmem.

Jedna wypełniona trawą, druga mortadela.

Będąc świnką morską, wyczuwałam zapach trawy jako niesamowicie smakowity, mortadela natomiast mnie odpychała. Przy tym moja ludzka niegdyś percepcja przedstawiała się zupełnie inaczej: nigdy nie byłam wegetarianką, co zresztą łatwo dało się stwierdzić po

moich udach. A jednak teraz wszystko było inne. Sama choćby myśl o ogromnych ilościach mięsa, które zjadałam jako człowiek, obecnie przyprawiała mnie o dreszcze. Przede wszystkim dlatego, że teraz zastanawiałam się, czy pożerałam także reinkarnowanych ludzi. Czy wieprzowina na słodko - kwaśno była kiedyś obywatelem Chin? Czy kiełbaska w curry to moja dawna ciotka Kerstin? A może ta leżąca w misce mortadela była niegdyś Konradem Adenauerem? Cała kwestia reinkarnacji nasuwała wciąż wiele nowych, niewygodnych pytań. Próbowałam nie myśleć ani o ciotce Kerstin, ani o Adenauerze, ani tym bardziej o mielonym Chińczyku w sosie słodko - kwaśnym. W zamian za to przyjrzałam się dokładniej obu miskom. Jak Alex, przeprowadzając test, mógł sądzić, że świnka morska kiedykolwiek zdecyduje się na mortadelę? To idiotyczne. Ruszyłam w stronę zielonego pokarmu i otrzymałam kolejne uderzenie prądu.

- Aua! - krzyknęłam i w tym momencie pojęłam, dlaczego on wpadł na taki niesamowity pomysł: tylko ten, kto zdecydował się na mortadelę, był wolny od bolesnych pułapek. - Nienawidzę cię! - atakowałam go. - Powinam była cię już cztery lata temu zdradzić z Danielem Kohnem!

Alex czekał, aż pójde w kierunku mortadeli. Wszystko to było absolutnie...

- Sadystyczne bagno! - dokończył moją myśl Alex. Oniemiałam ze zdziwienia.

- Przykro mi, maleństwa. Zabieram was stąd - rzekł. - Wszystko to było idiotycznym błędem, składam wypowiedzenie!

- Już po jednym dniu? - spytał Bodo, który właśnie wkroczył do pomieszczenia.

- Nie potrafię się czymś takim zajmować - oświadczył Alex.

- Przecież przeprowadzałeś tylko małe doświadczenie badające zachowanie zwierząt, używając jedynie delikatnych impulsów elektrycznych. Jak myślisz, co ja obok wyczyniam z tymi małymi bydlakami podczas badań nad cukrzycą?

- Już ja wiem, co robisz - odpowiedział Alex.

- Wszystko dla szczytnych celów - zripostował Bodo.

- Być może. Ale ja się po prostu nie nadaję do eksperymentowania na zwierzętach.

- Myślałem, że twoja żona nie zostawiła ci żadnych pieniędzy? - drażył Bodo, a ton jego głosu zdradzał jakieś ohydne nuty.

- Wolę przeprowadzić się do mieszkania w bloku z wielkiej płyty, niż tutaj pracować! - odciął się wściekły Alex. Jego słowa brzmiały stanowczo. Ponownie nabrał pewności siebie. - Będę obstawał przy swoim. Składam wypowiedzenie!

Moje serce podskakiwało z radości.

- A te świnki zabieram ze sobą.

Moje serce nie tylko podskakiwało, ono wręcz odbijało się na trampolinie.

- Nie ma mowy. Potrzebuję ich jeszcze dzisiaj do badań cukrzycowych. Dlatego tu przyszedłem - wyjaśnił Bodo.

Ktoś brutalnie zabrał trampolinę spod mojego serca.

- Jedna z moich grup testowych została nieco pokancerowana przez jakiś głupi błąd. Jeśli mi ich nie zostawisz, stracimy decydujący dzień dla tych badań.

Alex wahał się. Po czym odpowiedział ze złością:

- Dobrze, weź je sobie.

Moje serce spadło z hukiem na ziemię, obok wcześniej odsuniętej trampoliny.

- Później was stąd zabiorę - Bodo zwrócił się do nas i także wyszedł.

Właściwie łatwo można było zrozumieć postawę Alexa: byliśmy dla niego jedynie świnkami morskimi. A badania miały pomóc ludziom. Zatem, jak mówiłam - jego postawę można było zrozumieć.

Ale nie trzeba było. I wcale nie miałam takiego zamiaru. Byłam po prostu niesamowicie wkurzona na niego. Najpierw sam się nade mną znęcał, teraz zaś oddał mnie w ręce prawdziwego sadysty. I pozwolił, by Nina odebrała Lilly z przedszkola. Pomyśleć, że jeszcze niedawno fantazjowałam o ponownym związku z Alexem...

Byłam tak wzburzona zachowaniem Alexa, że wyszłam z siebie i kilkakrotnie przypuściłam atak całą swoją masą świnki morskiej na lustrzaną ścianę, aż pękła. Za ścianą ukazał się Casanova.

Spytał z zaciekawieniem:

- Co to są badania cukrzycowe?

- Eksperymenty, które będą na nas przeprowadzane, by pomóc chorym ludziom - wyjaśniłam i znów zaczęłam skręcać włoski mojej bródki.

- Wspaniale - odparł Casanova. Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

- Wtedy przecież - wyjaśnił uradowany - zbierzemy dobrą karmę!

Rozdział 28

CASANOVA PRZEJAWIAŁ SKRAJNIE DOBRY NASTRÓJ. ŻADEN TO JEDNAK wyczyn, skoro on - w przeciwieństwie do mnie - nigdy nie moderował programu poświęconego eksperymentom na zwierzętach. Wiedziałam, że w porównaniu z takim badaniem cukrzycowym pobyt w Guantanamo jest niczym urlop w spa.

Wobec tej nadprogramowej wiedzy drżałam ze strachu, podczas gdy Casanova fantazjował nawet o osiągnięciu nirwany.

Naturalnie mnie także pociągała wizja zebrania dobrej karmy. Ale za cenę poddawania się tygodniami lub nawet miesiącami zastrzykom insulinowym lub innym preparatom? Dostanę gorączki, zaburzeń pracy serca i ostatecznie popadnę w delirium.

Owszem, pomogłabym chorym ludziom. Tylko czy naprawdę chcę się zamećzyć na śmierć dla ludzi, którzy w swoim życiu spożyli zbyt dużo słodczy?

Ale czy mam jakąś alternatywę? Uciec? Jako świnka morska? Istnieje tysiąc innych gatunków zwierząt, które miałyby o wiele więcej szans na ucieczkę w podobnej sytuacji. Mnie się nawet nie udało wydostać z labiryntu.

Może powinnam przynajmniej spróbować?

W oczekiwaniu na Bodo rozważałam za i przeciw potencjalnej rejterady, jakkolwiek nierealną się wydawała.

Za: nie zadręcą mnie na śmierć.

Przeciw: nie zbiorę dobrej karmy.

Za: nie zadręcą mnie na śmierć.

Przeciw: być może w ten sposób zbiorę nawet złą karmę.

Za: nie zadręcą mnie na śmierć.

Przeciw: zebrawszy niedobłą karmę, być może ponownie odrodzę się w ciele mrówki.

Za: absolutnie żaden z głupich argumentów dotyczących karmy nie może pobić świadomości uniknięcia śmiertelnych mąk.

W ten właśnie sposób sprawa się rozstrzygnęła - spróbuję ucieczki. Niech cukrzycy sami się poddają takim eksperymentom!

Zanim jednak zdążyłam choćby szkicowo obmyślić plan ewakuacji, do pomieszczenia wszedł Bodo.

- No, kochane, wszystko już przygotowane do waszego doświadczenia - powiedział wesoło. A mnie naszła myśl, że nie każdy

zawód powinno się wykonywać nadgorliwie i ze szczerym uwielbieniem.

Bodo wyjmował jedną świnkę po drugiej z labiryntu i umieszczał w klatce, którą postawił koło siebie na ziemi. Mnie jako ostatnią chwycił w dłonie, które tak śmierdziały papierosami, że należałoby mu zalecić raczej przeprowadzanie badań nad rakiem płuc.

Miał zamiar mnie także wcisnąć do klatki, w której znajdowała się już trójka rodzeństwa o bardzo niepewnych spojrzeniach i pełen radości, uśmiechnięty Casanova. Wiedziałam, że stracę ostatnią szansę ucieczki, gdy Bodo zarygluje drzwiczki klatki. Ugryzłam go zatem najmocniej, jak potrafiłam, w śmierdzący tytoniem palec.

Krzyknął, upuszczając mnie na ziemię. Spadłam na zimną posadzkę i mimo niewiarygodnego bólu śmignęłam przed siebie tak szybko, jak tylko pozwalały mi małe nóżki.

- Madame, co pani wyprawia? - wołał za mną Casanova.

- Musimy uciekać!

- A co z dobrą karmą?

- Chrzańć dobrą karmę! - zawołałam i ruszyłam do biegu o przetrwanie.

Rozdział 29

PODCZAS GDY BODO SSAŁ ZRANIONY PALEC, JA JUŻ ZBLIŻAŁAM SIĘ DO otwartych drzwi laboratorium. Obejrzałam się szybko za siebie i spostrzegłam, że pozostałe w klatce rodzeństwo zastanawia się, co powinno uczynić. W szczególności Casanova.

Bodo schylił się właśnie, by zamknąć klatkę.

- Wystarczy, że jedną z was muszę gonić. - Jednak w tym momencie ugryzł go w palec także Casanova [Z Pamiętników Casanovy: Dostrzegłem niezwykle przerażenie w oczach madame Kim Pomyślałem sobie, że skoro ryle żywotów wiodłem, nie zważając na dobrą karnie, zapewne Przeżyję bez niej i tym razem.]. - Auaaaaa! Co za przekłete bestie! - zlorzeczył głośno Bodo.

Casanova zaś wołał do pozostałych: - Uciekamy!

Kicał przed siebie, opuściwszy klatkę. Pozostałe świnki podążały za nim. Świnki morskie okazały się - podobnie jak my, ludzie - zwierzętami stadnymi, pięć małych świnek przemknęło więc przez laboratoryjne drzwi.

Do naszych uszu doszedł jeszcze wrzask Bodo.

- Już ja was dorwę!

Biegliśmy wzdłuż długiego, białego korytarza, wypatrując jak opętani klatki schodowej. Bodo gnał jednak za nami, z pękiem kluczy wciśniętym w kieszeń, odgrajając się:

- Jeśli natychmiast się nie zatrzymacie, eksperymenty na was przeprowadzę bez narkozy! Nie obchodzi mnie, co mówią przepisy!

Dotarliśmy do końca korytarza, gdzie znajdowały się tylko jedne otwarte drzwi, a ponieważ za nami podążał Bodo, nie mieliśmy wyboru.

- Do środka! - zakomenderowałam. Wśliznęliśmy się przez drzwi. W sam środek koszmaru. W pomieszczeniu znajdowała się klatka z czterema małpami - opatrzonymi plastrami, opaskami, częściowo ogolonymi. Tak bardzo się tym widokiem rozsierdziłam, że naszła mnie gorąca nadzieja, iż Bodo i jego kumple odrodzą się nie w postaci bakterii jelitowych, tylko w ciałach zwierząt, na których przeprowadza się doświadczenia!

- Ha, mam was! - ucieszył się złowieszczo Bodo. Stał w drzwiach. Małpy, dostrzegłszy go, kryły się przerażone po kątach klatki, oprócz jednego, sprawiającego wrażenie dumnego z siebie orangutana z przymocowaną do głowy metalową płytką.

- Możemy mu przebiec między nogami - powiedział Casanova. - Nie zdoła złapać nas wszystkich.

- Ale niektóre, owszem - odparłam; nie miałam przecież najmniejszej ochoty okazać się akurat tą nieszczęśliwą, którą uda mu się dorwać.

Rozejrzawszy się w koło, zauważyłam, że klatka małpek jest zamknięta. Przypomniałam sobie jednak o pęku kluczy, zwisającym z kieszeni spodni Bodo. Krzyknęłam do małp:

- Czy ktoś z was potrafi kluczem otworzyć klatkę? Odezwał się dumny orangutan:

- Przyglądałem się wystarczająco wiele razy, jak to się robi - jego głos brzmiał zdecydowanie, najwyraźniej nie ingerowano jeszcze w jego wolną wolę, a ja zastanawiałam się, czy on aby także nie był kiedyś człowiekiem. A jeśli tak, to co przeszkrobał w poprzednim wcieleniu? - Potrzebujemy klucza - powiedziałam do Casanovy.

- A jak mielibyśmy go zdobyć?

- Kiedy Bodo się do nas nachyli, proszę go ugryźć w miejsce, które sprawia szczególnie dotkliwy ból.

- Madame, nie jestem specjalnie zainteresowany zagłębianiem się aż tak w męskie krocze.

- A jak bardzo jest pan zainteresowany śmiertelnymi torturami?

- No dobrze, wygrała pani.

- Teraz się do was dobiore! - groził Bodo, pochylając się nad nami. Casanova zwinnie wlaźł do jednej z nogawek spodni, - Co ty wyprawiasz, mała bestio?

Spodnie Bodo zaczęły się wyrzyszczać. Najwyraźniej signore wspinał się po włosach na nogach aż do...

- AUAAAAAUAAAA! - wydarł się Bodo i padł na ziemię [Z Pamiętników Casanovy: Dla mnie także był to ten rodzaj przeżycia, z którego z wielką przyjemnością doprawdy mógłbym zrezygnować.]. Podbiegłam do niego, pyszczkiem wyciągnęłam klucze z kieszeni spodni i ciągnęłam je co sił w kierunku klatki. Moje futerko ociekało potem. - AAAUUAA! - lamentował dalej Bodo. Casanova nie odpuszczał.

- Już za moment ci się uda! - dopingował mnie orangutan z metalową płytką. Pozostałe małpy także zbliżyły się do drzwi klatki. W ich oczach dostrzegłam mieszankę pragnienia wolności i głodu morderczej zemsty.

Tymczasem klnący Bodo próbował złapać Casanovę.

Wsunęłam klucze przez kraty klatki, orangutan złapał je gorączkowo, by otworzyć drzwiczki.

- Pośpiesz się! - poganiałam go.

- Do tego żądania mogę się tylko przyłączyć! - zawołał Casanova.

- Spokojnie - odpowiedział orangutan. Bodo chwycił signore i zagroził:

- Zapłacisz mi za to! Wtedy otworzyły się drzwiczki klatki. Małpy jęły uciekać. Spanikowany Bodo wypuścił z rąk Casanovę, który uderzywszy solidnie o posadzkę, stwierdził:

- Nie jestem wielkim miłośnikiem ratunku w ostatniej sekundzie. Bodo chciał zwiewać w kierunku drzwi, małpy jednak okazały się szybsze i ruszyły z przerażającym rykiem prosto na niego.

- Zostawcie mnie, bydlaki! - darł się Bodo, ale małpy nieubłaganie oddawały się zemście. Były przy tym brutalne. W wyważony sposób.

Czmychnęliśmy z budynku wprost do pobliskiego lasu. Tak daleko, na ile zdołały nas unieść nóżki i dopóki nie zawiodła nas kondycja. W końcu po raz pierwszy znaleźliśmy się na otwartej dzikiej przestrzeni, nie byliśmy zatem przyzwyczajeni do pokonywania długich dystansów. Całkowicie wycieńczeni, przystanęliśmy na niewielkiej łące. Nareszcie niebezpieczeństwo minęło. Nabrawszy ponownie powietrza, jęliśmy korzystać z rajskich obfitości, jakich dostarczała nam łąka; zajadaliśmy się świeżą trawą. I muszę przyznać, że smakowała zdecydowanie lepiej niż Konrad Adenauer w postaci mortadeli.

Napełniwszy żołądek, sceptyczna świnka morska, której Alex przydzielił numer pierwszy, zaczęła się dopytywać:

- Co teraz zamierzamy?

- Najlepiej, jeśli dostarczymy was z powrotem do mamy - odparłam, pragnąc jak najszybciej znaleźć się ponownie w pobliżu Lilly. - Ale w tym celu koniecznie musimy znaleźć jakąś szosę.

Moje nieczłowiecze rodzeństwo szalało z radości na myśl o spotkaniu z mamą i energicznie biegło przez las. Mnie także cieszyła odzyskana możliwość swobodnego poruszania się. Podczas leśnej wędrowki zaobserwowałam, że charaktery rodzeństwa, szczególnie na wolności, wyraźnie się różnicowały. Numer jeden, tzw. sceptyk,

widział w każdym drzewie potencjalne zagrożenie, numer dwa, grubasek, zatrzymywał się co krok, by zadać ulubione pytanie: „Czy to jest jadalne?”. A numer trzy, mała, słodka samiczka wierciła Casanovie dziury w brzuchu pytaniami o różnice między samcem a samicą oraz o powody, dla których miałyby one prowadzić do niesamowitych przyjemności. Casanova objaśniał ty kwestie chętnie i niewiarygodnie malowniczo. Ja również przysłuchiwałam się w skupieniu jego wywodom, tęskniąc za fizycznością, przy czym w moich seksualnych fantazjach występowali na zmianę Alex oraz Daniel Kohn.

Przyłapałam się także na uczuciu sympatii, jaką zaczęłam darzyć te małe, ciekawskie istotki. Zatem nasza mama - świnka miała rację - przyjąłam je do swego serca, jakkolwiek wcześniej wydawało mi się to niemożliwe. Kiedy to pojęłam, nie mogłam się powstrzymać od wizualizacji papieża tańczącego makarenę.

Jakiś czas później dotarliśmy do parkingu przy autostradzie. W oddali słychać było szum przejeżdżających samochodów, co naturalnie pozostałe świnki, łącznie z Casanową, poważnie zaniepokoiło. Prawdziwe przerażenie wywołał jednak stojący na parkingu samochód ciężarowy.

- Karetą bez koni? - spytał zdumiony Casanova. - I w dodatku tak nieprawdopodobnie odpychająco wygląda? - Wciąż zapominałam, że Casanova pochodził z odległych czasów, musiał się zatem z wolna przyzwyczajać do obecnego stulecia.

Z ciężarówki wysiadł przysadzisty mężczyzna około trzydziestki w czapce z daszkiem i - niemożliwie fałszując piosenkę country I show you how I love you - zaczął sikać pod krzakiem. Spozstrzegłam że wóz miał poczdamskie numery rejestracyjne, i natychmiast pojęłam, co to dla nas oznacza. Tym samochodem możemy dotrzeć do domu.

Nakazałam pozostałym świnkom iść za mną. Wskakiwaliśmy przez jeden z leżących obok ciężarówki kanistrów na schodek, a stamtąd do kabiny kierowcy. W środku ścisnęliśmy się pod siedzeniem, żeby kierowca nas nie zauważył. Po krótkiej chwili kierowca wsiadł, zdjął buty oraz skarpetki, a my siedzieliśmy cicho jak świnka morska pod miotłą. Widzieliśmy dokładnie jego bose stopy naciskające pedały gazu oraz sprzęgła, a ja przeklinałam znakomity zmysł węchu, jaki mają świnki morskie.

Kierowca, nadal podśpiewując piosenki country, z pewnością byłby nas wcale nie zauważył, gdyby nie spadł mu na podłogę kawałek kanapki. Odkryłam w oczach numeru dwa, że ma zamiar się po niego rzucić, więc zatarasowałam mu drogę, zanim zdążył przejść pod siedzeniem. Cała operacja zaowocowała jednak wyłącznie jego głośnym protestem.

- Przepuść mnie!

Kierowca usłyszał pisk, spojrzął pod siedzenie i z przerażenia niemal gotów był nadać przez CB komunikat o całkowitej blokadzie drogowej.

Zjechał jednak tylko na pobocze i uśmiechnął się do nas, gryzoni.

- Jesteście głodne? - spytał.

Występując w imieniu rodzeństwa, które przecież nie rozumie mowy ludzkiej, skinęłam głową. Wręczył nam marchewki z puszki. Było to coś pięknego, spotkać nareszcie kogoś, kto podaje pokarm, nie serwując przedtem niezapomnianego uderzenia prądem, jak czynił mój całkiem stuknięty mąż. Czy też raczej całkiem stuknięty były mąż?

Wdrapaliśmy się na siedzenie pasażera, podczas gdy kierowca przyjaźnie się nam przedstawił:

- Jestem Elle, a wy?

W tym momencie pojęłam, że te małe świnki nie mają żadnych imion, tylko przydzielone im przez Alexa numery.

- Teraz nadam wam imiona - rzekłam więc do nich.

Wszystkie świnki od numeru jeden do trzy spojrzały na mnie poirytowane.

- Nie jesteście żadnymi numerami, jesteście świnkami morskimi - zakomunikowałam im podniosłym tonem Spartakusa.

Sceptyka numer jeden nazwałam Schopenhauerem. Małą, słodką samiczkę, której Casanova wpadł w oko, nadałam miano Marylin. A grubaskowi o nieustającej chęci jedzenia przydzieliłam imię Depardieu.

Cała trójka była zadowolona ze swoich imion, a ja odpisknęłam kierowcy w odpowiedzi:

- Nazywamy się Schopenhauer, Casanova, Marylin, Depardieu i Kim.

Elle uśmiechnął się, odpalił ponownie auto, a przed odjazdem pogłaskał czule zdjęcie przyklejone na desce rozdzielczej.

- Moja rodzinka nieziemsko się ucieszy na wasz widok. - Ze zdjęcia spoglądała rozpromieniona, opasła kobieta, której koniecznie przydałoby się członkostwo w Klubie Kwadransowych Grubasów, oraz trójka ich dzieci, które mogłyby posłużyć za motyw przewodni plakatu na temat „Otyłość i jej katastrofalne skutki”. A jednak ta rodzina zdawała się, mimo przekroczenia granic przyzwoitej wagi, o wiele szczęśliwsza niż moja.

A kierowca był jeszcze pogodniejszym mężczyzną. Miał wspaniałą rodzinę, ulubioną pracę i utwory country, które przez całą drogę nucił pod nosem.

Ten człowiek nie potrzebował nirwany.

Miał swoje życie.

Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek będę zazdrościć zawodowemu kierowcy ciężarówki.

Rozdział 30

KIEROWCA SKRĘCIŁ W DZIELNICĘ BABELSBERG, KTÓREJ ALEJE rozświetlały ostatnie promyki słońca, tuż przed zachodem. Widok ten, sfotografowany, z pewnością wydawałby się zupełnie kiczowaty, ponieważ jednak podziwiałam go własnymi oczyma, na żywo, byłam zachwycona. Zapewne dodatkowo dodawała mi skrzydeł świadomość, iż znajdujemy się tak niedaleko Lilly. Teraz musiałam już tylko w odpowiednim momencie wyskoczyć z ciężarówki wraz z pozostałymi świnkami i pokicać w kierunku mojego domu.

Elle zatrzymał auto na czerwonym świetle i podczas gdy ja znad deski rozdzielczej oddawałam się przyjemnej kontemplacji widoku drzew w promieniach zachodzącego słońca, po skosie od ciężarówki zahamował ogniście czerwony kabriolet marki Porsche. Przyjrzałam mu się i dostrzegłam, iż za kierownicą siedzi... Daniel Kohn!

Moje małe serduszko świnki morskiej zaczęło bić w rytmie cza - czy - tak bardzo byłam podekscytowana jego ponownym widokiem. Szczególnie teraz, po ostatnich przeżyciach z prądem, aplikowanym mi przez Alexa, Daniel wydawał się jeszcze atrakcyjniejszy.

W każdym razie wciąż wywoływał u mnie seksualne vibracje. Miałam nadzieję - całkowicie irracjonalną - że ja u niego także. Naturalnie nie w ciele świnki morskiej. Ale jako człowiek, którym wcześniej byłam. Powinien uważać mnie za najseksowniejszą kobietę na świecie, nawet jeśli moje uda nieco przekraczały tradycyjne normy.

Spojrzałam po sobie, lecz moje uda świnki morskiej okazały się równie grube. I do tego owłosione. Dla kobiety byłaby to mieszanka iście wybuchowa.

Wyprostowałam się i oparłam łapkami o szybę, by jeszcze lepiej widzieć Daniela. I zauważyłam przy tym, że nie jest sam. Z całą pewnością nie sam. Obok niego siedziała blondynka. Miała słynne wymiary 90 - 60 - 90, które z wyjątkiem reportaży o nocnym życiu w Saint Tropez raczej rzadko się widuje. Miała, jak szacowałam, około dwudziestu pięciu lat, a jej współczynnik IQ zdawał się ledwie nieznacznie tę liczbę przekraczać. Chichotała przy każdym słowie wypowiedzianym przez Daniela. Najprawdopodobniej identycznie reagowałaby, nawet gdyby powiedział: „W trójkącie prostokątnym suma kwadratów przyprostokątnych jest równa kwadratowi przeciwprostokątnej" albo wyszeptał do uszka: „Właśnie ekshumowałam twoją babcię".

Widziałam, jak się szarmancko uśmiechał do tej gdaczącej kobiety, tak samo jak wcześniej uśmiechał się do mnie. Moje serce definitywnie zaprzestało wystukiwania I am a woman in love, w zamian zaterkotało jak zębatka, w którą ktoś włożył kij.

Byłam rozczarowana i głęboko zraniona. Miałam nadzieję, że Daniel prowadzi teraz pełne żalu życie, opętany jedyną myślą: „Kim była najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Nigdy nie znajdę drugiej takiej jak ona. Najlepiej od razu wstąpię do zakonu”.

Niestety, podobne myśli najwyraźniej nie zaprzętały mu głowy. Za to, owszem, chętnie pozwalał, by ta Pamela Anderson dla ubogich drapała go po uszku.

Poczułam się rozgoryczona i zawstydzona własną uprzednią nadzieją, że właśnie Daniel będzie za mną tęsknił.

A może... może jednak za mną tęsknił? Może ta kobieta była tylko środkiem do celu, jakim jest zapomnienie właściwego bólu?

Właśnie, Daniel nie był typem, który uciekłby do bram zakonu lub okazał choć trochę melancholii. Zapewne ból po stracie mnie zakopał głęboko w sercu i rzucił się w wir rozrywkowego życia, by zapewnić wewnętrzną pustkę.

Tak, to było logiczne wytłumaczenie, dlaczego prowadzi się obecnie z taką lalunią.

Moje serce znów zabrało się do odgrywania radosnych melodii.

Wtedy zauważyłam, że Daniel jednoznacznie położył rękę na jej kroczu.

Wolałabym jednak wariant żałoby, dotyczący życia w klasztorze.

Dłoń Daniela zawędrowała teraz do końca spódnicy blondynki, która zareagowała na to jeszcze intensywniejszym drapaniem jego ucha.

Musiałam przyznać sama przed sobą - dałam się ponieść fantazji. Fantastycznej iluzji. On wcale za mną nie tęsknił.

Teraz więc wstydziłam się nie tylko dlatego, że pragnęłam, aby on za mną tęsknił, ale także dlatego, że byłam obrzydliwie naiwna, wierząc w to ślepo, choć widziałam go z inną kobietą i wszystkie fakty przemawiały zdecydowanie przeciw moim wyobrażeniom. Dotychczas zawsze myślałam, że jestem mniej naiwna.

Światło zmieniło się na zielone i ciężarówka ruszyła przed siebie. Przednie łapki ześlizgnęły mi się z szyby. Nie mogąc utrzymać równowagi na desce rozdzielczej, spadłam na ziemię, tuż obok

pedałów. Elle na tyle się do nas przyzwyczaił, że nie przeszkadzało mu, iż świnki morskie urzędują między jego bosymi stopami.

Otrząsnęłam się, polizałam obolałe łapki i postanowiłam: musze raz na zawsze zapomnieć o Danielu Kohnie.

Naturalnie jasne było, że ta misja z góry jest skazana na niepowodzenie.

Kiedy Elle zatrzymał się na stacji benzynowej, dałam rodzeństwu znak do ucieczki. Wskoczyliśmy z ciężarówki.

- Hej, dokąd biegniecie? - zawołał zdezorientowany Elle. Poczułam żal, że nie mogę mu wszystkiego wyjaśnić. Był przecież naprawdę równym facetem, choć aż się prosił o natychmiastowy podarunek w postaci talonu na usługi pedikiurzystki.

Prowadziłam świnki przez poczdamskie ulice, uczyłam, jak trzeba przez nie przechodzić na drugą stronę, by nie zostać przejechanym, aż nareszcie dotarliśmy do alei przy której stał nasz dom. Szczęśliwa biegłam w jego stronę, w towarzystwie Schopenhauera, Marylin, Casanovy i... gdzie się podział Depardieu?!?

Nie zdążywszy dojść do drugiej strony ulicy, obróciłam się i spostrzegłam, że Depardieu został na bruku ulicznym, gdzie rosła mała stokrotka. Samotna, mała, idiotyczna stokrotka. Depardieu zjadał ją z takim samym rozrzewnionym wyrazem twarzy, jaki przybrał Budda na swojej narkotycznej łące. Z drobną różnicą: na spotkanie z Buddą nie pędził renault scenic.

- Depardieu! - krzyczałam.

Bezskutecznie; w czasie pałaszowania posiłków Depardieu zapominał o całym świecie.

- DEPARDIEU!!! - wrzasnęłam ponownie. Pozostali członkowie naszej grupy, którzy zdążyli już dotrzeć na chodnik, spostrzegli, co się dzieje. Tylko niestety osoba za kierownicą, zdesperowana gospodyni domowa, nie zdążyła go zauważyć.

Wszyscy darliśmy się teraz jednogłośnie: - DEPARDIEU!!!!!!

Ale ten urodzony smakosz nas nie słyszał. Wtem Casanova wybiegł do przodu, by zepchnąć świnkę z fatalnego miejsca [Z Pamiętników Casanovy: Moim impulsem było zebranie dobrej karmy. Przy okazji chciałem także wyrzeć odpowiednie wrażenie na samiczce Marylin.]

Dopingowałam go w myślach: „Dasz radę! Dasz radę! Dasz radę!” Ale nie dał rady.

Casanova zdołał wprawdzie odepchnąć Depardieu na bok, lecz nie zdążył uratować samego siebie i został porwany przez pędzące renault. Wystrzelił w powietrze, zawirował i spadł twardo na ziemię, tuż obok mnie [Z Pamiętników Casanovy: W trakcie tej przepelnionej bólem śmierci rozważyłem istotę zbierania dobrej karmy jako niegodną tak daleko idących poświęceń.]..

Casanova był martwy. Stałam jak wryta. Nie był to dobry pomysł, bo z przeciwnej strony nadciągał właśnie volkswagen polo. Pędził dokładnie w moją stronę. O wiele za szybko, bym zdążyła przed nim uciec. W ostatnich sekundach, jakie mi pozostały, modliłam się, żeby kierowca - młody mężczyzna w typie maklera ubezpieczeniowego - zdążył mnie na czas zauważyć.

Moje prośby zostały wysłuchane.

Spostrzegł mnie.

Widziałam to w jego twarzy.

Naprawdę mnie spostrzegł!

Ale to nic nie pomogło.

Nie zahamował przed reinkarnowanym człowiekiem.

Rozdział 31

MOJĄ OSTATNIĄ MYŚLĄ BYŁO: „CHYBA NIGDY SIĘ NIE PRYZYWCZAJĘ do tego idiotycznego umierania!”.

Po czym znów nastąpił gwóźdź programu w postaci kalejdoskopu mego ostatniego żywota świnki morskiej: Alex i Nina żartują wspólnie o siusiakach, Lilly się do mnie przytula, Alex razi nas prądem, wołam: „Mam gdzieś dobrą karmę!”, przydzielam świnkom morskim imiona, stwierdzam, że Daniel Kohn nie marnuje ani jednej chwili na smutek po stracie mnie i że niepozorny kierowca ciężarówki stworzył szczęśliwszą rodzinę niż moja.

Wtedy nadeszła światłość.

Znów poczułam się tak dobrze.

Tak bezpiecznie.

Tak szczęśliwie.

Czyli jak zwykle.

Tylko to „jak zwykle” nie trwa długo.

W momencie, w którym ta światłość znów mnie odrzuciła, zaczęłam się zastanawiać w jakiej postaci teraz się odrodzę.

Istnieją przyjemniejsze odkrycia na świecie niż to, że do wyposażenia nowego ciała należą wymiona.

Tak również istnieją przyjemniejsze rzeczy niż stwierdzenie, że człowiek urodził się w śmierdzącej oborze. Jednak dopiero w chwili, kiedy się usłyszy, jak farmer klnie: Fuck, it is a really shitty birth, co jednoznacznie dowodzi, iż akcja na pewno nie rozgrywa się w Poczdamie, można wpaść w naprawdę podły nastrój.

- Budda! - wydarłam się, co dla pobocznych obserwatorów zabrzmiało jedynie jako przeciągłe „Muuuuuu!”.

I jakby na zamówienie, dotoczywszy się z sąsiedniego kąta obory, stanęła przede mną niesamowicie gruba krowa. - Cześć, Kim!

- Gdzie ja, do diabła, jestem?

- Na farmie w Yorkton.

- Yorkton?

- To prowincja Saskatchewan.

- Saskatchewan?

- W Kanadzie.

- W Kanadzie?!?

- W Ameryce Północnej.

- Wiem, do cholery, gdzie leży Kanada!!!

- To po co pytasz? - zażartował Budda, którego poczucie humoru, moim skromnym zdaniem, pozostawiało wiele do życzenia. Byłam na niego tak wściekła, że całkowicie utraciwszy nad sobą kontrolę, chciałam skoczyć mu do gardła. Niestety, jako świeżo narodzone cielę tak bardzo chwiałam się jeszcze na nogach, że po trzech krokach wpadłam nosem prosto w siano.

- Dlaczego pozwoliłeś, by mnie przejechano? - spytałam gniewnie, jak tylko wyplułam suche źdźbła.

- To ty jesteś odpowiedzialna za przebieg swojego życia i wszystkie wydarzenia, które cię spotykają. Do moich kompetencji należy wyłącznie reinkarnacja.

„Cholera - pomyślałam - a więc dodatkowo jestem winna temu, że zostałam przejechana przez samochód?”.

- Dlaczego jestem teraz krową?

- Bo zebrałaś dobrą karmę.

Byłam zaskoczona. Ja zebrałam dobrą karmę?

- Przecież... przecież uciekłam i świadomie nie pomogłam chorym na cukrzycę...

- Ale uratowałaś pozostałe świnki morskie.

- Chciałam uratować głównie siebie...

- Nadałaś świnkom imiona. Zdumiałam się.

- Tym samym ofiarując im pewność siebie. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

- Tym razem nie czyniłaś tego z egoistycznych pobudek, lecz ze szczerego serca.

Miał rację.

- A zatem nie jesteś aż tak zepsutą istotą - rzekł Budda.

- Ciągłe to przecież powtarzam, do diabła! - Tupnęłam nogą.

- Czyń więc tak dalej - poradził Budda - krowa i wykonał swój niezastąpiony trick rozplływania się w powietrzu.

Natychmiast zaczęłam zastanawiać się, jak zwiać z tej przeklętej Kanady i dotrzeć do domu. Jako cielak, raczej nie mogę w kasie lotniska zwyczajnie zażądać biletu na lot Saskatchewan - Berlin, w klasie ekonomicznej.

Im dłużej nad tym rozmyślałam, tym bardziej stawało się jasne, że jedyna droga ucieczki prowadzi przez ponowne zebranie dobrej karmy i kolejną śmierć.

Rozdział 32

KROWA - DŹDŹOWNICA - STONKA ZIEMNIACZANA - WIEWIÓRKA.
To był cholernie trudny czas.

Z dala od domu bardzo tęskniłam za Lilly. I zastanawiałam się, kiedy wreszcie znowu ją zobaczę [Z Pamiętników Casanovy: Dwa lata. Tyle minęło, zanim mogłem ponownie ujrzeć madame Kim. Dzięki temu, że bohatercko uratowałem Depardieu, zebrałem dobrą karmę i powróciłem na ziemię w ciele kota. Jako kot, żyłem w pobliżu domostwa monsieur Alexa, w nieustającej nadziei na sposobność nasycenia oczu widokiem mademoiselle Niny. Ta urocza istota spędzała każdy weekend u monsieur Alexa, obiektu swoich uczuć. I za każdym razem, kiedy ją widziałem, moje oczarowane serce biło coraz mocniej. W ten sposób wpadłem w najbardziej nietypowy miłosny trójkąt, jaki dotąd przeżyłem. A to musi coś oznaczać - przecież bywałem już w bardzo wielu nietypowych miłosnych trójkątach.]

Tęsknota za domem nie była jednak moim jedynym problemem. Już w pierwszym tygodniu nowego życia, tym razem jako cielak, miałam pewne kłopoty z właścicielem rancza, Carlem. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z reklamy Marlboro; nieustannie był w złym humorze, a jego nadejście już z daleka zapowiadał przewlekły kaszel nikotynowy. Kiedy przyszedł, by nas, nowo narodzone cielęta, oznakować, starsze muczały zrezygnowane. Traktował młode rozgrzanym żelazem, a ja nie mogłam dłużej znieść okrzyków bólu. I kiedy zbliżył się do mnie z tym narzędziem, zdecydowałam się na akcję zapobiegawczą - kopnęłam go mocno w rzepkę.

Carl zaklął głośno i ponownie spróbował zbliżyć do mnie rozgrzane żelazo. Poprosiłam - podobnie jak owa mała z metalową płytką na głowie, wtedy w laboratorium - pozostałe zwierzęta o pomoc. Wybuchła prawdziwa rebelia. Carl w panice wybiegł ze stajni.

Następnego dnia polecił uspić mnie i resztę cieląt.

Jak mogłam zebrać w ten sposób dobrą karmę? Oczywiście, nie mogłam. Ta była zła. Odpowiadałam przecież za śmierć pozostałych cielaków.

I przez to ponownie z hukiem spadłam z drabiny reinkarnacji.

Tym razem odrodziłam się w Irlandii, w postaci dżdżownicy. Wiłam się dzień i noc w wilgotnej ziemi, doświadczając na własnej

skórce, co to znaczy być obojnakiem (nie istnieje na przykład wojna płci a to potrafi znacznie ułatwić życie).

Przeszłam także przez proces desegmentacji po rozjechaniu przez kosiarkę do trawy. Ale przede wszystkim poznałam uczucie absolutnej bezsilności. Nie mogłam w żaden sposób przegonić Niny i miałam tylko głęboką nadzieję, że Alex sam z siebie wypędził ją ze swojego życia [Z Pamiętników Casanovy: Będąc kotem, mogłem obserwować, jak pewnego wieczoru przy płonącym kominku, mademoiselle Nina, zachęcona śmiechem panicza Alexa, próbowała go pocałować. Odepchnął ją jednak przerażony. Mademoiselle zareagowała rozdzierającym serce szlochem, po czym wybiegła z domu i odjechała swą dorożką bez koni w ciemną noc. Kolejne dni Alex spędził w salonie na rozemocjonowanym perorowaniu do małej skrzyneczki. Czyżby postradał zmysły? A może ta mała skrzyneczka jest kolejnym magicznym urządzeniem, które służy do komunikowania się na odległość? Czymkolwiek była, pewnego deszczowego popołudnia mademoiselle Nina ponownie zjawiła się w salonie. Popatrzawszy na siebie przez chwilę, zaczęli się namiętnie całować i... odwróciłem wzrok. Nie ze wstydu, przecież jako człowiek wiele razy oglądałem innych podczas miłosnych igraszek (by, oczywiście, samemu chętnie się dołączyć). Nie, spuściłem głowę z powodu bólu, jaki sprawiła mi świadomość, że utraciłem właśnie - przynajmniej na razie - mademoiselle Ninę.].

Chyba jednak nie mogłam na to zbyt liczyć. Wzięłam się więc w garść i postanowiłam naprawdę zbierać dobrą karmę. Moją jedyną nadzieją było przecież ponowne odrodzenie się gdzieś w okolicach Poczdamu. Nauczyłam pozostałe dżdżownice, jak uciekać z drogi kosiarce do trawy, i tym samym zrobiłam dobry uczynek.

Jako stonka ziemniaczana siałam spustoszenie wraz z innymi osobnikami mojego gatunku na korsykańskim polu ziemniaczanym. Trafiłam przy tym na jedną, bardzo małą, mówiącą po francusku stonkę, która była rzekomo kolejnym wcieleniem Napoleona. Miałam więc następną okazję do zebrania dobrej karmy, kiedy poświęcając własne życie, skutecznie przeszkodziłam mu w prowadzeniu bezsensownej wojny stoniek z kornikami.

W pobliżu niemiecko - holenderskiej granicy, tym razem jako wiewiórka, pojęłam, jak cudownie jest skakać z jednego drzewa na drugie. I znowu zebrałam dobrą karmę, kradnąc codziennie chipsy i

czekoladę z pobliskich kempingów Center Parku. Dzięki temu uratowałam pozostałe wiewiórki przed śmiercią głodową w zimie (a turystów przed wzrostem poziomu cholesterolu).

Po fazie krowy, dżdżownicy, stonki ziemniaczanej oraz wiewiórki rozpoczęłam moje ostatnie życie jako zwierzę.

Rozdział 33

PODOBNIEM JAK W JEDNYM Z MOICH POPRZEDNICH WCIELEŃ przebudziłam się całkowicie ślepa, tym razem jednak, gdy otworzyłam usta i zawołałam „Budda!”, z moich ust nie dobiegło żadne „pip”. Raczej rodzaj skomlenia „rrraaaauuu!”. Wokół mnie ujadły pozostałe „rrraaaauuu!”. Nie byłam zatem świnką morską. Ani mrówką, ani dżdżownicą, ani wiewiórką. Dopiero co umarłam w tej ostatniej postaci. Jakiś turysta uderzył mnie w głowę telefonem komórkowym, kiedy próbowałam wykraść mu kilka chipsów paprykowych. To potwierdza dwie kwestie: ludzie uważają wiewiórki za urocze, dopóki te nie zaczynają im działać na nerwy. Oraz: istnieją ludzie, którzy po prostu nie potrafią się zrelaksować nawet na urlopie.

- Jak się miewasz? - spytał dobrze mi znany dobroduszny głos Świętego Mikołaja.

- Witaj, Buddo, chętnie bym powiedziała: „Dawno się nie widzieliśmy”, ale niestety teraz w ogóle nic nie widzę.

- To akurat da się zmienić - odpowiedział, a moje oczy nagle odzyskały pełną sprawność.

Okazało się, że mieszkam w ciele szczeniaka rasy beagle, leżącego w koszu pełnym rodzeństwa, a kosz znajduje się w psiarni. Wyglądało na to, że zostaliśmy zabrani matce tuż po urodzeniu. Pomimo moich wcześniejszych gorących próśb, aby osiągnąć postać psa, do obecnej sytuacji podchodziłam z dystansem. Rozkwit mody na posiadanie beagle'ów uważałam zawsze za coś banalnego.

- Jeśli zrobisz wszystko, co należy, będzie to twój ostatni powrót na ziemię w zwierzęcym ciele - rzekł Budda, który obecnie jawił mi się jako niesamowicie opasły, czarno - brązowo - biały beagle, o wyglądzie jeszcze banalniejszym niż najbardziej przeciętny beagle przeciętnego Szmita.

- Ostatni powrót... ? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Zebrałaś bardzo dużo dobrej karmy w ciągu poprzednich żywotów. Uratowałaś mrówki, przyprowadziłaś świnki morskie do domu, uchroniłaś wiewiórki przed głodem. I nawet jeśli w tym czasie jej troszkę straciłaś, bilans pozostaje dodatni. Uczyniłaś więcej dobra niż kiedykolwiek w pierwszym życiu, jako człowiek. Możesz być z siebie dumna - ocenił Budda.

Przez chwilę naprawdę myślałam, że mogę.

Ale to były tylko ciche myśli. Nie czułam dumy. Tęskniłam za Lilly. Jak długo jej nie widziałam? Siedem miesięcy? Osiem? Przy takiej rotacji żyć i wcieleń można zgubić poczucie czasu.

- Prawie dwa lata - odpowiedział Budda.

- Dwa lata? - Serce mi zamarło w bezruchu. To... to oznacza, że Lilly ma już prawie siedem lat i chodzi do szkoły. Już prawie dwa lata żyje bez mamy.

Byłam zdruzgotana. I niewiarygodnie wściekła. Na Buddę. To on zabrał mi Lilly i zadbał o to, bym znajdowała się daleko od niej.

- Sama jesteś odpowiedzialna za swoje życie - odparł Budda z uśmiechem.

Najchętniej wymierzyłabym mu cios na własną odpowiedzialność. Ale byłam tylko małym beagle'em, podczas gdy on był nie tylko potężnym beagle'em, ale także cholernym Buddą. I najprawdopodobniej potrafi mnie zmienić nawet w zbiornik na deszczówkę, jeśli tylko najdzie go taka ochota.

- Nie przeklinaj tak bardzo.

Na dokładkę jest przeklętym jasnowidzem.

- Istnieje jedna rzecz, której musisz się nauczyć - powiedział Budda.

- Powiesz mi, co to takiego? - spytałam z nutką irytacji. Budda jednak delikatnie się uśmiechał w milczeniu.

- Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwałam - stwierdziłam jeszcze bardziej poirytowana.

- Na twoją lekcję przyjdzie jeszcze czas - obiecał Budda i potoczył swoje cielsko w kierunku drzwi wyjściowych psiej wylegarni.

W tym samym momencie wokół mnie znów nastąpiła ciemność. Budda na powrót odebrał mi zdolność widzenia. A ja zastanawiałam się, jaką lekcję ten spasy beagle miał na myśli.

Rozdział 34

NASTĘPNE TYGODNIE UPLYNĘŁY POD ZNAKIEM CAŁKOWITEGO rozpieszczania przez hodowców psów. Kiedy wystarczająco podrosłam, wybiegłam z hodowli wprost na ulicę i wskoczyłam do pierwszego nadjeżdżającego autobusu. Chciałam koniecznie dostać się do naszego domu, mimo iż bynajmniej nie miałam pewności, czy Alex będzie mógł i chciał mnie zatrzymać.

Wysiadłam na naszym przystanku prosto w nieczułe objęcia paskudnej pogody. Był już marzec, ale wiosna nie dawała żadnych oznak rychłego nadejścia. Sącznisty deszcz smagał moje krótkie futerko, co sprawiało, że zaczęłam wydzielać nieprzyjemny zapach mokrego psa. Nie czułam jednak zimna, a na wonną aurę wokół wcale nie zwracałam uwagi, ponieważ moim oczom ukazał się nasz dom, jasny, skąpany w strugach deszczu.

Widziałam, jak deszcz uderza w okna, o szyby. Widziałam nasz kominek i tańczące w nim ogniki. Widziałam, jak... ..jak Nina patrzy głęboko w oczy Alexowi!

Co ona, do diabła, tam robi? Co do niego mówi?

Dlaczego wyjmuje pierścień z puzderka? O mój Boże, przecież ona mu się oświadcza! Tego... tego... tego przecież nie robią kobiety... To... to... to mnie rani...

Temu... temu... temu trzeba koniecznie przeszkodzić! Ona nie ma prawa zostać żoną Alexa i matką Lilly!

Usta Niny układały się właśnie w słowa: „Ożenisz...”, gdy zaczęłam gnać przed siebie. A konkretnie do niej. Tak szybko, jak potrafiłam.

Pełną parą na drzwi tarasu.

Do diabła ze szkłem antyrefleksyjnym.

Rozległ się niewiarygodny huk. Zarówno w mojej głowie, jak i poza nią. Alex natychmiast skoczył na równe nogi, podbiegł do szyby i otworzył drzwi.

- A to co za pies? - spytała zszokowana Nina.

- Nie mam pojęcia - odparł Alex. - Ale wydaje się, że zrobił sobie krzywdę.

- Chyba nie zamierzasz go wziąć do środka? - spytała Nina.

- Nie mogę go przecież tak zostawić na dworze.

- Och, zapewne szybko się z tego wyliże - powiedziała Nina, próbując zamknąć drzwi tarasowe.

Rzuciłam się energicznie na ziemię, wyciągnęłam wszystkie cztery łapy i wycharczałam: „chhhrrlll”!

To była isticie oskarowa inscenizacja pod tytułem Konający beagle.

- On chyba naprawdę czuje się nie najlepiej - rzekł Alex. - Zabieram go do środka.

- Daj spokój. Jeśli jest chory, tylko się zarazisz! - prosiła Nina. - Nie mogę go tak po prostu zostawić na dworze - odpowiedział

Alex i Nina skapitulowała.

W swych muskularnych ramionach Alex przeniósł mnie przez próg. Gdybym była człowiekiem, ten gest miałby w sobie coś romantycznego.

- Zadzwońmy po weterynarza - zdecydował Alex i podszedł do telefonu. Nina przytaknęła sceptycznie. Cała sytuacja była jej nie w smak.

Mój wzrok w tym czasie padł na pierścień, który miał posłużyć do złożenia propozycji małżeństwa. Zawahałam się. Przez jakąś nanosekundę. Potem stało się dla mnie jasne, co powinnam zrobić.

Podskoczyłam.

- Ten pies odzyskał formę! - zawołała Nina. By chwilę później wrzasnąć: - I pożera pierścień!!!

Istnieją potrawy, które lepiej smakują niż ów złoty pierścień, ale dotychczas jeszcze żaden posiłek nie sprawił mi większej satysfakcji.

Alex patrzył wstrząśnięty. Jego twarz przybierała zawsze taki słodki wyraz, kiedy sytuacja go zaskakiwała. A dzięki mojemu nadzwyczaj wyostrzonemu węchowi beagle'a czułam, że przy tym niesamowicie pięknie pachnie. I mam na myśli nie wodę toaletową, lecz fantastyczny, naturalny aromat Alexa. Są mężczyźni, którzy przyjemnie pachną. Jednym z nich jest Alex. W odczuciu moich psich nozdrzy pachniał jeszcze wspanialej niż wcześniej. Tak oszalamiająco, że niemal zapomniałam o niedawnych rażeniach prądem oraz o fakcie, że Nina mieszka u niego. Byłam wprost zamroczone. Dobrze, że nie miałam ciecзки.

- Jak teraz odzyskamy pierścień? - spytała Nina z przerażeniem.

Ku mojemu zdziwieniu Alex się uśmiechnął.

- Po prostu poczekamy - odparł. - Kiedyś musi przecież wyjść na zewnątrz w sposób naturalny.

- Nie wiem tylko, czy wtedy będzie nadal taki romantyczny - rzekła Nina i głęboko rozczarowana, że jej oświadczyzny nie doszły do skutku, ruszyła w kierunku sypialni. A ja zrymowałam w duchu z radością: „Nikt nikomu małżeństwa nie proponuje, dopóki mój zwieracz sprawnie pracuje”.

- I co ja mam teraz z tobą począć? - spytał mnie Alex. Odszczełam: „Zatrzymaj mnie, zaraz po tym, jak wyrzucisz Ninę na zbity pysk!”.

- Jakoś nie potrafię cię zostawić na tym deszczu. - Alex uśmiechnął się i potargał mnie po głowie. - Połóż się przed kominkiem, ale, proszę, zachowuj się cicho, bo moja mała, słodka córeczka już śpi.

Najchętniej od razu bym pognała do jej pokoju, ale byłam tak wycieńczona podróżą tutaj, że posłusznie podporządkowałam się jego życzeniu. Ciepło bijące z kominka wysuszyło mi futerko i powoli utuliło mnie do snu. Pięknie było znaleźć się znów w domu.

Obudziło mnie jęczenie.

- Dawaj, Alex! - usłyszałam głos Niny.

Nie wiem, co mnie w tym momencie bardziej zmieszało. Czy to, że właśnie uprawiali pojednawczy seks, czy fakt, że Nina naprawdę mówiła przy tym: „Dawaj”. Przynajmniej Alex jest imieniem, które raczej połowicznie łączy się z owym „dawaj”. Chociaż „Dawaj, Henryku!”, „Dawaj, Jean - Louis” albo „Dawaj, świntuszku!” brzmiałoby z pewnością jeszcze idiotyczniej.

Nina jęczała coraz głośniejsze. A ja odkryłam, że nawet beagle'e potrafią się czerwienić. Byłam przygnębiona tym, że Alex po mojej śmierci nie zdecydował się na życie w celibacie. Podobnie jak Daniel Kohn. Tyle zatem w temacie mojego długotrwałego oddziaływania na mężczyzn.

Najchętniej bym tego w ogóle nie słuchała. Ale z powodu chrzanionego psiego słuchu było to całkowicie niemożliwe.

Wzbierała we mnie wściekłość: Jak on mógł się tak szybko pocieszyć! Nie żyłam dopiero od dwóch lat. W porządku - gdy ja zdradziłam Alexa, był przecież żywy. Czy mam zatem prawo boczyć się na niego?

Jasne, że tak, zdecydowałam. To tutaj to było całkiem co innego! A dokładniej, w jego przypadku było to... - szukałam argumentu -

...było to prawie świętokradztwo. Świetne słowo. Sprawilo, że od razu poczułam się moralnie więcej warta od niego.

Tymczasem Nina zaczęła się niezłe rozkręcać. Albo przynajmniej sprawiała takie wrażenie. Wyznała mi bowiem kiedyś skrycie, że bardzo często udaje uniesienie: „Tak jest lepiej, niż doradzać mężczyźnie sięgnięcie po fachową literaturę na temat lub skwitować: »Lepiej dokończę sama«".

Po tej rozmowie z Niną spróbowałam przy następnej okazji, kiedy seks okazał się kompletną klapą, odegrać szczytowanie. Było to na randce ze studentem prawa, Robertem, z którym zbliżenie sprawiało mniej więcej tyle samo satysfakcji, co wizyta u ginekologa.

Dlatego wolałam z nim raczej wspólnie oglądać telewizję. Krótki rzut oka na zegarek zdradzał, że za dwie minuty zacznie się Ally McBeal, uznałam zatem, że udawany orgazm będzie najlepszym środkiem do możliwie szybkiego zakończenia aktu i dzięki temu zdążę jeszcze w porę włączyć telewizor. Zabrałam się więc ochoczo do dzieła. Niestety, najwyraźniej byłam mniej utalentowaną aktorką niż Nina, bo po kolejnym moim jęknięciu Robert spytał: „Dostałaś skurczu łydki?”.

Nina krzyczała coraz głośniej. A ja coraz bardziej obawiałam się że nie jest to wyłącznie jej inscenizacja. Nie mogłam tego dłużej znieść. Dlatego zdecydowałam się na działanie. Popchnęłam moim psim pyszczkiem drzwi od sypialni i wyszczekałam: „Natychmiast złaż z niego! Powinnaś się wstydzić! I ty też, Alex! To, co robisz jest podłe! Absolutnie podłe! Tak podłe, że już nie mogłoby być podlejsze!”.

Nina i Alex znieruchomieli w pół drogi i z konsternacją gapili się na ujadającego kundla, stojącego w sypialni.

- Co jest, do cholery, z tym psem?! - spytała Nina i naciągnęła koldrę na piersi, które przeżyły się wprost bezwstydnie swoją jędrnością. Jak jej się to udało? Jako Kim Lange mogłam robić wszelkie ćwiczenia ujędrniające biust, w dowolnej ilości (najchętniej wprawdzie w ilości zerowej, ale z frustracji człowiek zaczyna czasem nawet uprawiać sport), jednak moje piersi kompletnie na to nie reagowały. Najczęściej więc, oglądając je w lustrze, mamrotałam pod nosem: „Siła ciężkości jest naprawdę wredna”.

- Zaraz go stąd wyprowadzę - zdecydował Alex i podszedł do mnie. Ja zaś byłam tak rozsierdzona jego zachowaniem, że

pozwoliłam, by kontrolę nade mną przejął instynkt, który obecnie doradzał: „Ugryź tego podłego, niewiernego naukowca, eksperymentującego na zwierzętach, porządnie w tyłek!”.

Ale zanim zdążyłam wcielić w życie to postanowienie, w drzwiach stała Lilly, zbudzona moim ujadaniem. Niewiarygodnie urosła w ostatnim czasie. Prawdziwa mała uczennica. Jej widok podziałał na mnie całkowicie rozbrajająco.

Spojrzała na mnie nader szczęśliwym wzrokiem.

- A więc jednak kupiliście mi psa na urodziny! To Lilly ma teraz urodziny?!

- To znaczy, że nie jestem już za mała na posiadanie pieska! - Lilly cieszyła się niezmiernie. Przytuliła mnie, a łzy napłynęły do moich psich oczu. Jak cudownie było poczuć znowu Lilly po tylu latach.

Alex i Nina wymienili niepewne spojrzenia. Jeśli teraz powiedzą Lilly, że nie byłam przewidziana jako nowy członek rodziny i zarazem jej prezent, dziecku z pewnością pęknie serduszko.

- Wzięliśmy go na próbę - rzekła Nina po krótkiej chwili.

Z pewnością chciała się w ten sposób przypodobać Lilly, a zarazem zapunktować u Alexa. W obecnej sytuacji było mi to nawet na rękę.

- Chodź - Lilly zwróciła się do mnie. - Możesz spać koło mojego łóżka.

Ruszyła przed siebie, ja zaś chciałam jej towarzyszyć, jednak zatroskany Alex stanął mi na drodze. Czułam jego najgłębszą obawę, że mogę zrobić krzywdę malutkiej. Spróbowałam więc spojrzeć mu możliwie najgłębiej w oczy i przekazać: „Nie bój się, prędzej dałabym się poćwiartować kosiarką do trawy, niż bym ją skrzywdziła”.

Zdawał się czytać w moich oczach szczerą miłość do Lilly, postanowił więc mi zaufać.

- No dobrze - zgodził się.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Pobiegłam wesołym truchtem za Lilly. Kiedy znalazłyśmy się same w pokoju, Lilly rzekła do mnie:

- To, że będziesz spać koło łóżka, jest wersją dla taty. Naturalnie możesz spać ze mną, pod kołdrą.

Szczeknęłam potakująco i wskoczyłam do łóżka.

Nareszcie leżałam w pobliżu córeczki i wpatrywałam się w świecące gwiazdki na suficie. Jednak w przeciwieństwie do naszego ostatniego wspólnego snu, kiedy jeszcze byłam mrówką, teraz nie do końca mogłam cieszyć się szczęściem. Przyćmiewał je ból dwuletniej rozłąki. Ominęły mnie dwa lata z życia małej, które nigdy już nie powrócą. Spojrzałam niepocieszona na budzik z motywem Snoopy'ego - było już dwadzieścia po dwunastej. Przed chwilą skończyły się jej siódme urodziny. Kolejne, które przegapiłam. I które nigdy już nie powrócą. Powieki Lilly się zamknęły. Słyszałam jej powolny, spokojny oddech, widziałam słodką dziecięcą twarzyczkę. I obiecałam sobie, że już nigdy więcej nie przegapię urodzin córeczki!

Rozdział 35

NASTĘPNEGO RANKA NA ŚNIADANIE POZWOLIŁAM SIĘ NAKARMIĆ LILLY marchewką - nawet jako pies dzięki doświadczeniu z reinkarnacją pozostałam zatwardziałą wegetarianką (niech kto inny zjada Konrada Adenauera).

Podczas wspólnego posiłku dowiedziałam się co nieco. Nina zamknęła dawne biuro podróży w Hamburgu i otworzyła nowe w Poczdamie. Alex zrealizował swoje wieloletnie marzenie i założył sklep rowerowy, a dzięki uzyskiwanym dochodom mógł spokojnie utrzymać dom. Handel rowerami był od zawsze jego ukochaną alternatywą dla studiów, lecz po narodzinach Lilly zawiesił pomysł, by troszczyć się o malutką.

Najciekawsze odkrycie tego poranka dotyczyło jednak mojego mięśnia zwieracza, a raczej jego nie do końca wiarygodnej funkcjonalności.

- Nie idę dzisiaj do pracy - powiedziała Nina.
- Dlaczego? - spytał Alex.
- Mam zamiar czekać na pierścień - odparła.
- Przecież kiedyś samoistnie wyjdzie - odrzekł z uśmiechem Alex. Zdawało się, że jakoś nie bardzo mu było spieszo do powtórzenia owej małżeńskiej propozycji, co mnie bardzo ucieszyło.

Alex przygotował się do wyjścia, by odwieźć Lilly do szkoły (mój Boże, ona naprawdę jest już pierwszoklasistką!), a następnie otworzyć sklep. Wykazywał przy tym prawdziwy entuzjazm, którego wcześniej od niego oczekiwałam. Na widok odmienionego, pełnego zapału Alexa straszliwa myśl przeszła mój umysł. Nina ma na niego dobry wpływ!

Tak twierdziła już wcześniej nawet mama - świnka morska. Ledwo zdążyłam o niej pomyśleć, a już przyszedł mi do głowy Casanova. Cóż się z nim teraz dzieje [Z Pamiętników Casanovy: Mademoiselle Nina podarowała świnki morskie pewnej starszej damie, której posiadłość leżała nieopodal. W kociej postaci odwiedzałem wielokrotnie te stworzenia, by mieć na nie baczenie. Oraz w celu uwiedzenia mieszkającej tam kotki. Kochałem wprawdzie mademoiselle Ninę, lecz miłość przecież nie jest żadnym powodem do abstynencji.]?

Pobiegłam na taras i rozejrzałam się po ogrodzie, ale nie było ani śladu klatki. Żadnych świnek morskich. Ani signore.

Nina poszła za mną. Włożyła na ręce gumowe rękawiczki, sięgnęła po ogrodowe krzesło, usiadła przede mną i zwróciła się do mnie przesłodzonym głosem.

- A teraz, mój miły, zrób, co do ciebie należy.

- Bądź z łaski swojej poważna, kiedy ze mną rozmawiasz - odszczekałam, po czym nastąpiła trzygodzinna próba cierpliwości.

Moja twarz beagle'a nabrzmiała, poczerwieniała, a ja zdążyłam wycharczyć:

- Wyyyyyytrzyyyymaaaamm, beeeezz naaaajmnieeejszeeeeego proooblemmmuu...

Przez cały czas Nina czekała jednak w gotowości, z dłońmi ukrytymi w rękawiczkach. A pierścień musiał się w końcu wydostać na zewnątrz. Ledwie zdążył upaść na ziemię, już po niego sięgnęła, wzdychając przy tym:

- Ach, jak wiele potrafię zrobić dla miłości...

Podczas gdy Nina przyglądała mi się jeszcze sfrustrowana, usłyszałam za sobą jazgoczący głos:

- Hej, a cóż to za pies?!

Odwróciłam się. To moja matka, właśnie nadchodziła od strony furtki. Ucieszyłam się na jej widok. Po kilku latach zwierzęcych żywotów w niepamięć ulatują wszystkie dawne urazy. Podbiegłam do niej, podskoczyłam na tylnych łapach i zaszczekałam przyjaźnie: „Hau, hau, hau!”. Marta odepchnęła mnie stanowczo.

- Nie skacz na mnie, durny kundlu!

Tyle w kwestii radości z ponownego spotkania.

- Ten pies przyplątał się do nas i teraz należy do Lilly - wyjaśniła Nina.

- A co to za pierścień? - spytała Marta.

- Chcę się oświadczyć Alexowi - cierpliwie wytłumaczyła Nina.

- Nie zaczekasz, aż on to zrobi? - dopytywała się mama. - Nie!

- Niech będzie. Sam pewnie by się do tego nie zabrał! „Niech będzie”? Nie mogłam tego pojąć. Moja mama aprobowała zachowanie Niny. Stała po jej stronie? A tym samym przeciwko mnie?

Przyjrzałam się Marcie i stwierdziłam, że niektórzy ludzie nie powinni się do nas zbliżać, jeśli chcemy zapomnieć o dawnej niechęci do nich.

Nina zaprowadziła Martę do domu i zamknęła drzwi tarasowe. Przez szybę widziałam, jak dobrze się rozumieją. Śmiały się i świetnie

się bawiły, co mnie wprawiało w nie lada zdumienie. A zatem można się świetnie bawić w towarzystwie mojej mamy? W towarzystwie kobiety, która śmieje się dopiero wówczas, gdy ma powyżej promila alkoholu we krwi? Czyżby Nina miała niezły wpływ także na moją matkę?

O rany, ta cała historia z wyśmienitym wpływem Niny na cały świat zaczynała mi naprawdę działać na nerwy!

Po południu Alex, wróciwszy do domu, zapytał mnie:

- Hej, co powiesz na mały spacerek?

- Zabierasz psa, a mnie nie? - zdziwiła się Nina.

- Chciałbym odwiedzić grób - odpowiedział Alex, a ja z trudem przełknęłam ślinę. Mowa była przecież o moim grobie!

Nina zrozumiała i przytaknęła w milczeniu.

- To co, chcesz iść ze mną? - Alex zwrócił się do mnie.

Byłam niezdecydowana. Oglądanie własnego nagrobka bynajmniej nie było gwoździem programu wycieczki krajoznawczej po własnym życiu.

Alex uśmiechnął się zachęcająco, wyartykułowałam więc aprobujący dźwięk z rodzaju skomlących i ruszyłam z nim w kierunku cmentarza.

Rozdział 36

PO DRODZE ZROZUMIAŁAM, DLACZEGO ALEX CHCIAŁ MNIE MIEĆ PRZY sobie. Potrzebował powiernika do rozmowy. Kogoś, kto, nie przerywając, pozwoli mu się uzewnętrznić. Kogoś, komu można powierzyć najskrytsze sekrety. A więc właśnie psa. Gdyby jednak zdawał sobie sprawę, kim jest towarzyszący mu pies, z pewnością by milczał.

- Wiesz... - zaczął, by zaraz przerwać samemu sobie. - Jak ty właściwie masz na imię?

Co powinno się na takie pytanie odszczeknąć?

- Nazwę cię po prostu Tinka - zdecydował za mnie Alex. Było to imię, które ewentualnie mogłam przyjąć.

- Wiesz, Tinka, moja żona zmarła przed dwoma laty.

Memu wewnętrznemu oku duszy znów ukazał się widok spadającej na mnie cholernej stacji kosmicznej.

- Bardzo ją kochałem - ciągnął dalej Alex.

Co takiego? A więc nawet pod koniec wciąż mnie kochał?

- Na krótko przed jej śmiercią nasze małżeństwo się rozpadło. Przestała mnie kochać. To mnie całkowicie dobiło.

- Co? - zaatakowałam szczekaniem. - Dlaczego mi tego nigdy nie powiedziałaś?

Posłał mi zaskoczone spojrzenie.

- Coś się stało?

Gorączkowo próbowałam więc udać, że jedynym powodem mojego werbalnego ataku było drzewo.

- Powiniennem był o nią walczyć... - rzekł Alex i szedł w zamyśleniu naprzód. Tymczasem zdążyliśmy już dotrzeć do cmentarza. Odwróciwszy się za siebie, zauważyłam wyraźne ślady naszych stóp na śniegu. Było naprawdę zimno o tej porze roku, a teraz w dodatku pogoda zmieniała się na jeszcze gorszą. Padający mokry śnieg sprawiał, że cmentarz stawał się jeszcze mniej gościnnym miejscem.

- Dlaczego więc nie walczyłeś? - zaszczekałam. Ale on oczywiście nie mógł mojego pytania zrozumieć. Zatrzymał się natomiast i odetchnął głęboko.

- Tęsknię za nią - powiedział. - Tak bardzo. Jakoś nie mogłam w to uwierzyć.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego o nią nie walczyłem? - spytał.

- No jasne, do diabła! - szczerknęłam.

- Miałem poczucie, że nie jestem dla niej wystarczająco dobry. O mój Boże, co go skłoniło do takiego wniosku?

- Ona była kobietą sukcesu. A mnie się nic nie udawało. Przełknęłam ślinę.

- Ciągłe robiłem jej wyrzuty, że za mało uwagi poświęca Lilly. Ale tak naprawdę podświadomie myślałem raczej o tym, że ona odnosi sukcesy, a ja jestem nikim. Śmieszne, prawda? Odczuwałem kompleks niższości w stosunku do własnej żony.

Nigdy mi tego nie powiedział.

- Z Niną jest inaczej - oznajmił, a mnie jakby piorun raził. - Ona mnie dopinguje, jest moją opoką. Bez niej z pewnością nie otworzyłbym sklepu.

A więc dlatego z nią jest? Bo przy niej czuje się pewniejszy siebie? - I tak długo na mnie czekała. Długo?

- Dopiero po półtora roku po raz pierwszy ją pocałowałem.

Kiwałam głową skonsternowana. Być może dla kogoś z zewnątrz, kto jest świadomy, że nasze małżeństwo upadło jeszcze przed moją śmiercią, półtora roku wydawać się mogło długim okresem karencji. Ale, moim zdaniem, Alex powinien był odczekać osiemnaście lat. Albo jeszcze lepiej: osiemnaście wcieleń!

- Ale dobrze, że wczoraj nadbiegłaś. Bo musiałbym odmówić Ninie. Czuję, że zdradziłbym Kim, żeniąc się z Niną.

- Masz całkowitą rację - szczerkałam uradowana.

- Powiedz no, czy ty mnie rozumiesz? - zdziwił się Alex. Szybko pokiwałam głową.

Co nie było zbyt mądre. Ponieważ ta reakcja mnie zdradziła.

- Naprawdę mnie rozumiesz? - Alex nie mógł tego pojąć.

Nie wiedziałam, co powinnam teraz począć. Ostatecznie zdecydowałam się na nerwowe machanie ogonem.

- Och, zaczynam sobie wmawiać niestworzone rzeczy - rzekł Alex. I ruszyliśmy w głąb cmentarza. Idąc za nim, zadawałam sobie mnóstwo pytań: Czy byłam winna upadku naszego małżeństwa? Czy udałoby się je uratować, gdybym była bardziej podobna do Niny? A może ona byłaby lepszą żoną dla niego?

Bezsprzecznie jednak najważniejsze pytanie, jakie przemknęło mi przez głowę, brzmiało: „Co, do diabła, Daniel Kohn robi na cmentarzu?”.

Pytanie, które zadał sobie także Alex. I z którym natychmiast zwrócił się do głównego zainteresowanego.

- Co pan tutaj robi?

Daniel spojrział zaskoczony, najwyraźniej wytrącony głosem Alexa z głębokich rozmyślań. Śnieg zdążył już go pokryć delikatną kołderką. Z pewnością dłuższą chwilę stał przed moim grobem.

Nie było nagrobka, tylko płyta z widocznym wyrytym słońcem i słowami: „Twoja wiecznie kochająca rodzina”.

Na ten widok zaczęłam głośno szlochać.

- Co jest z tym psem? - spytał Daniel.

- Nie mam pojęcia, czasami myślę, że to nie jest zwyczajne zwierzę. A innym razem, że po prostu zwariowało - odparł Alex.

A ja pomyślałam, że oba przypuszczenia są prawdziwe.

- Co pan właściwie robi nad grobem mojej żony? - dopytywał się Alex.

- Ach, pan jest mężem Kim? - odpowiedział pytaniem Daniel, nawet mrugnięciem powieki nie zdradzając przy tym naszej wspólnie spędzonej ostatniej nocy mego człowieczego życia. Kohn przybrał perfekcyjną twarz pokerzysty.

- Moje wyrazy współczucia - rzekł do Alexa, nie podając mu ręki.

I nie wracając do zadanego pytania.

Alex się nie odezwał. Nawet jeśli dotąd nie podejrzewał moich bliskich stosunków z Danielem, teraz wszystko stało się jasne. W dodatku Kohn trzymał w dłoni czerwoną różę.

Niewiarygodne. Czerwona róża. Zazwyczaj mężczyźni uważają ją za tandetną. Ale nas, kobiety, zwłaszcza martwe kobiety, takie gesty poruszają. Wszak to znaczyło: Daniel Kohn coś do mnie czuł.

W ciągu kilku minut dowiedziałam się więc, że obydwaj mężczyźni mojego ludzkiego życia kochali mnie do końca.

To było piękne.

Zaskakujące, ale piękne.

Szkoda tylko, że jako beagle nie mogłam z tego za bardzo skorzystać.

Alex i Daniel wymienili przeciągłe spojrzenia. Obaj wiedzieli, co w trawie piszczy. Daniel nonszalancko położył różę na grobie, skinął głową Alexowi i się oddalił. Był szczwanym lisem.

O wiele bardziej szczwanym niż ja.

- Tinka, czy sądzisz, że tych dwoje coś łączyło? - spytał Alex.

Energicznie pokręciłam głową.

Ale najwyraźniej nic nie mogło już powstrzymać wątpliwości Alexa. Podczas drogi powrotnej nie odezwał się już do mnie ani słowem.

A ja uświadomiłam sobie, że w tym momencie jego opór przed przyjęciem małżeńskiej propozycji Niny zdecydowanie zmalął.

Rozdział 37

NASTĘPNE DNI DOSTARCZAŁY MI WIDOKU ALEXA I NINY W TAK zwanej akcji. Właściwie wszystko robili wspólnie: zajmowali się domem, chodzili na spacer, na zakupy - w ten sposób spędzali ze sobą więcej czasu w ciągu jednego dnia niż dawniej ja z Alexem w ciągu całego kwartału. Nina troszczyła się także o Martę, która przy każdej nadarzającej się okazji przychodziła w odwiedziny, próbowała nawet przyuczyć ją jako pomoc w swoim biurze podróży. Początkowo nie mogłam zrozumieć pobudek, jakie kierowały Niną, aż wreszcie pojęłam - ona naprawdę lubiła tę starszą panią. Zdziwiające, ale prawdziwe. Moja matka najwyraźniej dawała się lubić.

Najgorsze jednak było to, że Nina spędzała także mnóstwo czasu z Lilly. Pomagała jej nawet przy odrabianiu lekcji, z imponującą wręcz cierpliwością (ja sama, w przedszkolnych czasach córki, nie miałam nawet na tyle chęci, by nauczyć małą zawiązywania sznurówek; dlatego kupowałam jej buty wyłącznie zapinane na rzepy). Nina potrafiła wręcz rozweselać Lilly.

Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo wobec tej sytuacji nienawidziłam myśli o „zbawiennym wpływie Niny na cały świat”.

Nina krok po kroku budowała sobie prawdziwą małą rodzinę. Z mojej własnej. Z sympatii do Lilly Nina zaakceptowała nawet obecność w domu dokazującego beagle'a. Choć szczerze go nie znosiła. Bo przecież dokładałam wszelkich starań, by jej życie seksualne zawisło dosłownie na włosku. Każde głośniejsze westchnięcie Niny sprawiało, że zaczynałam skomleć pod drzwiami sypialni. Na tyle głośno, by nie mogła się skoncentrować na seksie. Nic dziwnego więc, że Nina, kiedy nikt tego nie słyszał, nazywała mnie „środkiem antykoncepcyjnym”.

W końcu jednak nadszedł moment, który zatrwożona od dawna przewidywałam.

Nina i Alex obwieścili:

- Mamy zamiar się pobrać.

Kiedy ja ze strachem próbowałam przełknąć kęs psiego pokarmu, rozważając przy tym kolejność pogryzienia domowników (najpierw pękającą ze szczęścia Ninę, roześmianego Alexa czy może moją niemal płaczącą ze wzruszenia matkę), Lilly wybiegła z domu.

- Poczekaj - zawołał Alex i już chciał pobiec za nią.

- Zostaw ją. Ona po prostu potrzebuje czasu, by się z tym oswoić
- rzekła Nina.

Alex potakująco skinął głową. Ja jednak porzuciłam prozaiczną konsumpcję i pobiegłam do ogrodu, do siedzącej na huśtawce i płaczącej Lilly. Ułożyłam się obok niej i w pocieszającym geście delikatnie położyłam łapy na jej kolanach.

- Tęsknię za moją mamą - powiedziała Lilly, tuląc mnie mocno do piersi. Poczułam jej łzy na swoim futerku i zaskomlałam cichutko.

- Mamusia jest przy tobie.

Lilly w odpowiedzi spojrzała mi głęboko w oczy, wydawało się, że rozumie, co do niej mówię. W każdym razie uspokoiła się nieco i pogłaskała mnie bez słowa.

- Wszystko będzie dobrze - zaszczekałam.

- Ale tylko wówczas, jeśli coś spróbujemy przedsięwziąć - odpowiedział czyjś głos ponad naszymi głowami.

Spojrzałam w górę na gałąź i moim oczom ukazał się biały kot z czarną łatką wokół prawego oka. Kot uśmiechał się od ucha do ucha.

Lilly, nieco spokojniejsza, wróciła do domu, a ja rzuciłam kocurowi wzburzone spojrzenie.

- Casanova? - zaryzykowałam. - Madame Kim? - odparł kot.

Przytaknęłam. Kot zeskoczył z drzewa na ziemię i ruszył mi na spotkanie, po czym objęliśmy się bardzo mocno i serdecznie, co musiało nieco dziwacznie wyglądać, ponieważ bliskie uściski czworonogów są możliwe wyłącznie w pozycji leżącej. Dla niewtajemniczonego obserwatora, którego na szczęście akurat w pobliżu nie było, mogłoby to wyglądać tak, jakby kot i beagle nie zdawali sobie sprawy z tego, że są seksualnie niekompatybilni.

Kiedy skończyliśmy tarzać się ze szczęścia po trawie, cały czas objęci, nastąpiło trajkotanie, które nie miało końca. Opowiadaliśmy sobie historie z poprzednich istnień. Ja relacjonowałam moje wcielenia cielaka, dżdżownicy, stonki ziemniaczanej oraz wiewiórki, Casanova natomiast, ratując Depardieu, zebrał wystarczającą ilość dobrej karmy, by stać się kotem, i od tego czasu wiódł szczęśliwe życie. „Chadzanie własnymi ścieżkami przypadło mi do gustu”.

- A dlaczego nie kontynuował pan zbierania dobrej karmy? - dopytywałam się.

- Ach, madame, do tego zabrakło mi pani dobrego wpływu - odparł z uśmiechem.

- Przybył pan tutaj, żeby mnie wypatrywać?

- Nie - szczerze odpowiedział Casanova, co mnie nieco rozczarowało.

- Mademoiselle Nina całkowicie zawładnęła moim sercem.

- O rany, co wy wszyscy widzicie w tej głupiej krowie! - nie wytrzymałam.

- Mademoiselle Nina jest przepiękna, urocza, kochana, pomocna...

- Na niektóre pytania lepiej nie oczekiwać odpowiedzi - stwierdziłam ze smutkiem.

- Zatem nie odpowiadam - rzucił rozbrajająco Casanova.

- Niech pan o niej zapomni. Nie ma pan u Niny żadnych szans! - mówiłam dalej obrażonym tonem.

. - Skąd takie nedorzeczne wnioski?

- Po pierwsze, ona chce Alexa. Po drugie, pochodzicie z różnych epok. Po trzecie, pan jest tylko PRZEKLETYM KOTEM!!!

Casanova poczuł się urażony.

- Po pierwsze, prawdziwa miłość pokonuje wszystkie przeciwności, po drugie, najprawdopodobniej nie zawsze będę kotem, i po trzecie, mademoiselle wcale nie zdecydowałaby się na monsieur Alexa, gdyby tylko dowiedziała się o moim istnieniu!

- Bzdura. Nina i Alex mają zamiar się pobrać! - wyrzuciłam z siebie.

Wiadomość zszokowała signore. Nastroszył futerko. - Mademoiselle Nina rozważa taką możliwość, ponieważ jeszcze nie jest świadoma mojego istnienia! - zripostował Casanova odważnie. Zaczęłam szyderczo ujadać. Signore niewzruszony ciągnął dalej:

- Alex zaś nie ożeniłby się z Niną, gdyby wiedział o pani istnieniu.

- Owszem, zrobiłby to - odparłam ze smutkiem. - Ponieważ dowiedział się, że go zdradziłam.

- Och, to nie jest powód, by przestać kochać - zaśmiał się Casanova.

- Co takiego? - spytałam zdziwiona.

- Proszę mi wierzyć, madame, kochało mnie mnóstwo kobiet, które wiedziały o moich miłosnych igraszkach z innymi kobietami. Ja również kochałem wiele kobiet, które nie dochowały mi wierności. Zazdrość nie jest żadną przeszkodą w miłości.

Oniemiałam. Casanova miał niezwykłą umiejętność przedstawiania kwestii moralności w wygodnym dla siebie świetle.

- Czy kocha pani monsieur Alexa mniej, tylko dlatego iż oddaje się miłosnym igraszkom z mademoiselle Niną?

Byłam skołowana. Pytanie o uczucie do niebyłego męża całkowicie zbiło mnie z tropu. Nie zadawałam go sobie od czasu elektrycznych przygód w laboratorium...

- Jeśli uda nam się przeszkodzić w ich zaślubinach, zdobędziemy szansę na odzyskanie naszych miłości.

- Ale ja już wcale nie chcę Alexa - odparłam z przekonaniem tak niewzruszonym jak niesiony wiatrem dmuchawiec.

- Jest pani pewna? - spytał Casanova.

- Tak - potwierdziłam z jeszcze większym przekonaniem. Ale kocur Casanova tylko uśmiechnął się znacząco. Poczułam się przyłapaną na łgarstwie, szybko więc obroniłam się ripostą.

- To i tak nieistotne. Oni nigdy nie zapalają do nas uczuciem, bo jesteśmy tylko zwierzętami!

- Być może odrodzimy się jeszcze kiedyś w ciele człowieczym, jeśli uda nam się zebrać odpowiednio dużo dobrej karmy.

No i racja. Przecież Budda wyjawiał mi, że moje obecne życie mogłoby być ostatnim w zwierzęcym wcieleniu. Ta myśl przywołała wizję, jaką sobie niedawno wyimaginowałam. Wyobraziłam sobie pięćdziesięcioletniego Alexa, który całuje mnie, osiemnastoletnią dziewczynę. Ta fantazja sprawiła, że poczułam ucisk w żołądku. Czyżby Casanova miał słuszość? Czy naprawdę chcę odzyskać Alexa?

Tak czy owak, musiałam sama przed sobą przyznać, że moje zachowanie, przez które zyskałam przezwisko „środek antykoncepcyjny”, wynikało z tego, że byłam zazdrosna o Ninę.

Niestety logika Casanovy zawierała mały szkopuł.

- Jeśli uniemożliwimy im ślub, zbierzemy raczej niedobłą karmę! - stwierdziłam. - A wtedy na pewno nie awansujemy na drabinie reinkarnacji i tym samym nigdy nie będziemy ludźmi!

Casanova jednak uśmiechnął się chytrze, jak to tylko koty potrafią.

- Czy możemy zebrać niedobłą karmę, działając w imię miłości?

Rozdział 38

NIE MA LEPSZEJ FORMY SABOTAŻU ŚLUBNYCH PRZYGOTOWAŃ NIŻ zniszczenie sukni panny młodej. Nina zatroszczyła się o to, by najpierw odbył się ślub w kościele.

- Jeśli mam po raz pierwszy w życiu powiedzieć „tak”, nie chcę zrobić tego w urzędzie stanu cywilnego, tylko w kaplicy, cała w bieli - zakomunikowała Alexowi i nawet pastora udało jej się przekonać do tej nietypowej kolejności.

Na niebie świeciło słońce, kiedy weselny orszak opuszczał nasz dom. Nawet ta przekłeta pogoda trzymała stronę Niny! Wiosenne kwiaty pachniały bajecznie. Alex prezentował się jednak jeszcze bajeczniej. W swoim cudownym czarnym smokingu podszedł do białej limuzyny, którą wynajął specjalnie na tę okazję. Nosił muchę - do samego końca pozostał wierny niechęci do krawatów. Alex elegancko wziął pod rękę Lilly, która w ślicznej różowej sukience była zapewne najbardziej uroczą druzną, jaką tylko można sobie wyobrazić, i rzekł do niej:

- Wyglądasz jak księżniczka. - Gdy dał jej całusa, Lilly uśmiechnęła się promiennie. Najwyraźniej pogodziła się już z faktem ślubu.

W całkowitym przeciwieństwie do mnie!

Jako następna z domu wyłoniła się moja matka. Wyglądała bardzo sztywnie - przynajmniej w granicach swoich możliwości - w błękitnym kostiumie i nowej fryzurze.

A potem nadeszła Nina.

- O mój Boże, cóż za zjawiskowa postać! - zawołał Casanova, a ja pomyślałam: „Cholera, on ma rację”.

Nina prezentowała się fantastycznie w wytwornej, podkreślającej figurę w sposób wręcz nieprzyzwoity, białej sukni. By pozwolić sobie na taką kreację, większość kobiet musiałaby wykupić abonament w klinice chirurgii plastycznej.

Zebrałam się w sobie i postanowiłam skoncentrować się wyłącznie na swoim zadaniu. Ponieważ Nina z wiadomych powodów nie zechce mnie zabrać do kościoła, teraz, tuż przed odjazdem, należało zrealizować punkt naszego planu pod tytułem „Podrzyjmy Ninie sukienkę”.

Nie byłam wprawdzie jeszcze pewna, czy zależy mi na odzyskaniu Alexa, z całkowitym przekonaniem czułam jednak, że tego ślubu bym nie zniosła.

Rzuciłam się pędem w kierunku Niny. Spojrzała mi w oczy i przeczuwając najgorsze, zaczęła krzyczeć:

- Weźcie ode mnie tego psa!

Mojej matce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Chwyła wiązaną ślubną i ją mnie nią okładać.

- A, masz! A, masz, przeklęty kundlu!

Dałam się jej odciągnąć na bok, byłam bowiem tylko przykrywką dla właściwego wykonawcy. W tym momencie z gałęzi pobliskiego drzewa wprost na Ninę skoczył Casanova i kocimi pazurami zaczął szarpać jej sukienkę.

- Zabierzcie to bydłę! - darła się Nina. Ale było już za późno. Jej kreacja wyglądała tak, jakby wpadła Edwardowi Nożycorękiemu w jego nożycoręce.

Podczas gdy wszyscy jak porażeni wpatrywali się w obszarpaną pannę młodą, czmychnęliśmy z Casanową do garażu, by z bezpiecznej odległości obserwować dalszy rozwój wypadków. Nie posiadałam się przy tym z radości, że plan się powiódł.

Casanova jednak uparcie milczał.

- Co się stało? Nie cieszy się pan? - spytałam go.

- Bynajmniej nie sprawia mi przyjemności zadawanie bólu mademoiselle Ninie - odparł.

- Mnie owszem. - Uśmiechnęłam się pod nosem, przyglądając się Ninie, gorączkowo usiłującej wyjść cało z opresji.

Niestety, udała jej się ta sztuka. Wyślizgnęła się bowiem z pocieszających objęć Alexa i rzekła:

- Przecież to nieważne, jak wyglądam. Najważniejsze, że mamy się pobrać.

Wymienili tak słodkie uśmiechy świeżo zakochanych nastolatków, że najchętniej zwróciłabym z nawiązką menu całego poprzedniego dnia.

Po czym wsiedli razem z Lilly i moją matką do limuzyny i odjechali w kierunku kościoła.

Rozdział 39

- NASZE DZIAŁANIA NIE PRZYNIOSŁY OCZEKIWANYCH EFEKTÓW - stwierdził Casanova.

- Ano tak - odparłam. Zapadło milczenie.

- Co teraz pocznjemy? - spytał.

- Nie poddamy się - odpowiedziałam.

- Świetny pomysł.

- Nieprawdą? Ponownie zamilkliśmy.

- A na czym dokładnie miałyby polegać to niepoddawanie się? - podjął Casanova.

- W tej kwestii nie mam, niestety, zielonego pojęcia. Znowu nastąpiła cisza.

- Musimy udać się do kościoła, a tam... zobaczymy, co dalej - zdecydowałam w końcu i pobiegliśmy przed siebie.

Kiedy zdyszani dotarliśmy do bram kaplicy, wszyscy zaproszeni goście znajdowali się już wewnątrz, dlatego frontowe wrota pozostawały zamknięte. Zdecydowaliśmy się rozdzielić w poszukiwaniu innego wejścia. Casanova pobiegł w lewo, za kościół, ja w prawo. Tam znalazłam leciutko uchylone drzwi, popchnęłam je i przede mną wyrosły schody. Nie miałam innego wyboru, więc wskoczyłam na nie - wprost na empore, gdzie znudzony, brodaty organista grał na swoim telefonie komórkowym w tetris, podczas gdy na dole pastor wypowiedział właśnie najbardziej decydujące pytanie: „Czy chcesz...?”.

W tym momencie żałowałam, że nie odrodziłam się w kociej postaci, bo - jako kot - mogłabym bez obawy skoczyć w dół, do głównej nawy, i porwać obrączki, bez których przecież ślub by się nie odbył. Lecz obecnie nie byłam kotem, tylko suczką. Tym samym nie posiadałam odpowiednio sprężystych kości, które zdołałyby zamortyzować upadek. Było tak wysoko, że ołtarz pode mną jawił się jako ledwie widoczna plama. Mój wspaniały zmysł węchu w tej chwili okazał się także bezużyteczny. Nie mógł bowiem ocenić odległości i teraz podpowiadał jedynie bezwzględną potrzebę zakupu przez organistę antyperspirantu. Nie potrafiłam oszacować, gdzie i jak bym po takim skoku upadła. A tymczasem pytanie pastora: „Czy ty, Alexie Weingarcie, chcesz wziąć za żonę...” groźnie zawisło w powietrzu.

Ostatnim razem, kiedy zadawano Alexowi to pytanie, ja byłam panną młodą u jego ramienia. Rzecz działa się w opromienionej

słońcem kaplicy San Vincenzo w Wenecji, a on w jasnym garniturze prezentował się wprost bosko. Ja natomiast byłam tak rozkojarzona nadmiarem wrażeń, że odpowiadałam „tak” w nieodpowiednim momencie. Pastor, uśmiechnąwszy się, sprostował łamanym niemieckim: „Zaraz będzie pani kolej” i kontynuował ceremonię. Kiedy nareszcie dotarliśmy do właściwego pytania, drżącym głosem odpowiadałam: „Tak, chcę” i Alex włożył mi obrączkę na palec, byłam najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Nigdy nikogo nie kochałam tak jak wtedy Alexa.

Był prawdziwą miłością mojego życia - teraz mogę to z całą pewnością stwierdzić, ponieważ moje niegdysiejsze życie Kim Lange dawno minęło.

Obecny widok Alexa w analogicznej sytuacji z Niną sprawił, że nagle zrozumiałam: Casanova miał rację, ja naprawdę wciąż kochałam Alexa.

I nagle po mojej małej, i tak już mokrej z emocji mordce potoczyły się psie łzy.

Pastor spojrzał na Alexa, który już miał otworzyć usta i wymówić wiążące wyznanie...

Wytarłam przednią łapką łzy z pyszczka, wskoczyłam z desperacką odwagą na balustradę, naprężyłam mocno mięśnie tylnych łap - które u beagle'ów nie są za bardzo rozwinięte - i skoczyłam.

Bogu niech będą dzięki, że nie skręciłam karku, lecz wylądowałam dość miękko na mojej matce, której reakcja polegała wyłącznie na wykrzyczeniu zapewne nigdy dotąd niewypowiedzianych w tym kościele przeraźliwych przekleństw. Podejrzewałam, że lada chwila zawstydzony krucyfiks spadnie ze ściany.

Mój kaskaderski niemal wyczyn rozpętał w kościele prawdziwe piekło. Wszyscy goście przekrzykiwali się wzajemnie, pastor przerwał w pół zdania, a Nina syknęła wściekła do Alexa: „Przecież zostawiliśmy psa w domu!”, choć jej wyraz twarzy mówił raczej: „A powinniśmy byli zostawić go na przydrożnym parkingu. Najlepiej w południowym Jemenie!”.

Jedyną osobą z całej kościelnej nawy, która szczerze, z całego serca ucieszyła się na mój widok, była Lilly. Malutka podbiegła do mnie.

- Hej, Tinka, co tu robisz? - zagadnęła i chciała mnie wziąć na ręce. Chociaż bardzo chętnie poddałabym się pieszczotom mojej

córeczki, to jednak wyślizgnąwszy się z jej objęć, pognałam w stronę ołtarza. Tam chwyciłam pudełeczko z obrączkami i pędem uciekłam.

- Zatrzymajcie go! - wrzeszczała Nina.

Marta, bojowo nastawiona, natychmiast ruszyła za mną. Byłam wprawdzie od niej szybsza, ale drzwi pozostawały przecież zamknięte. Wpadłam więc w klasyczną ślepa uliczkę. Moja mama już mnie prawie doganiała. Musiałam zahamować. Jeszcze chwila i mnie dopadnie...

Wtedy wierzeje się otworzyły. Przykucnięty na klawce Casanova posłał mi szeroki uśmiech. Okazał się niekwestionowanym mistrzem ratunku w ostatniej sekundzie. Wybiegłam z kościoła, a Casanova podążył za mną. Podobnie jak moja matka i reszta parafii. Nie mieli jednak żadnych szans na złapanie mnie i uratowanie obrączek, bo - w przeciwieństwie do nich - nie miałam najmniejszych oporów przed przepłynięciem wpraw pobliskiej rzeki.

Rozdział 40

WIECZOREM WRACAŁAM DO DOMU W TOWARZYSTWIE CASANOVY. Obrączki uprzednio zakopaliśmy w pobliżu posiadłości. Kiedy zbliżaliśmy się do naszej willi, spostrzegłam Alexa stojącego - wciąż jeszcze w smokingu - na tarasie i patrzącego z frustracją przed siebie. Niny nie było widać. Przypuszczalnie siedziała teraz gdzieś w domu i płakała. Poleciałam Casanovie poczekać za szopą w ogrodzie, a sama ostrożnie ruszyłam w kierunku Alexa.

Spojrzał na mnie. Bez wściekłości. Raczej tępo.

Przysiadłam przy nim.

- Cześć - powiedział zmęczonym głosem.

- Cześć - odszczeknęłam.

- Nie mam pojęcia, co w ciebie wstąpiło - rzekł. - Gdyby nie bezsprzeczny absurd takiej hipotezy, rzekłbym, że jesteś dawną Kim.

Moje serce zamarło.

- Jakoś ponownie narodzoną - dokończył ze słabym uśmiechem.

Nie miałam pojęcia, co powinnam mu odszczeknąć.

- Jeśli jesteś Kim, proszę, pomachaj ogonem - poprosił Alex na wpół gorzko, na wpół ironicznie.

Co powinnam uczynić? Pomachać ogonem? Ale co wtedy?

Zanim jednak zdążyłam wybrać jakiegokolwiek rozsądne rozwiązanie, Alex znowu się odezwał.

- Gdybyś naprawdę była Kim, wybaczyłbym ci twoją zdradę z tym Kohnem.

Zawstydzona odwróciłam wzrok.

- I poprosiłbym cię o zgodę na poślubienie Niny.

- Nigdy w życiu! - zawarczałam.

- Ona sprawia, że jestem szczęśliwy - odparł Alex. - Mamy przed sobą wspaniałą przyszłość. A z tobą tylko przeszłość i wspomnienia.

Zasiał we mnie ziarnko niepewności.

- Powiedziałbym również, że Lilly potrzebuje matki, a Nina dokłada wszelkich starań, by sprostać temu zadaniu. Nie usłyszałem od niej nigdy ani jednego złego słowa o Lilly.

Ja także, szczerze mówiąc.

- A Lilly jest już bardzo bliska zaakceptowania jej. Przypomniałam sobie promienny uśmiech Lilly wywołany komplementem ojca na temat jej sukienki.

Nina lepiej traktowała Alexa niż ja, potrafiła dogadywać się z moją mamą. Może także dla Lilly okazałaby się lepszą matką, niż ja kiedykolwiek byłam?

„Co nie byłoby znowu aż takie trudne” - pomyślałam zdeprymowana.

- Ale przede wszystkim... - ciągnął Alex. - Przede wszystkim poprosiłbym cię, byś pozwoliła mi żyć własnym życiem. - A potem dodał, westchnąwszy przeciągle: - Ale ty przecież nie jesteś Kim...

Zaczęłam energicznie ujadać:

- Jestem, owszem, jestem. To ja, Kim! Być może odrodzę się ponownie jako człowiek i wtedy możemy się spotkać, kiedy ty ledwo przekroczysz pięćdziesiątkę, a ja będę miała dwadzieścia lat i gwizdząc na taką różnicę wieku, będziemy żyli tak pięknie jak kiedyś, i dlatego opłaca się tak długo czekać i... i... i... i kiedy tak szczeram, dochodzę do wniosku, że to nie jest bynajmniej nęcąca alternatywa dla twojego obecnego związku...

Alex posłał mi zirytowane spojrzenie.

- Na dodatek w ogóle nierealna - zaskomlałam po cichu do siebie.

Przyjrzałam się zatroskanej twarzy Alexa. Uświadomiłam sobie, że nie miałam racji, tak zaborczo ingerując w jego życie.

Zrozumiałam nareszcie, jaką przyszłą lekcję miał na myśli Budda. Brzmiała ona:

Kiedy jest się umarłym, trzeba umieć czasami odpuszczać.

Wobec powyższego zaprowadziłam Alexa wprost do skrytki z obręczkami.

Rozdział 41

TYM RAZEM CEREMONIA ŚLUBNA PRZEBIEGŁA BEZ WIĘKSZYCH przeszkód. Casanova, oburzony moim wczorajszym postępowaniem, postanowił osobiście powstrzymać zaślubiny. Nie zdołał jednak tego uczynić, ponieważ do jego pokarmu dosypałam kilka pigułek z zasobów Marty [Z Pamiętników Casanovy: Jeszcze nigdy, po żadnym dotychczas spożytym posiłku, nie ujrzałem tak bogatej feerii barw.].

Alex, mimo protestów Niny, zabrał mnie tym razem do kościoła. Naturalnie nie do końca wierzył w wersję ewentualnej reinkarnacji swojej byłej żony, ale był zdania, iż ja również należę do rodziny.

Oglądałam zatem kroczących w kierunku ołtarza Alexa i Ninę, która znów była cudowną panną młodą w pięknej, odświeżonej sukience. Słyszałam pastora, który ponowił pytanie: „Czy chcesz...?”.

Najpierw odpowiedział Alex.

- Tak, chcę.

Potem Nina szepnęła:

- Tak, chcę... z całego serca. - I spojrzała na Alexa pełnymi miłości oczyma.

W tym momencie zrozumiałam, że Nina wykorzysta ofiarowaną jej szansę i będzie prowadziła szczęśliwe życie rodzinne. Szansę, którą ja także jako człowiek dostałam. I którą w swoim ludzkim życiu zmarnowałam. To pojawiający, usłyszałam ciche „krchhk”.

Owszem, może niedokładnie „krchhk”, ale czy istnieje jakieś słowo opisujące trzask pękającego serca? Jedno jest pewne - to najokropniejszy dźwięk, jaki istnieje.

I towarzyszy mu zdecydowanie najdotkliwszy ból.

Śmiertelny

ból.

Rozdział 42

DOTYCHCZAS ŻYŁAM W GŁĘBOKIM PRZEKONANIU, IŻ „UMRZEĆ z miłości" jest takim samym mitem jak „jedyna prawdziwa miłość". A jednak naprawdę przed ołtarzem pękło mi serce, a ponieważ nieczęsto wzywa się do psa ambulans z defibrylatorem, wyzionęłam ducha jeszcze w kościele. W ten sposób nadałam tym zaślubinom niewielką - acz, według mnie, całkiem stosowną - nutę tragizmu.

Jak zwykle nastąpiła znana mi już wewnętrzna retrospekcja, jednak tym razem starałam się ze wszystkich sił nie patrzeć na obrazy ponieważ w tym momencie wtórna projekcja ślubu Niny i Alexa zdecydowanie przekraczała moją wytrzymałość. Niewiarygodnie trudne okazuje się zamknięcie wewnętrznych powiek. A właściwie całkowicie niemożliwe. Musiałam zatem raz jeszcze ścierpieć ten okropny moment, włącznie z bólem zawału serca.

I wtedy nastąpiła światłość. Stawała się coraz jaśniejsza. Była cudowna.

Miałam nadzieję tym razem doświadczyć przywileju poddania się jej.

Naturalnie tak się nie stało.

Ocknęłam się w pewnym oślepiającym białym pomieszczeniu. A może raczej w białym krajobrazie? Zupełnie nie mogłam rozpoznać, gdzie są ściany, a gdzie sufit.

A krajobraz, pomieszczenie, planeta - cokolwiek to było, pozostawało całkowicie puste. Nie widać było niczego, ostatecznie i jednoznacznie niczego poza świecą i ogrzewającą duszę bielą.

Znajdowałam się tu zupełnie sama.

I wtedy stwierdziłam fakt iście niewiarygodny. Leżałam mianowicie nago... w moim własnym ludzkim ciele.

Po tak długim czasie czułam się w nim raczej nieswojo.

Tak... tak... ograniczona.

Moje nogi nie były zwinne jak nogi świnki morskiej, słuch nie tak czuły jak u psa, ramiona słabsze niż mrówcze.

Zawołałam.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi.

- Halo?!?

Znów cisza.

- Czy to jest właśnie nirwana?

Pomyślałam przy tym: „Jeśli to właśnie ona, nie jest nad wyraz imponująca”.

- Nie. To, co cię otacza, nie jest nirwaną - powiedział do mnie aż nadto znany mi dobrotliwy głos. Spojrzałam w bok. Nagle koło mnie wyrósł Budda. Tym razem ukazał się w ludzkim ciele. Niewiarygodnie tłustym. A mój zmysł estetyki uważałby za stosowne, żeby się ów Budda nieco przyodział.

Żeby osłonił szczególnie dolne partie ciała. - Jeśli to nie jest nirwana - spytałam, unikając widoku regionów poniżej spasego brzucha - to gdzie ja jestem?

- To jest - zaczął Budda - przedsiónek nirwany.

- Aha - odpowiedziałam głosem oznaczającym: „Komplet nie rozumiem, o czym mowa”.

Budda znów przybrał typowy błogi wyraz twarzy, a ja w ciągu wszystkich naszych dotychczasowych spotkań nauczyłam się, że przekazywanie tajemniczych wiadomości rodem z chińskich ciasteczek sprawia mu niesamowitą przyjemność.

- To miejsce rozmów z ludźmi, zanim osiągną nirwanę.

- I ja teraz także ją osiągnę? Budda potakująco skinął głową.

- Ale przecież jeszcze nie jestem wyciszonym człowiekiem pełnym wewnętrznego spokoju. Kimś, kto żyje w harmonii z całym światem i darzy miłością wszystkich ludzi, bez względu na to, kim są i jacy są.

- Jedyne i wyłączny sposób zbierania dobrej karmy polega na pomaganiu innym istotom. I to czyniłaś bardzo dobrze.

- Ale Matką Teresą raczej nie byłam... - uzupełniłam.

- Tego nie mogę oceniać. Za Matkę Teresę kto inny był odpowiedzialny - oświadczył Budda.

Na te słowa wszystkie myśli uformowały się w mojej głowie w jeden wielki znak zapytania.

- Życie po śmierci ma zróżnicowaną strukturę - zaczął wyjaśniać Budda. - Dusze wierzących chrześcijan są pod opieką Jezusa, dusze muzułmanów pod opieką Mahometa i tak dalej.

- I tak dalej...? - spytałam poirytowana.

- No, przykładowo, jeśli ktoś wierzy w nordyckiego Odyna, dociera do Walhalli.

- Kto dzisiaj wierzy w Odyna? - dopytywałam się.

- Prawie nikt. I uwierz mi, to naprawdę stresuje tego biednego staruszka.

Zaintrygowana, wyobraziłam sobie stół, przy którym wieczerzają Jezus, Budda oraz Odyn, a ten ostatni uskarża się na swoją pozycję i zastanawia nad wynajęciem doradcy do spraw public relations, który by upowszechniał wiarę w niego.

- Każdy po śmierci otrzymuje życie pozagrobowe, w jakie wcześniej wierzył - wyjaśnił opasły nagi Budda. Uznałam, że brzmi to rozsądnie. Jednak nasuwało się jedno istotne pytanie. Nigdy nie wierzyłam w nirwanę - a zatem co ja tu robię?

- Jestem odpowiedzialny nie tylko za dusze buddystów, ale także za tych wszystkich, którzy w ogóle w nic nie wierzyli - odpowiedział Budda.

- A dlaczego?

- Bo u mnie niewierzący nie są karani za swój brak wiary.

To wiele wyjaśniało. Jeśli Budda troszczył się o wszystkich bezwyznaniowców, oszczędzał tym samym pozostałym panom i władcom kłopotliwej sytuacji, w której musieliby dusze owych ateistów potępić tylko ze względu na ich niewiarę.

- Jesteś gotowa na nirwanę? - spytał Budda, a jego pytanie powinno być właściwie czysto retoryczne. Z pewnością czekał na to, że odpowiem: „Ależ naturalnie”, jednak nie czułam się pewnie. Pomyślałam o wszystkich, którzy byli mi bliscy. Alex wprawdzie beze mnie z pewnością będzie żył równie szczęśliwie, lecz...

- A co z Lilly? Czy będzie szczęśliwa z Niną? - spytałam.

- Nie musisz się o to dłużej martwić.

- Nie muszę?

- Nie musisz - odrzekł z uśmiechem gruby, nagi mężczyzna.

- Przecież to moja córka! - obstawałam.

- A jednak nie będzie cię to już zajmować, bo zaraz osiągniesz nirwanę.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Tam spotkasz nieustające uczucie szczęścia - dodał Budda. Tego mi było potrzeba. I to bardzo. Zasłużyłam sobie na nie - przynajmniej z punktu widzenia Buddy. A on był niekwestionowanym autorytetem w tej dziedzinie.

- Nie będziesz pamiętała niczego z poprzednich wcieleń - wyjaśnił Budda. - I zapomnisz o bólu i zmartwieniach.

Zapomnieć o cierpieniach, odczuwać wieczne szczęście - nie istnieje chyba lepsza transakcja. Wobec tego skinęłam głową.

I ujrzałam światłość. Stawała się coraz jaśniejsza. Przepiękna.

Tym razem wiedziałam, że jeśli się jej poddam, nie zostanę odrzucona.

Tym razem nareszcie nie.

Światłość mnie ogarnęła.

Delikatnie.

Ciepło.

Czule.

Poddałam się jej objęciom.

Nigdy nie czułam się tak dobrze.

Tak bezpiecznie.

Tak szczęśliwie.

Moje ja zaczynało się powoli rozplýwać. Wszystkie dotychczasowe wspomnienia wyblakły: troski z dzieciństwa, rozdierający żal podczas zaślubin Alexa i Niny, miłość do Lilly...

Lilly! Dlaczego Budda udzielił mi tak wymijającej odpowiedzi na pytanie o jej przyszłe szczęście? Coś tu się nie zgadza!

Nie mogłam poddać się nirwanie, nie otrzymawszy od Buddy zapewnienia, że Lilly będzie szczęśliwa. Byłam przecież jej matką i nie powinnam zostawiać jej samej w możliwej niedoli. Za żadną cenę tego świata, nawet jeśli miałby nią być mój wieczny błogostan!

W ten sposób zaczęłam z całych sił bronić się przed nirwaną.

Ale zgredziła nirwana się nie poddawała. Stawała się jeszcze przyjemniejsza i subtelniej sza. Bardziej czuła.

Nie chciała mnie wypuścić. Spełniłam wszystkie wymogi członkostwa i nie powinnam już wypisywać się ze stowarzyszenia.

Nigdy dotąd nie spotkałam niczego, co tak przekonująco walczyłoby za pomocą wyłącznie miłości i czułości jak nirwana.

Mimo to próbowałam koncentrować się na Lilly: na jej smutnych oczach, delikatnej dziecięcej skórze, słodkim głósie...

Nirwana nie miała najmniejszych szans w starciu z matczyną miłością!

Tym razem to ja odrzuciłam ową światłość, tak jak ona wiele razy odepchnęła mnie.

Niech wie w końcu, jak to jest!

Kiedy się ponownie przebudziłam, leżałam znów w przedsionku nirwany. Obok stał zakłopotany Budda.

- Jeszcze nikt nigdy nie odepchnął nirwany.
- Nirwana - narwana! Nie chcę zostawiać mojej córki samej sobie.
- Ależ ona musi samodzielnie przejść własne życie.
- Tylko jeśli obiecasz, że beze mnie będzie szczęśliwa.
- Nie mogę tego zagwarantować - rzekł Budda.
- Co się z nią stanie? - spytałam zaniepokojona.
- Lilly będzie za tobą tęsknić - przyznał, zwlekając nieco.
- A przecież Nina spędza z nią więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej ja.

- To prawda... ale Nina nie jest jej prawdziwą matką!

Nawet jeśli jeszcze istniały jakieś wątpliwości co do mojej rezygnacji z nirwany, w tym momencie wszystkie się ulotniły.

- Powinnam zatem być przy niej!
- Pozwól mi powrócić na ziemię ponownie w psiej postaci. Kułam żelazo, póki gorące.
- Niemożliwe, zebrałaś zbyt dużo dobrej karmy.
- Ale jeśli cię ugryzę, z pewnością trochę jej ubędzie! - odparłam, próbując w istocie ugryźć Buddę.

Naturalnie nie zdołałam tego uczynić, wszak ani ja, ani on, ani nic innego znajdującego się w tym przedsionku nirwany nie posiadało cielesnej postaci.

- Jeszcze nigdy nikt nie próbował mnie ugryźć - stwierdził ze zdumieniem Budda.
- Bardzo mnie to dziwi - mruknęłam.
- Ty naprawdę nie chcesz nirwany - stwierdził Budda i ten fakt niewiarygodnie go zdezorientował.
- A ty, nadzwyczaj spostrzegawcza istoto, powinieneś się czasami zastanowić, czy także zbierasz dobrą karmę, posyłając do nirwany kogoś wbrew jego woli.

Ten argument zdawał się trafić w jego czuły punkt. Budda wziął zatem głęboki oddech. Po czym rzekł:

- W porządku. - W porządku?
- W porządku.

- „W porządku” brzmi nieźle - zauważyłam i po krótkim zastanowieniu się dodałam: - A co to dokładnie oznacza? Powrócę na ziemię jako pies?

- Nie.

- Jako świnka morska?

- Nie.

- O nie, proszę, tylko nie jako mrówka.

- Powrócisz w ludzkim ciele.

- Urodzę... urodzę się ponownie jako ja?

Nie mogłam uwierzyć. To zbyt cudowne. żeby było realne. I jak to zwykle z takimi zbyt wspaniałymi rzeczami bywa, tym razem także okazało się zbyt piękne, by było prawdziwe.

- Nie, Kim Lange nie żyje - wyjaśnił Budda. - Nie może tak po prostu nagle ożyć.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze, z powodu zamętu lub wręcz paniki, jaką by owo zmartwychwstanie zasiało wśród ludzi, którzy cię znali.

- A po drugie?

- Po drugie, twoje ciało już od dawna się rozkłada. Jest już na wpół zgniłe, a czerwie właśnie się przegryzają przez oculo...

- Wystarczy - powiedziałam. - Opis jest stanowczo zbyt plastyczny!

- Twoja dusza odrodzi się w ciele kobiety, która w tym momencie umiera - obwieścił Budda. - Taką szansę przyznaję ci wyłącznie ten jedyny raz.

Tak brzmiały ostatnie słowa, które od niego usłyszałam, zanim rozpląnęłam się w powietrzu.

Rozdział 43

TYM RAZEM PO PRZEBUDZENIU LEŻAŁAM NA MIĘKKIM DYWANIE, ze wzrokiem skierowanym na wytapetowany na różowo sufit, a w ustach czułam smak pizzy (hawajskiej). Spróbowałam się podnieść. Co okazało się wcale niełatwym zadaniem ze względu na moją obecną wagę, mieszczącą się w kategorii mniej więcej wielorybiej. Przyjrzałam się moim ramionom i stwierdziłam nie tylko, że są to ludzkie ramiona, ale także że składają się prawie wyłącznie z wałków tłuszczu, które u zawodnika sumo byłyby powodem do prawdziwego poważania. Siadając, ze smutkiem zobaczyłam, że owe wałeczki mają całą rzeszę krewnych na brzuchu oraz udach. I cała krągła rodzinka przelewała się swobodnie, bo kobiece ciało, w którym się obecnie znajdowałam, odziane było wyłącznie w bieliznę.

Różową.

Z nadrukiem Daisy Duck.

Zniesmaczona, rozejrzałam się także po dywanie, równie intensywnie różowym, jak sufit, i spostrzegłam, że leżał na nim kawałek pizzy - wierzchem do dołu. Najwyraźniej moje nowe kobiece ciało runęło na ziemię wraz z jedzeniem.

Spróbowałam wstać, dotkliwie odczuwając przy tym, jak ciężka jest moja nowa postać. Prawie dwa i pół razy cięższa od ciała Kim, które przecież wcześniej uważałam za zbyt obszerne; obecnie zdawało się lekkie niby piórko. (Gdybym już wtedy wiedziała, co to znaczy być naprawdę grubą, te cztery kilogramy nadwagi nie kosztowałyby mnie zapewne aż tylu napadów frustracji).

Podniosłam wreszcie własne cielsko, co zaowocowało lekką zadyszką. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwałam tak głębokiej tęsknoty za maseczką tlenową.

Zauważyłam lustro wiszące na wściekle różowej ścianie, doczłapałam do niego i przejrzałam się. Z odbicia spoglądała na mnie niewiarygodnie gruba kobieta, która pomimo potrójnego podbródka miała nadzwyczaj dobroduszną twarz. Ten widok sprawił mi sporą przyjemność i - o dziwo - wprowadził mnie we wspaniałą nastrój. Mimo jej dziwaczного gustu i opasłej powierzchowności emanowała z niej taka dobroć, że z całego serca pragnęło się mieć w niej przyjaciółkę.

Postanowiłam kontynuować rozglądanie się po domu w celu zasięgnięcia dalszych informacji o kobiecie, której ciało obecnie zamieszkiwało moje ja. Mieszkanie składało się wyłącznie z jednego,

skromnie urządzonego pokoju. Wszystkie meble pochodziły z wyprzedaży, a ich dopasowanie pozostawiało wiele do życzenia.

Na stole leżała gazeta telewizyjna oraz rachunek telefoniczny, zaadresowany na Marię Schneider. Maria - piękne imię, wcześniej rozważałam je nawet jako imię dla Lilly.

„Lilly” - przemknęło mi przez myśl. W tym ciele mogę nareszcie do niej pojechać i z nią porozmawiać! Byłam podekscytowana tak bardzo, iż poczułam ból serca, jaki zadało to nagłe podniecenie. Nie tylko metaforycznie, lecz także w rzeczywistości - naprawdę silnie kłuło mnie w sercu.

Wsparłam się na chwiejnej komodzie, modląc się, by nie runęła pod moim ciężarem. Mój wzrok przykuł wiszący na ścianie w taniej szklanej oprawie plakat półnagiego Robbiego Williamsa, którego podziwianie było zapewne dla Marii najbardziej erotycznym przeżyciem, jakiego doświadczyła w ciągu ostatnich lat.

Obserwując półnagiego Robbiego, doszłam do wniosku, że dla mnie również było to najbardziej erotyczne doznanie ostatnich lat.

Kontynuując myślowanie po mieszkaniu, natknęłam się na leki nasercowe. I nagle zrozumiałam - Maria zmarła najwyraźniej na zawał serca. A spoczywająca na dywanie, odwrócona do góry nogami pizza tylko utwierdzała mnie w tym podejrzeniu.

Cóż się stało z duszą Marii?

Wiedząc już, jak miła i dobrodusza była jej twarz, miałam nadzieję, że znalazła się zamiast mnie w ogrodzie nirwany.

Zażyłam jedną ze znalezionych tabletek, sapnęłam ciężko, po czym opadłam na sofę. Rozważałam, co powinnam teraz uczynić. I właśnie wtedy ktoś z zewnątrz włożył klucz do zamka w drzwiach. Z trwogą nasłuchiwałam, jak się powoli przekręca, i nagle, zanim zdążyłam zastanowić się nad ewentualnymi konsekwencjami, drzwi się otworzyły.

Do pokoju wkroczył mężczyzna, miał około czterdziestu pięciu lat, jego głowa nosiła nikłe ślady dawnej czupryny.

Spojrzał na mnie.

A ja zeszywniałam. Siedząc na starej zielonej sofie w samej bieliźnie. Z widocznym nadrukiem Daisy Duck.

- Wszystko w porządku? - spytał mężczyzna przyjaźnie brzmiącym głosem.

- W jak najlepszym - odparłam z wymuszonym uśmiechem. Przyjrzał mi się z powątpiewaniem, a potem spojrział na leżącą wciąż na podłodze pizzę. Pośpieszyłam z wyjaśnieniem. - Przewróciłam się, trzymałam pizzę w ręce.

- Aha - odpowiedział i natychmiast zabrał się do jej sprzątania.

- Nie musisz tego robić - powstrzymałam go.

- Dobrze, dobrze - rzucił, nie przerywając sprzątania. Swoją uczynnością przypominał mi Alexa, jednak ten mężczyzna miał tyle samo wspólnego z Bradem Pittem, co ja z Paris Hilton. I mimo jego przyjaznej powierzchowności zamierzałam się go jak najszybciej pozbyć. Nie chciałam, by odkrył, że duszą nie jestem Marią.

- To miłe z twojej strony, ale wolałabym, żebyś już sobie poszedł - rzekłam więc.

- Słucham? - spytał zszokowany.

- Nie czuję się zbyt dobrze i chciałabym zostać sama. Idź, proszę, do domu. Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu, jak już się lepiej poczuję.

- Ale ja mieszkam tutaj - odparł mężczyzna skołowany. Oślupiałam.

- Przecież jesteśmy małżeństwem - dodał.

Obejrzałam się i faktycznie stwierdziłam, że na łóżku leży pościel dla dwóch osób. Kiedyś, jako prowadząca talk - show, przygotowałam tyle reportaży o pomocy socjalnej, a następnie po skończonej pracy, z szampanem w dłoni perorowałam z politykami o braku sprawiedliwego systemu świadczeń w naszym społeczeństwie - a teraz nie rozpoznałam nawet typowego mieszkania socjalnego, kiedy osobiście się w nim znalazłam.

- Hmm... tak... przepraszam - wyjąkałam i wypiłam łyk wody ze stojącej na stole szklanki, by zyskać nieco na czasie.

- Na pewno wszystko w porządku, Mario?

- Tak, tak, czuję się świetnie. - Napiałam się jeszcze trochę i zmusiłam się do uśmiechu, który prawdopodobnie go nieco zachęcił.

- Kupiłem kondomy. Jeśli nadal masz ochotę, możemy się zabrać do...

Przerażona, parsknęłam mu prosto w twarz świeżo nabraną do ust wodą.

- Fuuuuj - wymamrotał.

„Fuuuuj!” - pomyślałam na samą myśl o seksie z tym zupełnie obcym człowiekiem.

W każdym razie całkowicie się myliłam, uważając, iż tak opasła kobieta musi być koniecznie pozbawiona mężczyzny. A przecież, jak to pięknie ujmuje stare porzekadło: „Każda potwora znajdzie swojego amatora”.

Amator Marii, wycierając twarz rękawem koszuli, spytał:

- Straciłaś już na mnie ochotę? Przed chwilą byłaś taka chętna.

- Ale już nie jestem - odpowiedziałam gorączkowo. - I... i... chciałabym się przejść na spacer. Na świeże powietrze. - Podniosłam się z łóżka, powlekłam dyszące ciało do komody i wyciągnęłam przypadkowe części garderoby.

Wcale nie jest łatwo szybko się ubrać, tkwiąc w tak obszernym cielsku, ale rzut oka na opakowanie prezerwatyw zdecydowanie przyśpieszył moje ruchy. Szybciutko wybrałam komplet składający się z zielonego swetra i różowych spodni dresowych.

Wspomniany amator Marii przyglądał się wszystkiemu zupełnie bezradny.

I gdyby mnie ta sytuacja tak dalece nie przerastała, byłabym mu zapewne współczuła: przemiana żony z ochoczej w uciekającą z pewnością nie była łatwa do pojęcia, nie wspominając już o jej zaakceptowaniu.

Mój niedoszły kochanek zapytał nieśmiało:

- Chciałabyś, żebym poszedł z to...?

- Nie! - zaprotestowałam ostro i wybiegłam z mieszkania, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Po pokonaniu slalomu na klatce schodowej wybiegłam na dwór, w wiosenny wieczór; dostałam zadyszki i najpierw musiałam ochłonać. Spociałam się niczym po seansie w saunie, spędzonym z irytującymi współtowarzyszami, którzy nieustannie domagali się dodatkowej wody do polewania.

Uspokoiwszy oddech, rozejrzałam się. Gdziekolwiek spojrzeć, po sam horyzont, rozpościerały się socjalne bloki. Kolejne spostrzeżenie dotyczyło pustki na ulicy, na której nie widać było żywego ducha, a jedyny obiekt stanowił plakat reklamujący mecz klubu piłki nożnej Hamburger SV.

Hamburger SV?

Nie miałam wprawdzie zbyt wielkiego pojęcia o tej dyscyplinie sportu, ale jednego byłam pewna - jeśli w tym mieście tak rozślawiają hamburską drużynę, to w żadnym razie nie znajduję się w Poczdamie.

Próbowałam się opanować. Przynajmniej nie byłam w mrowisku, w Kanadzie ani w laboratorium, w którym przeprowadza się doświadczenia na zwierzętach. Stąd mogę bez najmniejszych przeszkód udać się do Poczdamu. Wystarczy tylko kupić bilet, szast - prast i jest się na miejscu.

Niestety w kieszeniach moich różowych sportowych spodni dziwnym trafem nie znalazłam żadnych pieniędzy. A do mężczyzny uzbrojonego w paczkę kondomów także nie chciałam wracać.

Piętnaście minut później stałam nieopodal wjazdu na autostradę z wyciągniętym w charakterystycznym geście kciukiem. Wyłącznie po to, by przekonać się, że żaden kierowca nie zatrzyma się dla rażąco grubej, odzianej w dres kobiety. Zastanawiałam się, czy ustawa antidyskryminacyjna zawiera również passus dotyczący podobnych przypadków.

Zbita z tropu, z obolałymi stawami oraz w przeupoconym ubraniu pokonałam godzinną drogę powrotną do „domu”. Byłam za bardzo wycieńczona, by obawiać się seksualnych zapędów „męża”.

Rzeczony mąż otworzył mi drzwi, obejrzał mnie zatroskany i już miał spytać o moje samopoczucie, ale wpadłam mu w słowo.

- Położę się - oznajmiłam. - I jeśli spróbujesz mnie dotknąć, staranuję cię własnym ciałem, aż zrobisz się płaski jak flądra.

Po czym w istocie opadłam na łóżko, by natychmiast pograżyć się w głębokim śnie. Po zaledwie kilku sekundach - tak mi się przynajmniej zdawało - zadzwonił budzik radiowy. Do mych uszu dobiegł rozrywkowy i zbyt hałaśliwy głos redaktora: „Jest jakby piąta trzydzieści pięć na 101 FM, gramy najlepsze hity z lat osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych oraz te najnowsze!”.

Zawsze się zastanawiałam, pod jak bardzo silnym wpływem używek wszelkiej maści musi być prezenter radiowy, wygadujący w dzisiejszych czasach takie bzdury. Dlaczego nie istnieje choćby jedna stacja, która odważyłaby się przyznać otwarcie: „Gramy dokładnie ten sam chłam co inni”? Byłam jednak zbyt zmęczona, by wyłączyć budzik. Oraz żeby otworzyć zaspane oczy.

- Maria, musisz wstać - powiedział z czułością amator i delikatnie potrząsnął mnie za ramię.

- Wcale - nie - muszę - wymamrotałam.

- Spóźnisz się do pracy - odparł tonem zdradzającym, że w tej sprawie nie odpuści. Podniosłam się zatem i nieco ogarnęłam, po czym zamyśliłam się nad pieniędzmi potrzebnymi na podróż do Poczdamu.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie leży moja portmonetka?

- Portmonetka? - spytał amator. - Od kiedy używasz takich dziwnych słów?

- Gdzie mój portfel? - poprawiłam się.

- Przecież i tak jest pusty.

- Och, z pięćdziesiąt euro na pewno się jeszcze znajdzie - odparłam zdenerwowana.

- Pewnie - odrzekł. - W przegródce z kamieniami szlachetnymi. Skrzywiłam się.

- Jesteśmy całkowicie splukani, Mario. Ostatnie 1,99 wydałaś na pizzę. - Wskazał na wyczyszczony podczas mojej nieobecności dywan.

Spojrzałam mu w oczy, które były tak smutne, że ostatecznie do mnie dotarło: nie mamy nic.

- Ale dzisiaj dostaniesz swoją tygodniówkę - próbował mnie pocieszyć. - Musisz jednak najpierw pojawić się w pracy. Punktualnie. Inaczej twój szef znów straci panowanie nad sobą.

„Dobrze - rozważałam w myśli - pójdę więc do tej pracy, odbiorę zapłatę i pomknę natychmiast na dworzec”. Cały plan zawierał jednak mały haczyk: nie miałam wszak pojęcia, gdzie właściwie pracuję!

- Odprowadzisz mnie? - sprytnie zapytałam amatora.

- Przecież zawsze to robię. - Uśmiechnął się przyjaźnie. Osiedle, które właśnie przemierzaliśmy, miało wiele cech wspólnych z tym, w którym sama się niegdyś wychowywałam: zepsute huśtawki i karuzele, zapadnięte place zabaw, fasady budynków pokryte wulgarnymi napisami i ludzie, których powierzchowność mocno kontrastowała z uśmiechniętymi, seksownymi twarzami spoglądającymi z plakatów wiszących na wszystkich słupach i przystankach. Wielu z tubylców miało permanentnie smutny wyraz twarzy, mówiący: „Zajmuję się wyłącznie piciem tanich nalewek, bo realistycznie oceniam swoje szanse na rynku pracy”.

A jednak przyjazna twarz Marii, która spojrzała na mnie z lustrzanego odbicia, różniła się od nich. Była delikatniejsza. Nie

nosiła oznak zmęczenia egzystencją. To pozwalało przypuszczać, iż mimo braku środków do życia nie straciła nadziei.

Zapraǳeńlam dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Ale jak tu zdobyć informacje o osobie, która w mniemaniu otoczenia jest mną?

Romantycznie wachlując rzęsami?

Odwróciłam się zatem ze słodkim uśmiechem do amatora, którego imienia nadal nie znałam.

- Powiedz, proszę, co najbardziej we mnie kochasz? - zagadnęłam.

Zdawał się niezłe zaskoczony, że jego Maria znowu jest dla niego miła. I jednocześnie tak bardzo tym faktem uradowany, że jął z miejsca wyliczać moje niezliczone zalety.

- Jesteś najbardziej optymistyczną istotą, jaką znam. Nawet podczas deszczu myślisz o słońcu, które zaraz wyjrzy. Ludziom niesprawiedliwym wobec ciebie natychmiast wybaczasz i wierzysz, że we wszechświecie wszystko zostanie wyrównane.

O poczynaniach wszechświata - albo raczej Buddy - jako wielokrotnie reinkarnowana kobieta, mogłam co nieco powiedzieć.

- Jesteś zawsze szczerą i... - dodał z uśmiechem - ...jesteś prawdziwym erotycznym wulkanem.

Takiego wyznania nie usłyszałam jeszcze od żadnego mężczyzny.

Właściwie dlaczego?

Czyżbym nie była wystarczająco dobra?

I czy na pewno chciałabym się dowiedzieć prawdy?

W każdym razie z dokładnego opisu Marii mogłam wywnioskować, że dusza kobiety znalazła spokój i wieczne szczęście w nirwanie. Co bardzo mnie w jej imieniu ucieszyło.

Spoglądając w błyszczące oczy męża Marii, zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć mu prawdę. Ale przecież jeśli obwieszczę, że jestem Kim Lange, z pewnością wyśle mnie do psychiatryka; oczywiście przy założeniu, że mam opłacone składki zdrowotne.

A nawet jeśli uwierzyłby, że jego ukochana nie żyje, to czy mam prawo zadawać mu taki cios? Jak śmiertelny potrafić być ból złamanego serca, zdążyłam się już jako beagle przekonać.

- Dlaczego patrzysz na mnie tak smutno? - spytał mężczyzna zatroskany.

- Wszystko w porządku - odpowiedziałam, siląc się na uśmiech. Widać było jednak, że nie do końca mi uwierzył. Uciekłam więc wzrokiem i przyspieszyłam kroku.

- Stop - rzekł.

Gnałam dalej przed siebie.

- O Boże, Mario, przecież minęłaś już swoją budkę! Zatrzymałam się, odwróciłam się za siebie i w istocie ujrzałam budkę z napisem: „Kiełbaski u Hansa”. Wewnątrz stał tęgawy mężczyzna, nieco posunięty w latach, o oczach, przy których spojrzenie Kim Dzong Ila zdawało się dobrotliwym wzrokiem Świętego Mikołaja. Za odzieniem służył mu biały kitel, przy czym pojęcie „biały” było diabelnie relatywnym określeniem opryskanego keczupem i musztardą ubrania. Ów mężczyzna był najwyraźniej Hansem od kiełbasek we własnej osobie, co skłoniło mnie do refleksji nad wątpliwymi urokami życia z piętnem kiełbaski we własnym imieniu.

Jeszcze trudniejszych przeżyć dostarczał jednak los jego pracownika.

- Maria! - krzyknął ordynarnym tonem. W serialach takie postaci pojawiają się najczęściej w roli „gbura o dobrym sercu”, lecz niestety w rzeczywistym życiu występują co najwyżej gbury. Ewidentnie bez serca - tym bardziej dobrego. A że mój pracodawca dokładnie taki typ reprezentował, przekonałam się, kiedy oznajmiłam mu:

- Jestem chora i nie mogę dzisiaj pracować. Poproszę o moja wypłatę za ten miesiąc.

Spojrzał na mnie z takim niedowierzaniem, jak gdybym mu co najmniej zakomunikowała coś absolutnie szalonego, jak chociażby: „Nie jestem Marią, tylko zmarłą Kim Lange prowadzącą talk - show”.

Po czym rzucił tylko:

- Rusz natychmiast grube cielsko i bierz się do roboty, zanim się zamienię w szalejącą z wściekłości bestię!

- Ależ ja jestem przecież chora - próbowałam trwać w drobnym kłamstwie.

Jednak mój towarzysz, a mąż Marii, podbiegł do mnie:

- Idź, proszę, bo wyrzuci cię z pracy i nie da ci pieniędzy.

- To niezgodne z prawem - broniłam się.

- A stać cię na adwokata? - zripostował.

Westchnęłam i rozpoczęłam swoją, nową dla mnie, pracę na stanowisku sprzedawczyni frytek.

Rozdział 44

ŻYJĄC W NIEUSTAJĄCYM BIEGU, JAK JA NIEGDYŚ PODCZAS całodziennych nagrań telewizyjnych, między kolejnymi konferencjami, intrygami, programami, człowiek zaczyna się zastanawiać: „Ach, jak cudownie byłoby mieć całkowicie nieskomplikowany zawód”. A jednak kiedy los mnie wreszcie takowym uszczęśliwił u Hansa, wracając myślą do dawnych tęsknot, wyciągałam jeden wniosek - bzdura!

Stanie w tej budzie okazało się prawdziwym piekłem. Po zaledwie dziesięciu minutach bolały mnie wszystkie stawy i nie mogłam się wprost nadziwić, jak Maria zdołała spędzać tu całe dni.

Tłuszcz, którego używaliśmy do smażenia, pochodził z przedwczoraj, a grill był tak zapuszczony, że w czeluściach wiekowego brudu z pewnością narodziła się już nowa cywilizacja. Inteligentna! Wołałam się nie zastanawiać, z ilu reinkarnowanych bakterii się składała. Ten stan sprzętu uniemożliwiał mi oczywiście porządne smażenie kiełbasek - już pierwsza, całkowicie spalona, wylądowała w koszu.

- Dlaczego wyrzucasz tę kiełbasę? - spytał wzburzony Hans.

- Hm... niech się zastanowie... bo była spalona? - odpowiedziałam z lekką ironią w głosie.

- Natychmiast połóż ją z powrotem na grillu.

- Przecież ten, kto ją zje, może dostać raka!

- Wiesz, gdzie to mam?

- W głębokim poważaniu?

- Otóż to. A teraz wyciągaj ją i kładź na grilla.

- A jak brzmi magiczne słówko?

- Raz - dwa!

- Kwestię magicznych słówek musimy jeszcze przeciwiczyć - z pojemnika na śmieci. Wrzuciwszy kiełbasę na ruszt, zastanawiałam się, jakie nieprzyjemności mnie tu jeszcze spotkają.

Po upływie ponad godziny dostałam odpowiedź. Około dwudziestopięcioletni, łysy młodzian w puchowej kurtce i wojskowych butach skarżył się, że sałatka ziemniaczana jest niejadalna. (Nic dziwnego, skoro kiełbasiany Hans nie zwracał uwagi na tak przyziemne sprawy jak chociażby data ważności produktów).

Chłopak narzekał:

- Ta sałatka jest tak obrzydliwa jak twoje grube cielsko.

- Lepiej być grubym niż debilem - odcięłam się. Byłam wściekła, że obraża ciało Marii, która przecież była taką miłą kobietą. (Jakoś ciągle nie mogłam pojąć, że to ciało obecnie było w moim posiadaniu).

Młodzian zmrużył niebezpiecznie powieki.

- Nie mam pojęcia, co ma ten „debil” oznaczać, ale zaraz oberwiesz!

A ponieważ nie mogłam sobie wyobrazić, by naprawdę gotów był uderzyć kobietę, zachęcałam go:

- No to chodź, proszę.

To nie był najlepszy pomysł.

- Dobra.

- Dobra? - spytałam z uczuciem nadchodzącej fali mdłości.

- Tak właśnie! - odparł i otworzył drzwi budy z mocnym postanowieniem wymierzenia, w jego mniemaniu, sprawiedliwości. Dzielnica nie pozostawiała najmniejszych złudzeń co do spotkania prawdziwych dżentelmenów [Z Pamiętników Casanovy: Pozwolę sobie doprecyzować: to były czasy, w których można było jedynie pomarzyć o spotkaniu prawdziwych dżentelmenów.].

Spojrzałam na Hansa w nadziei na jego pomoc, on jednak uciekał wzrokiem w bok, mrucząc jedynie pod nosem:

- Ja bym na twoim miejscu przeprosił.

Ponieważ amatora Marii także już dawno nie było - kiełbasiany Hans nie życzył sobie, żeby „wystawał” pod budką - tkwiłam samotnie naprzeciwko agresywnego młodego człowieka płci męskiej.

Na szczęście w takim interesie miałam do dyspozycji wiele produktów nadających się na ewentualną broń: keczup, mop do podłogi, szczypce do grilla.

Wykazując się sporym refleksem, chwyciłam tubę z keczupem curry i sownie trysnęłam zawartością mojemu przeciwnikowi prosto w oczy.

- Zaraz cię załatwię, durna babo! - wrzasnął.

Odczuwałam raczej znikomą chęć zostania załatwioną przez niego. Chwyciłam więc mop i korzystając z całej swojej - imponującej - masy, wepchnęłam mu go w brzuch. Skin z głuchym okrzykiem upadł na ziemię. Wzięłam szczypce do grilla i trzymając je na wysokości jego krocza, zapowiedziałam:

- Jeśli natychmiast stąd nie znikniesz, nie będziesz w stanie spłodzić swemu fuhrerowi (W Niemczech skinie to najczęściej członkowie lub sympatycy neonazistowskiej partii NPD, próbującej powrócić do kultu i filozofii Hitlera (przyp. tłum.)) żadnego potomstwa.

- Już mnie tu nie ma - zadeklarował skin i natychmiast rzucił się do ucieczki.

Przeniosłam wzrok na Hansa, który najwyraźniej był pod wrażeniem mojej akcji.

Dzierżąc w rękach tubkę z keczupem i szczypce grillowe, spytałam:

- Chcesz być następny? Kielbasiany Hans pokręcił głową.

- W takim razie poproszę o wypłatę.

Spełnił moją „prośbę”, a ja z kwotą stu czterdziestu trzech euro i trzydziestu ośmiu centów w kieszeni opuściłam budkę.

Słyszałam wprawdzie za sobą pogroźki Hansa w rodzaju: „Jutro ją przysmażę na grillu!”, ale nic sobie z nich nie robiłam. Nie miałam najmniejszego zamiaru kiedykolwiek jeszcze wracać do tej istnej jaskini rozkoszy dla podniebienia.

Rozdział 45

RUSZYŁAM W KIERUNKU NAJBLIŻSZEGO PRZYSTANKU AUTOBUSOWEGO i próbowałam odnaleźć pośród labiryntów rozkładu jazdy trasę na dworzec. Spostrzegłszy jednak, iż coraz więcej ludzi zaczyna się ode mnie dyskretnie odsuwać ze względu na niepowtarzalny fetor spalonego tłuszczu, rozważyłam ewentualność powrotu do domu i prysznic. Jeśli jednak zdecyduję się wykapać w „domu”, spotkam tam z pewnością amatora, a tego za wszelką cenę pragnęłam uniknąć. Nie chciałam czuć jego spojrzenia, kiedy zrozumie, że ukochana Maria odchodzi z jego życia.

Co okazałoby się trudniejsze? Dowiedzieć się, że nasza połowa przestała nas kochać, czy że wprawdzie umarła, ale jej dusza przebywa już szczęśliwie w nirwanie?

Kiedy nadjechał autobus, nie wsiadłam do niego. Wybrałam następny, prowadzący do „domu”. I do amatora. Otworzył mi drzwi.

- Dlaczego tak szybko wróciłaś? - spytał zaskoczony.
- To długa historia - powiedziałam. - Piekielnie długa historia.
- Dobrze, zamieniam się w słuch - odparł. Zawahałam się.
- Mario...? - Jej mąż z każdą sekundą mojej zwłoki stawał się coraz bardziej niepewny.

Nie chciałam już dłużej skazywać go na niewiedzę, zamierzałam wszystko mu wreszcie wytłumaczyć. Ale gdy otworzyłam usta, wydobył się z nich wyłącznie skoczny śpiew: Wszystkie rybki śpią w jeziorze, ciuralla, ciurallala.

Amator posłał mi zaskoczone do granic spojrzenie.

Moja konsternacja była o tyle większa, że wiedziałam, iż z pewnością nie to chciałam wyartykułować. Miałam powiedzieć po prostu: „Testem Kim Lange. Moja dusza jest w ciele Marii”.

Spróbowałam raz jeszcze, z podobnym efektem. Tylko jedna spać nie może, ciuralla, ciurallala.

Niczym klątwa złej czarownicy!

Amator był całkowicie skołowany.

W akcie desperacji postanowiłam wykrzyknąć prawdę, lecz udało mi się jedynie głośno zaintonować: Wąż cały w jedwabiach pannę młodą w krzaki wabił.

Dalsze próby nie miały najmniejszego sensu.

Najwyraźniej Budda tak zaprogramował mój ośrodek mowy, bym nie mogła nikomu zdradzić, kim jestem.

Mimo to nie poddawałam się. Chwyciłam kartkę, długopis i postanowiłam napisać całą prawdę o sobie, Marii oraz nirwanie. Gdy jednak skończyłam, na papierze widniała następująca treść: Indyczki, indyczki dają swe twarzyczki.

Oraz pełen zapis nutowy.

Nigdy nie przepadałam za tą przyśpiewką.

A jeszcze mniej za Buddą. Wpłynął nie tylko na mój ośrodek mowy, ale także na wszystkie pozostałe sposoby komunikacji. Uważałam, że to nie fair wobec amatora Marii, który musiał pozostać w - bynajmniej nie błogiej - nieświadomości, tylko dlatego, abym nie ujawniła całej prawdy o tamtej stronie życia.

Intensywnie zastanawiałam się nad dalszą strategią działania. Nie chciałam, by mąż Marii myślał, że to ona go opuszcza.

Ostatecznie znalazłam tylko jedno rozwiązanie, by mu sprawę nakreślić, pomijając przy tym historie dotyczące nirwany.

- Jak ty właściwie masz na imię? - spytałam.

- Słucham? - spytał mężczyzna poirytowany.

- Nie mam pojęcia, jak masz na imię.

- Straciłaś pamięć? - Zachichotał nerwowo.

- Nigdy mi się nie przedstawiłeś - wyjaśniłam. Bezgraniczne zdumienie malowało się na jego twarzy.

- Spójrz mi w oczy - poprosiłam. Podszedł bliżej.

- Głęboko.

Tak uczynił.

I pojął, że mówię prawdę.

I że ciało Marii zamieszkuje obca dusza.

I nawet bez racjonalnego wytłumaczenia, dlaczego i jak to możliwe, zrozumiał w tym momencie jednoznacznie, że na zawsze stracił swoją wielką miłość - Marię.

- Mam na imię Thomas - rzekł zrozpaczony.

Rozdział 46

SIEDZĄC już w POCIĄGU INTERCITY DO POCZDAMU, NIE PRZESTAWAŁAM myśleć o Thomasie. Miałam ogromną nadzieję, że poradzi sobie z nagłym osamotnieniem. Nie zasłużył na to, co się stało. Nikt nie zasługuje na śmierć najbliższych.

- No, ciekawe, czy ma pani dwa bilety - z zamyślenia wyrwał mnie czyjś głos.

Odwróciłam się i ujrzałam konduktora z wąsami i kolczykiem w uchu. Dwa grzechy w kwestii stylu na raz, doprawdy brakowało jeszcze tylko typowej fryzury z lat siedemdziesiątych „na małpę”.

- Co pan przez to rozumie?

- Pani jest przecież tak gruba, że nikt się nie zmieści na miejscu obok - wyjaśnił konduktor z chytrym uśmieszkiem.

- Pana żarty są tak zabawne jak leczenie kanałowe u dentysty - odparłam nonszalancko.

Konduktor, niczym rażony gromem, natychmiast zdjął z twarzy głupawy uśmieszek, skasował mój bilet i resztę podróży spędziłam samotnie. Żaden z pasażerów nie chciał się kulić obok mnie.

Nie przywykłam do takich sytuacji. Jako Kim Lange przyzwyczajona byłam raczej do niezliczonych, ukradkowych spojrzeń ludzi - wzrok kobiet był pełen zazdrości, a mężczyźni kierowali swe spojrzenia na mój biust (który wprawdzie nie był szczególnie imponujący, ale należał przecież do znanej osobistości). Takie zachowanie było równie deprymujące, jak schlebiające. Obecnie jednak, kiedy przedstawiciele obydwu płci zaszczycali mnie jedynie pogardliwymi spojrzeniami, sytuacja stawała się wyłącznie deprymująca.

By oszczędzić sobie niemiłych oznak ludzkiej podłości, odwróciłam się do okna i skupiłam na podziwianiu przemykających krajobrazów. Zastanawiałam się przy tym, czy migające za szybą krowy na pastwiskach także są reinkarnowanymi ludźmi. Oraz nad motywami, które skłaniają ludzi do budowania domu w szczerym polu, ale jednocześnie tuż przy trakcji kolejowej. Ostatecznie moimi myślami zawładnęła najistotniejsza kwestia: w jaki sposób powinnam zaaranżować spotkanie z moją rodziną i jak ona zareaguje na moje śpiewne Indyczki, indyczki dąsają swe twarzyczki.

Dotarwszy do Poczdamu, postanowiłam najpierw zatroszczyć się o nocleg na najbliższą noc. Stać mnie było tylko na jeden z tanich

hosteli na obrzeżach miasta, w których każdy pokój wyposażony jest w samoczyszczące się toalety. Przez całą noc nie mogłam zmrużyć oka. Z jednej strony z powodu nękającego mnie głodu - w tej dzielnicy przemysłowej, jak okiem sięgnąć, nie funkcjonował żaden sklep, w którym można by było robić zakupy nocą - a z drugiej strony z powodu młodzieżowej imprezy piętro niżej, urozmaiconej alkoholem, donośną muzyką oraz wyrzucaniem łóżkowych stelaży za okno. Ponieważ w takich hostelach nocą w recepcji brak żywej duszy, goście mogli wyczyniać, czego tylko ich upojone dusze zapragnęły.

Noc upłynęła mi zatem na przyglądaniu się zza okna dzielnicy przemysłowej, oświetlonej chłodnym światłem księżyca. W pewnej chwili przez krajobraz, który obserwowałam, przemknął kot. Naturalnie wiedziałam, że nie jest Casanovą, ale automatycznie skierowałam myśli na niego. Najprawdopodobniej wciąż jeszcze się na mnie bezgranicznie bocył za to, iż ostatecznie zatroszczyłam się o pomyślny przebieg zaślubin Niny i Alexa [Z Pamiętników Casanovy: Pojawszy, iż zaślubiny odbyły się beze mnie, przekląłam madame Kira z całego serca. Do czasu aż doszły mnie wieści o jej śmierci. Ta wiadomość wyraźnie złagodziła moje poprzednie obyczaje, rzekłem więc do siebie bardzo delikatnie: „Należało jej się!"].

Zastanawiałam się, co powinnam uczynić nazajutrz. Pójść do Lilly i Alexa? Czy jako obca dla nich osoba mogłam próbować się zbliżyć?

Ale w jaki sposób?

Zdecydowałam w pierwszej kolejności zająć się sprawą najbardziej niecierpiącą zwłoki, mianowicie znalezieniem dla siebie pracy, wszak nie miałam już prawie żadnej gotówki. A już zupełnie nie miałam zamiaru koczować jako zapuszczona bezdomna pod naszym domem lub w takim stanie spotkać Lilly.

O poranku kupiłam więc gazetę, przejrzałam ogłoszenia o pracy i natrafiłam na coś, co niektórzy nazwaliby darem od losu, a inni zwykłym zbiegiem okoliczności.

Istnieją przeróżne rodzaje przypadków; takie, które nadchodzą niczym katastrofa, by ostatecznie obrócić się w coś pozytywnego, i takie, które najpierw są na pozór pozytywne, po czym okazują się katastrofą. Oraz takie, na widok których szczęka z hukiem opada nam na ziemię.

Zadzwoiłam pod numer z ogłoszenia, w którym poszukiwano sprzątaczkę - zdawałam sobie sprawę, że z moim obecnym wyglądem raczej zbyt szybko nie odzyskam pracy telewizyjnej moderatorki. Agencja pracy skierowała mnie na adres oddalony od mojego tylko o trzy przecznice.

Okazało się, że to nie ten przypadek wpłynął na przyciąganie ziemskie mojej szczęki.

Kiedy wspierałam się po ścieżce prowadzącej do posiadłości - czterysta metrów kwadratowych willi z poprzedniego stulecia - z naprzeciwka nadszedł mój były szef Carstens.

I to także nie był wspomniany poruszający przypadek.

Naturalnie nie rozpoznawszy mnie, skinął tylko głową, wsiadł do swojego mercedesa cabrio i odjechał z piskiem opon.

Podeszłam do drzwi. Na willi nie widać było żadnej wizytówki - jej nowy właściciel zapewne dopiero się wprowadził. Zapukałam masywną kołatką, aż zahuczało. Po krótkiej chwili oczekiwania drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. I moim oczom ukazał się... Daniel Kohn.

To zdecydowanie był ów zbieg okoliczności, który odebrał mi mowę!

Obawiałam się również, czy to nie ten z przypadków, które okazują się katastrofą.

- Dzień dobry, pani zapewne jest sprzątaczką? - rzekł tym czasem Daniel Kohn.

Stałam dalej z otwartymi ustami.

- Właśnie teraz powinna pani powiedzieć „tak” - uśmiechnął się Kohn.

Twardo milczałam.

- Nie jest pani zbyt rozmowna, prawda?

Pomiarkowawszy, iż należy cokolwiek bąknąć, zebrałam wszystkie siły i zdołałam wymamrotać: „mmhhmm”.

Byłam zbyt zszokowana, by wyartykułować choć jedno rozsądne słowo.

- Może niech pani najpierw wejdzie - zaproponował Daniel.

Oprowadził mnie po swojej willi, którą niedawno kupił, ponieważ otrzymał nową posadę - moją. Carstens zaproponował mi prowadzenie mojego talk - show po dwóch latach nieudanych prób

testowania ewentualnych kandydatów, z których żaden nie dorastał Kim Lange do pięt.

- Moje gratulacje - powiedziałam.

- A jednak potrafi pani mówić - odparł Daniel. - Jeśli się bardzo postaram.

Daniel uśmiechnął się i zaczął się wspinać po schodach. Podążając krok w krok za nim, podziwiałam jego wspaniały tyłek. Wspominałam przy tym naszą wspólną noc i to, jaka była cudowna. Przez chwilę wyobraziłam sobie nawet że być może znów ja z nim... Nie, to przecież absurdalne - znany moderator dzieli łożę z opasłą sprzątaczką. Jeden z przyciągających nagłówków, które nawet w „Fakcie” niełatwo spotkać.

Poza tym przecież ponownie odkryłam w sobie miłość do Alexa. Jakim prawem zatem znów fantazjuję o Danielu?

Mój Boże, człowiek od dwóch lat nie żyje, poddawany jest systematycznie procesom reinkarnacji, zbiera dobrą karmę, traci ją, zbiera nową, a po tym wszystkim nadal nie potrafi określić swoich uczuć. To nie może być prawda!

Kiedy dotarliśmy na drugie piętro, musiałam najpierw uspokoić nieco oddech. Daniel zaoferował mi orzeźwiające specjały ze swego barku, znajdującego się w sypialni. Sypialnię z kolei charakteryzowała subtelna nuta miłosnych piekieł - wyśmienite łożę, imponujący sprzęt hi - fi znanej marki oraz wysmakowane stare zwierciadło w strategicznie interesującym punkcie.

- Jest pani pewna, że poradzi sobie ze sprzątaniami tak wielkiego domu? - spytał Daniel sceptycznie, ponieważ wciąż nie mogłam opanować dyszenia.

Nie byłam pewna. Czy na pewno poradzę sobie ze sprzątaniami jego sypialni, w której wcześniej oddawał się miłosnym igraszkom z jakąś blondynką? Nie!

Ale czy mam zamiar zostać bezrobotną oraz bezdomną? Nie, nie, nie i jeszcze raz nie!

A ponieważ argument „Nie, nie, nie i jeszcze raz nie” bezsprzecznie wygrywa z pojedynczym „nie”, podjęłam nową pracę; w ten sposób zostałam sprzątaczką Daniela Kohna.

Rozdział 47

DANIEL HOJNIE WYNAGRADZAŁ MOJE WYSIŁKI. WYNAJEŁAM SOBIE kawalerkę na drugim końcu miasta i skromnie ją urządziłam (łóżko, komoda, żadnych tandetnych mebli z wyprzedaży). Codziennie jeździłam do posiadłości Daniela, sprzątałam, prasowałam jego rzeczy i nie mogłam się nadziwić, ile przeróżnych kobiet przewija się przez jego dom. I temu, iż wszystkie były - jak by to określił poczciwy kapitan Baryłka (Jeden z bohaterów komiksu z cyklu Przygody Tintina autorstwa belgijskiego artysty Herge (Georges Remi) (przyp. tłum.) - „mentalnymi pierwotniakami”.

Ze względu na moje ciało to był naprawdę trudny okres, ponieważ wciąż musiałam łykać nasercowe medykamenty Marii, cierpiała też moja udreńczona dusza, która dotąd nie znalazła odpowiedniej sposobności, by zaaranżować spotkanie z Lilly i Alexem. Z każdym dniem pograżałam się głębiej w beznadziei i stawałam się coraz bardziej niepewna swoich wyborów. Łapałam się nawet na myśli, czy nie lepiej mi było oddać się wtedy nirwanie.

Takie smutne rozważania zaprzętały mój umysł, kiedy po raz kolejny pukałam do drzwi Daniela. Otworzył je po krótkiej chwili. Całkowicie przybity. W podkoszulku, nieogolony i najwyraźniej przygnębiony.

Moja intensywna kontemplacja jego zmarnowanej postaci zirytowała go nieco.

- Co jest?

- Hm... wygląda pan tak...

- ...jakby mnie coś gryzło?

- Ugryzło, połknęło i ponownie wypluło - uzupełniłam.

Uśmiechnął się słabo i gestem zaprosił do środka.

Kiedy przemierzaliśmy hol willi, wyznał: - Notowania mojego pierwszego programu były niskie.

- Bardzo niskie?

- Nie. Apokaliptycznie niskie! - odparł. - Widzowie wciąż jeszcze tęsknią za Kim Lange - dodał. - Każdemu jej następcy biorą za złe, że nie jest nią.

Nie mogłam opanować uśmiechu, tak mi to schlebiało.

- Dlaczego się pani uśmiecha? - zapytał Daniel lekko urażony.

- Nic, nic - odpowiedziałam. - Czy mogłabym obejrzeć to nagranie?

- A po co?

- Być może będę miała dla pana kilka wskazówek.

Daniel zawahał się z mieszanką rozbawienia i ciekawości, by ostatecznie zdecydować:

- Okej.

Wspólnie prześledziliśmy jego talk - show, który niegdyś należał do mnie. Sześciu polityków prowadziło zażartą dyskusję na temat „Emerytura - fakt czy fikcja?”, a ja nie mogłam się nadziwić, że kiedyś coś podobnego było dla mnie tak ważne. Sześć banalnych osób za pomocą równie banalnych potyczek słownych okrada widzów z cennych chwil życia.

Po pięciu minutach ziewnęłam przeciągle.

- Tak z pewnością reagują również inni widzowie - westchnął Daniel.

- Zakładając, że wskutek skrajnego znudzenia nie zaczną rzucać różnymi przedmiotami w telewizor - dodałam z uśmiechem.

- I jak? Ma pani dla mnie jakieś rady? - dopytywał Daniel.

- Owszem, mam. Niech pan zajmie się czymś innym.

- Czymś innym?

- Pan ma ogromny talent. Powinien pan go inwestować w coś innego niż ten szmelc. W coś, co odkryje tkwiące w panu pokłady geniuszu.

- Chętnie, ale... - Ale co?

- Nie mam pojęcia, co by to mogło być.

- A co pan myśli na przykład o reportażach z podróży? - zaproponowałam. Przecież dzięki reinkarnacyjnym wojażom zwiedziłam niemal pół świata.

W mgnieniu oka zmęczenie zniknęło z oczu Daniela. Pomysł go zachwycił. I zaintrygował.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Daniel opuścił salon, by je otworzyć.

- Daniiii - do moich uszu dobiegł piskliwy głos. Należący do jednej z jego licznych przyjaciółek.

- Posłuchaj, chwilowo nie bardzo mogę... - tłumaczył Daniel.

- Co takiego? - prychnęła kobieta.

- Mam... mam ważnego gościa - jękał się. Nie mogłam uwierzyć - czyżby naprawdę Daniel odprawiał jedną ze swoich blond boginek, by dokończyć rozmowę ze mną?

- Ale, Danii...

- Nie teraz.

- Nawet jeśli nie będę miała na sobie nic prócz dwóch rzeczy? -
kusiła.

- A jakie to rzeczy? - zainteresował się Daniel.

- Truskawki i bita śmietana.

Doprawdy, wręcz poczułam jego wewnętrzne rozdarcie: serce chciało kontynuować rozmowę ze mną o jego nowej, bardziej spełnionej ścieżce zawodowej, libido natomiast pragnęło truskawek i śmietany.

Spostrzegłszy, że to drugie zaczyna brać górę, podeszłam i rzuciłam:

- Mam jeszcze parę interesujących pomysłów na pańskie reportaże.

Na twarzy młodej kobiety, której hojnie wypełniony, obcisły top mógłby z powodzeniem stać się przyczyną poważnych wypadków drogowych, malowało się bezgraniczne zdumienie.

- Z powodu tej tu nie chcesz się ze mną widzieć?

- Ona nie jest dla ciebie żadną konkurencją - Daniel próbował dziewczę nieco udobruchać. Mnie natomiast ta odpowiedź wcale się nie podobała.

- Ale z jej powodu odsyłasz mnie do domu! - marudziła młódka.
Daniel przytaknął.

- W takim razie idę - rzuciła. - A truskawki zabieram ze sobą!
Daniel, odprowadziwszy ją wzrokiem, odwrócił się ku mnie. - Jakie pomysły miała pani na myśli? - rzekł nieporuszony.

Cały dzień upłynął nam na roztaczaniu przyjemnych wizji nowych, ciekawych zajęć. Przygotowywaliśmy założenia reportaży o indyjskich fakirach, o dziewiczych terenach aborygenów oraz narkotycznych rytuałach Indian z Amazonii. Fantazjowaliśmy o podróży do zatopionej Atlantydy oraz ekspedycji do stacji Amundsen - Scott na Antarktydzie. Reasumując, zwiedziliśmy z Danielem cały świat, ruszając się przy tym z miejsca tylko raz - by otworzyć drzwi dostarczycielowi pizzy.

To był wspaniały dzień, zwieńczony wspólną przejażdżką w strugach deszczu - Daniel odwiózł mnie do domu.

W jego porsche, z powodu mojej tuszy, siedzieliśmy tak blisko siebie, że przy każdej zmianie biegów Daniel nieuchronnie mnie

dotykał. Co równie nieuchronnie wywoływało u mnie przyjemne dreszcze. Po raz pierwszy poczułam się w moim nowym ciele kobieco.

Kiedy zatrzymaliśmy się pod moim blokiem, Daniel skwitował go słowami:

- Nie jest tu raczej zbyt niebiańsko.

- Och, mogło być gorzej - odpowiedziałam, mając na myśli choćby mrowisko.

- Pani we wszystkim dostrzega słoneczną stronę. - Daniel się uśmiechnął.

Oniemiałam. Tego, że we wszystkim dostrzegam pozytywne cechy, jeszcze nigdy od nikogo nie usłyszałam. Czyżbym faktycznie aż tak zmieniła się pod wpływem ostatnich przeżyć i upodobniła nieco do Marii?

- Od lat żadna konwersacja nie sprawiła mi tak dużej przyjemności jak z panią - rzekł Daniel.

- Mnie również - odparłam, bo przecież w ciągu ostatnich dwóch lat rozmawiałam wyłącznie ze zwierzętami.

Spojrzał mi głęboko w oczy. Odwzajemniłam spojrzenie.

Kontakt wzrokowy, cielesna bliskość w aucie zazwyczaj wystarczyłyby jako składniki w przepisie na pierwszy pocałunek.

Ale naturalnie to była czysto irracjonalna myśl; między nami nigdy nie dojdzie przecież do pocałunku.

Daniel jednak wciąż nie odrywał ode mnie wzroku.

Co mnie nieco speszyło.

Jego również.

Zdawał się całkowicie skołowany.

- Coś się stało? - spytałam.

- Czy my... czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?

Daniel najwidoczniej dojrzał w moich oczach moją duszę. Tak bardzo pragnęłam mu wyznać prawdę, że to ja, Kim. Wiedziałam wprawdzie, że Budda tak spreparował mój aparat mowy, by nikt się tego nie dowiedział, ale... gdyby się bardzo skoncentrować? Może tym razem jednak się uda. Tak, na pewno się uda. Powiem mu, że jestem Kim Lange, kobietą, z którą spędził ostatnią noc przed jej śmiercią. Kobieta, na której grobie położył czerwoną różę.

Otworzywszy usta, skoncentrowałam się ze wszystkich sił i wyśpiewałam pełną wewnętrznych uczuć: Orzeł, orzeł, już on wyprostuje panny młodej łóżko.

Daniel rzucił mi tym razem spojrzenie podszyte irytacją:

- To coś obraźliwego?

Pokręciłam głową, nerwowo wysiadłam z auta, pobiegłam wprost do pokoju i postanowiłam nie opuszczać go przez kolejnych kilka lat.

Rozdział 48

NASTĘPNEGO PORANKA KTOŚ ZADZWONIŁ DO MOICH DRZWI. Nie zamierzałam się ruszać spod kołdry. Było mi tam całkiem przyjemnie.

- To ja, Daniel Kohn. Oniemiałam.

- Chciałbym pani coś pokazać.

- Momencik! - zawołałam. Ubrałam się i szybko zażyłam tabletki Marii, zastanawiając się, cóż takiego Daniel ma zamiar zaprezentować.

Ledwo zdążyłam otworzyć drzwi, a Daniel już rozpościerał przede mną arkusz papieru.

- Ekhm, co to jest?

- Moja koncepcja nowego cyklu reportaży. Pół nocy nad nią spędziłem. Oczy błyszczały mu jak małemu chłopcu. Nigdy nie podejrzewałam, że jego zazwyczaj szarmancko chłodna twarz potrafi tak promienieć.

- Zechciałaby pani się jej bliżej przyjrzeć?

- A mam inne wyjście?

- Oczywiście, że nie.

Wzięłam od Daniela ów arkusz i pograżyłam się w lekturze. Wiele z pomysłów, które pojawiły się w naszej wczorajszej rozmowie, zagościło również tutaj. Włącznie z Antarktydą. Iście porywający cykl reportaży, którego realizacją sama bym się chętnie zajęła.

- Wspaniałe! - oceniłam.

- I o wiele ciekawsze niż miernota, którą się obecnie zajmuję.

- A jakże - przytaknęłam z przekonaniem.

- Jeśli całość dojdzie do skutku, mianuję panią moją osobistą asystentką.

Uśmiechnęłam się, nie wierząc w żadne jego słowo.

Daniel przekonał mnie jednak, by towarzyszyć mu w podróży do Berlina, do siedziby stacji telewizyjnej. Godzina spędzona w aucie, w intymnej atmosferze bliskości, korzystnie wpływała na moje seksualne fantazje. Pozostawały one jednak w sferze brutalnego rozdarcia pomiędzy ciałem Kim Lange a moim obecnym Marii.

Daniel, wyraźnie podekscytowany, poprosił mnie, bym poczekała na zewnątrz, i wbiegł do budynku. Po krótkiej chwili wrócił z nieskrywanym zadowoleniem.

- Pański uśmiech zdradza sukces, czyż nie? - spytałam.

- Uwolniono mnie od prowadzenia talk - show, przyznano mi te reportaże!

- Gratuluję.

- A panią właśnie awansuję na stanowisko asystentki. Zapewne nie traktował tej deklaracji poważnie.

- Wznieśmy zatem toast za nasze nowe zajęcia! - zaproponował rozradowany.

Pognaliśmy z powrotem do jego willi i weszliśmy na górę, by skorzystać z barku (czy wspominałam już, że znajdował się w sypialni?). Daniel wyciągnął szampana, starszego niż my oboje razem wzięci.

- Przechowywałem go na specjalną okazję - rzekł i otwarłszy butelkę, nalał nam do kieliszków. Miałam nadzieję, że ten rodzaj alkoholu okaże się kompatybilny z moimi lekarstwami.

- Za panią! - wzniósł toast, szczerze wdzięczny za roztoczenie przed nim nowych horyzontów zawodowych.

- Za pana - zawtórowałam. Po czym skosztowaliśmy wiekowego trunku, który jednak okazał!

się tak obrzydliwy, że niezwłocznie go wypluliśmy.

Po krótkiej chwili absmaku wybuchnęliśmy gromkim śmiechem. Pierwszym tak szczerym i zaraźliwym od lat. Czułam się wprost cudownie. Zanosiliśmy się owym rechotem tak długo, aż łzy zaczęły nam płynąć po policzkach.

Emocje wywołane wspólnym przeżyciem były tak silne, że musiałam wesprzeć się na jego łożu. Usiadłam zatem. A on obok mnie.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy.

Głęboko.

Dojrzał moją duszę.

- Jednak skądś panią znam - powiedział równie zakłopotanym, jak czułym tonem.

Zanuciłam w odpowiedzi Ciuralla.

I wtedy nastąpił pocałunek.

Rozdział 49

W CIĄGU KILKU NASTĘPNYCH SEKUND BYLIŚMY JUŻ ZUPEŁNIE NADZY i spragnieni siebie, oddaliśmy się namiętnościom. Kiedyś wstydziłam się swojej skórki pomarańczowej, bo miałam poczucie, iż moje ciało nie jest perfekcyjne, a zarazem niedostatecznie atrakcyjne. Obecnie znajdowałam się w ciele, którego absolutnie żaden magazyn kobiecy nie uznałby za idealne, ale jakoś wcale się tym nie przejmowałam. Po dwóch latach zamieszkiwania w przeróżnych zwierzęcych ciałach cieszyłam się po prostu z ponownej ludzkiej egzystencji. W której możliwe są prawdziwe miłosne igraszki. Z Danielem Kohnem.

Jemu także zdawała się nie przeszkadzać moja nadwaga. Podczas seksu kierował się mottem: „Wskoczyć i poddać się przyjemności”. Z jednej strony dlatego, iż wyczuwał moją duszę, z drugiej zaś - czego dowiedziałam się później - ze względu na jego sympatię dla rubensowskich kształtów, które uważał za bardziej zmysłowe niż kształty wychudzonych blondynek, z którymi zazwyczaj sypiał. („Bliskie spotkanie z tymi wszystkimi wystającymi kośćmi jest zawsze bolesne!”).

Tak, tak, gdyby kobiece magazyny odkryły kiedykolwiek, że mężczyznom w rodzaju Kohna kości szczupłych kobiet wydają się nieatrakcyjne, redakcyjny zespół zachwiałby się w posadach.

W każdym razie nasze zbliżenie, tak jak tamtej pamiętnej, upojnej nocy, po której pierwszy raz umarłam, było wspaniałe. Cudowne.

Ale jednak nie superhiperprzewspaniałe.

Przyczyna nie tkwiła w niekompetencji Daniela. Mówiąc konkretniej - był on prawdziwym mistrzem alkowy. Powodem był Alex i fakt, że wciąż o nim rozmyślałam. I o moich do niego uczuciach.

Nie miałam wyrzutów sumienia wobec byłego męża. Ten wieczór był na to po prostu zbyt piękny. Poza tym Alex zdecydowanie częściej oddawał się namiętnym czułościom z Niną niż ja z Danielem.

A jednak nie mogłam przestać o nim myśleć. Również ze względu na naturalny zapach Daniela, który nie był tak przyjemny jak Alexa. Najpierw próbowałam złożyć to odkrycie na karb mojego węchu, który obecnie nie był przecież tak czuły jak psi; z pewnością dlatego nie byłam w stanie wyczuć jego pięknego zapachu. Zdawałam sobie jednak sprawę z tego, że znów zaczynam siebie oszukiwać,

prawda przedstawiała się bowiem następująco: Alex pachniał o wiele bardziej zmysłowo niż Daniel.

Gdy zrobiliśmy małą pauzę na zaczerpnięcie oddechu i wypicie szampana - tym razem młodszego rocznika - Daniel spojrzał na mnie.

- To było doskonale - rzekł.

- Tak... - odparłam.

- Twoje zawieszenie głosu zdradza jakieś „ale”.

Pokręciłam głową. Nie chciałam mu mówić o Alexie.

- Nie znoszę żadnych „ale” - nalegał Daniel, wyraźnie czując, że coś jest nie tak.

Milczeliśmy dłuższą chwilę.

- Szkoda, myślałem, że coś by się z tego mogło rozwinąć - Daniel przerwał krępującą ciszę.

- Kiedy tak myślałeś? - spytałam z ciekawością. Myślał o mnie w kategoriach związku... niepojęte. Równie niepojęte, jak fakt, iż przed chwilą właśnie się kochaliśmy.

- Hm, mniej więcej pomiędzy pocałunkiem a trzecim szczytowaniem - wyjaśnił szarmancko.

- Doprawdy chciałbyś tworzyć parę ze sprzątaczką?

- Przecież jesteś moją asystentką. Zatem nie żartował.

Wprawilo mnie to w spore zakłopotanie.

Dlaczego właściwie nie spróbować z Danielem? To o wiele lepsze niż samotność, poza tym on naprawdę coś do mnie czuł - jakkolwiek wariacko to brzmiało.

Byłam skołowana.

Tymczasem Daniel ponownie mnie pocałował. I jeszcze raz. I jeszcze. Całą moją szyję obsypał pocałunkami. By za chwilę znów zabrać się do przerwanych przyjemności. Tym razem myśli o zapachu Alexa nieco zbladły.

Rozdział 50

PRYWATNY DETEKTYW THOMAS MAGNUM (Bohater serialu Magnum P.I. (przyp. red.)). RZEKŁBY w TAKIM momencie: „Wiem, o czym pani teraz myśli...”. Naturalnie, chciałam odzyskać moją dawną rodzinę. Lecz na ile realne było to marzenie? Przecież nie udało mi się nawet do nich zbliżyć. O wiele wygodniej byłoby zostać u Daniela. A po wszystkich przeciwnościach, jakie spotykały mnie w ciągu ostatnich lat, chyba zasłużyłam sobie na odrobinę wygody? Bzdura, na całą masę wygody! Do końca życia!

Pozwalałam się więc rozpieszczać Danielowi, oddawałam się conocnym miłosnym uciechom, a z mojej asystenckiej pensji zamówiłam sobie masaż upiększający w Excellence Spa u Rico.

Rico, stojąc za marmurową ladą recepcji, na mój widok całkowicie osłupiał. Ludzie o wymiarach ciała podobnych do moich nigdy dotychczas nie gościli w jego świątyni luksusu.

- Daniel Kohn mnie zapisał - rzuciłam nonszalancko, lecz tak naprawdę rozpieła mnie duma, ponieważ - mimo wszystko - jeden z najbardziej pożądanych mężczyzn w tym kraju był mój!

- Pani jest jego... starszą siostrą? - spytał zaintrygowany Rico. Byłam zaskoczona i wściekła zarazem.

- Zaraz panu dam starszą siostrę! - odwarknęłam bez namysłu.

- Och, najwyraźniej pani nią nie jest. - Jeśli chce pan wiedzieć, jestem jego kobietą. Rico natychmiast pospiesznie się odwrócił. Dostrzegłam, jak wpycha sobie pięść do pobladłych ust,

i usłyszałam ciche parskanie. Walczył z nadchodzącym wybuchem wesołości.

Ja natomiast walczyłam z chęcią kopnięcia go prosto w pewne miejsce wymodelowane treningami, do którego - stojąc za nim - miałam najlepszy dostęp.

Rico, uspokoiwszy się nieco, odwrócił się do mnie, zerknął raz jeszcze i nie wytrzymał. Próbował się jeszcze kryć, ale ostatecznie zarżał głośno:

- Kobieta...!

Ja zatem również zaprzestałam wewnętrznej walki i dałam się ponieść emocjom.

Tyle w kwestii masażu upiększającego.

Wściekła pojechałam tramwajem prosto do Daniela. Takie typy, które próbowały umilać moje, ewentualnie Marii, życie,

doprowadzały mnie do szewskiej pasji. Najchętniej gołymi rękami wyrwałabym Rico serce, poćwiartowała na malutkie kawałeczki, by następnie włożyć je do kuchennego moździerza, rozgnieść na papkę, nakarmić nią psa, a następnie przejechać go parowym walcem.

W sypialni opowiedziałam Danielowi dzisiejsze zajście. Miałam nadzieję, że się tak samo wzburzy jak ja i zacznie podobnie fantazjować na temat ewentualnych narzędzi tortur odpowiednich dla Rico. A jednak, zamiast podać kilka sensownych propozycji z kategorii „ćwiartowanie”, „ukrzyżowanie”, „łamanie kołem” lub „kombinacja wszystkich poprzednich”, zapytał tylko:

- Naprawdę śmiałaś się z tego, że jesteś moją kobietą? - Tak!

- Hmmmm - wymruczała.

„Hmmmm” raczej nie było formą wsparcia, jakiej sobie życzyłam.

- Uważasz, że nie jest do tego zdolny? - zagadnęłam.

- Owszem, ale...

- Ale co? - Nie mogłam pojąć. W odpowiedzi na takie pytanie nie ma miejsca na żadne „ale”.

- Ale tak właściwie dotychczas miałem zupełnie inne kobiety.

- Piękne laleczki do ozdoby! - marudziłam dotknięta. Daniel słynął z tego, że otoczony był zawsze najpiękniejszymi kobietami. Gdyby nasze wspólne fotografie przedostały się do prasy, z całą pewnością nie zabrakłoby nagłówek w rodzaju: „Czyżby Daniel Kohn stracił wzrok?”, „Kocham sadło” lub „Następnym razem zawodniczka sumo?”. Najprzychylniejszy z nich brzmiałby: „Rany! Daniel Kohn nie brzydzi się absolutnie niczego!”. Fotografie naszej pary z pewnością zaszkodziłyby jego opinii, co sobie prawdopodobnie w tym momencie uświadomił. Taki obrót spraw rozwścieczył mnie jeszcze bardziej i zarazem zasmucił.

- Tu nie chodzi o ozdobę - Daniel próbował załagodzić sytuację.

- A zatem wszędzie będziesz mnie ze sobą zabierał i przedstawiał jako swoją kobietę? - spytałam uszczypliwie.

Wahał się przez jedną dziesiątą sekundy. A nie powinien, wahanie bowiem jest męskim przyznaniem się do winy.

- Nie jestem dla ciebie odpowiednio reprezentacyjna - stwierdziłam.

- Nie wygaduj głupot!

- W takim razie udowodnij mi, że się mylę. - Jak mam to uczynić? - spytał poruszony.

- Zabierz mnie ze sobą na tegoroczne wręczenie Niemieckiej Nagrody Telewizyjnej. Jako swoją połówkę. Na oczach całego świata!

Daniel wahał się teraz o wiele dłużej niż jedną dziesiątą sekundy.

Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej mój żal ustępował miejsca obawie, że naprawdę dojdzie do wniosku, iż nie chce, by ktokolwiek oglądał nas razem.

I jak wtedy powinnam zareagować? Powiedzieć: Hasta la vista, baby?! Czy może raczej: „Nie ma sprawy, ważne, że będziemy razem, obojętnie: dla innych czy w ukryciu. Moja godność jest mi totalnie obojętna. Kto by się przejmował jakąś idiotyczną godnością?”.

W końcu Daniel, stoczywszy wewnętrzną walkę, rzekł:

- Zabiorę cię ze sobą. I przedstawię oficjalnie jako moją kobietę. Słowa te bardzo uradowały mnie i moją godność.

Rozdział 51

ZAMIAST ZATRZYMYWAĆ SIĘ W HYATT, WRAZ Z INNYMI PROMINENTAMI, Daniel wyszukał dla nas idealny i przytulny hotel na obrzeżach Kolonii.

Oddawaliśmy się błogiemu lenistwu we francuskim łożu do czasu, kiedy zjawił się goniec z moją nową suknią od Versacego. Daniel podał wszystkie wymiary i polecił ją uszyć. Nie można jej było wprawdzie nawet porównywać z tą, którą miałam na sobie jako Kim Lange... Mówiąc szczerze, nowa kreacja przypominała raczej projekty opakowań Christo i Jeanne - Claude (Bulgar Christo i Francuzka Jeanne - Claude - para artystów tworzących m.in. „opakowania” dla wielkich form przestrzennych. „Opakowali” na przykład Reichstag w Berlinie czy most Neuf w Paryżu (przyp. red.).).

Jednak dotyk jedwabistego materiału na skórze oraz radość oczekiwania na wieczorną galę, świadomość, że niebawem ujrzę telewizyjną brać... wywoływały prawdziwe skurcze w brzuchu.

Jakaś moja część wizualizowała sobie Daniela i mnie, wysiadających z limuzyny w blasku tysięcy fleszy próbujących uchwycić niezwykłą parę, kolejna część fantazjowała na temat rozwoju mojej kariery opartej na związku z Danielem; jako przyszła pani Kohn miałabym ułatwiony dostęp do autorskiego programu w telewizji. A jeszcze inna, trzecia, mała część nie mogła się nadziwić optymizmowi pozostałych dwóch.

Obróciłam się, przy całej mojej masie, wokół własnej osi, by zaprezentować Danielowi nową kreację.

- I jak wyglądam?

- Pięknie - odpowiedział, trochę nieobecny duchem.

- Powiedziałeś to z entuzjazmem człowieka uzależnionego od środków uspokajających.

- Nie, skądże, naprawdę wyglądasz pięknie. - Wysiłił się na uśmiech, który jednak nie był zbyt przekonujący. Jakieś skomplikowane procesy musiały właśnie zachodzić w jego głowie. Jedna część mnie kwitowała całość słowami: „To przecież nieistotne”, druga zatykała sobie uszy i śpiewała: „Lalallalaa... na pewno nic mu nie jest. A już z pewnością nie z powodu mojej niskiej wartości reprezentacyjnej. Nadal będziemy parą”. A trzecia, najmniejsza, pozostawała milczącym świadkiem tej demonstracji irracjonalnych wybiegów.

Daniel zniknął w łazience, zostałam zatem sama w hotelowym pokoju. Przeskakiwałam z programu na program i zatrzymawszy się na Pay - TV zachodziłam w głowę, kto wydaje dwadzieścia dwa euro na film porno pod tytułem Marzenie Carmen - flamenco na osiem batów.

Pośpiesznie wyłączyłam odbiornik i usiadłam na łóżku.

I tak siedząc samotnie, doznałam uczucia deja vu trzeciego stopnia: przed dwoma laty ostatnie chwile przed galą rozdania nagród też spędzałam samotnie w pokoju, w mojej nowej sukni i z wyrzutami sumienia względem Lilly.

Teraz również mnie naszły.

Właściwie cały czas gdzieś w środku je czułam, ale w ramionach Daniela z całą mocą spychałam skrupuły w otchłań podświadomości. Także względem Alexa miałam wyrzuty sumienia. Nawet wobec stukniętego Buddy! Przecież z pewnością nie pozwolił mi wrócić na ziemię w ludzkim ciele po to, bym marzyła o życiu z Danielem i o karierze telewizyjnej.

Podczas gdy pogrążałam się w podobnych myślach, z łazienki powrócił Daniel. Wyglądał wprost bosko. Na widok jego wspaniałej nagości natychmiast straciłam cały wcześniejszy niepokój względem Buddy.

Ale nie wobec Lilly i Alexa.

Podczas podróży limuzyną Daniel milczał, nerwowo skubiąc kołnierzyk koszuli. Najwyraźniej miał ogromne obawy przed publicznym wystąpieniem w moim towarzystwie - oraz przed szyderstwami i drwinami, które owo wystąpienie z pewnością wywoła.

Ja również się nie odzywałam - moje myśli zaprzętała Lilly,

Już nie potrafiłam wypierać jej z serca, tak bardzo za nią tęskniło.

O wiele bardziej niż za wygodą, karierą telewizyjną czy za burzą fleszy w towarzystwie mężczyzny, który wstydzi się mojej obecności.

Im bardziej zbliżaliśmy się do miejsca imprezy, tym wymowniejsze stawało się milczenie Daniela. Właściwie powinnam być na niego wściekła i wyobrażać go sobie podchodzącego do wielkiego kotła, u stóp którego czekam na niego z utęsknieniem.

I z wrzącym olejem.

Jedynym wszak uczuciem, które mnie obecnie ogarniało, był głęboki smutek. Z powodu mnie samej, mnie, która wołała wybrać

linię najmniejszego oporu i rozpocząć życie z Danielem, zamiast odważnie próbować sił w pojedynku z przeciwnościami stojącymi na drodze do mojej rodziny.

Limuzyna się zatrzymała. Za chwilę będziemy zmuszeni ją opuścić i tym samym zdać się na pastwę tysięcy fleszy. Daniel spojrział na mnie i spróbował się uśmiechnąć. Spróbował. Kąciki jego ust ledwo utrzymały się w jednej poziomej linii.

Ja nawet nie siliłam się na uśmiech.

- Nie chcą państwo wysiadać? - zapytał szofer. Daniel się wahał.

Ja również. Wiedziałam, iż stoję na rozstaju dróg; jeśli opuszczę teraz limuzynę wraz z Danielem, zostanę z nim. I tym samym opowiem się przeciwko Alexowi i Lilly.

- Nie chcesz? - zagadnął Daniel.

Cząstka mnie wołała: „Idź, poddaj się ukochanym błyskom!”. Kolejna wołała: „I przez resztę życia kochaj się z Danielem!”. A trzecia cząstka wypowiedziała cicho słowa, które sprawiły, iż dwie poprzednie zamilkły: „W ten sposób już nigdy nie będziemy szczęśliwe”.

- Nie - odpowiedziałam więc Danielowi. - Nie?

- Nie.

- Nadal słyszę tylko „nie”.

- Pewnie dlatego, że dokładnie to powiedziałam. Daniel zamilknął.

- Limuzyny z tyłu czekają - poganiał szofer. Faktycznie, za nami zdążyła się już utworzyć kolejka złożona z kilkunastu samochodów, wiozących wyłącznie prominentów, niczego tak bardzo nie spragnionych, jak dostania się w łapy prasy. W jednym z aut rozpoznałam pewną bardzo dobrze znaną telewizyjną damę, która wyciągnęła ku nam środkowy palec w wyjątkowo nieszlacheckim geście.

- Przed nami nie ma przyszłości - zwróciłam się z ciężkim sercem do Daniela.

Zabolało mnie, że nie zaprzeczył.

- Wsiądź - poprosiłam.

- I nie zobaczymy się już nigdy więcej ? Nic nie odpowiedziałam.

- Milczenie oznacza przytaknięcie - rzekł smutno i wysiadł.

Przeszedł przez tunel fotoreporterów, manifestując doskonałą formę. Przyglądałam się profesjonalnemu uśmiechowi, jaki kierował do wyczekujących obiektywów. Po czym poleciłam szoferowi:

- Proszę ruszać.

Rozdział 52

DOTARŁSZY W ŚRODKU NOCY DO MOJEJ MAŁEJ POCZDAMSKIEJ KLITKI, rzuciłam się sfrustrowana na łóżko. Jednak to nie był najlepszy pomysł. Łóżko nie wytrzymało mojego ciężaru.

Leżąc na zarwanym łóżku, wpatrywałam się w imponująco niekompetentnie wytapetowany przez poprzedników sufit i rozmyślałam nad sposobami zbliżenia się do mojej rodziny.

Z pewnością po raz drugi nie wydarzy się żaden spektakularny zbieg okoliczności, podobny do tego, który zaprowadził mnie w progi Daniela Kohna. Ja również nie byłabym szczególnie gorąco zainteresowana czyszczeniem prysznicą, pod którym przed chwilą Alex i Nina oddawali się cielesnym rozkoszom.

Czy nie istnieje żaden inny zawód? Przecież niedługo nadejdą wakacje, a Nina i Alex muszą pracować. Kto będzie się zatem zajmował Lilly?

- Babciu! - wołała Lilly. - Chodź wreszcie! - Lilly wyłoniła się z domu, ze sportową torbą w ręce. - Bo spóźnimy się na mecz!

- Starsza pani to nie intercity! - krzyknęła w odpowiedzi moja matka, dla której żadna metafora, nawet najbardziej trywialna nie wydawała się niestosowna, i z trudem wygrzebała się z domu. Ukryłam się za fiatem panda zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy - co przy objętości mojego ciała było nie lada wyzwaniem.

Ruszyły spacerkiem w kierunku przystanku autobusowego. Odprowadziłam je wzrokiem. A zatem Marta zajmowała się małą. Jak Alex i Nina mogli jej powierzyć dziecko? Równie dobrze mogliby ją od razu oddać pod opiekę Rasputina. (Może moja matka jest kolejnym wcieleniem Rasputina? To by przynajmniej tłumaczyło kwestię jej wzmożonej konsumpcji alkoholu).

Kiedy autobus nadjechał, wyłoniłam się z ukrycia. Nie mogłam przecież zostawić mojej córeczki na pastwę tej kobiety! Nie miałam daleko do przystanku, może dwieście pięćdziesiąt metrów. Ruszyłam biegiem przed siebie.

Sapałam, dyszałam, stękałam, omal nie wyzionęłam ducha - przede mną było jeszcze dwieście metrów.

Natychmiast zateśniłam za łapkami świnki morskiej, nogami beagle'a albo najlepiej za przeklętym kabrioletem Daniela Kohna.

Spociałam się, pot ze mnie kapał, byłam zaśliniona. Do pokonania zostało sto sześćdziesiąt metrów.

Potknęłam się, zatrzepotałam ramionami i przewróciłam się. Jeszcze tylko sto pięćdziesiąt osiem i trzy czwarte metra [Z Pamiętników Casanovy: Moszcząc się na drzewie, obserwowałam upadek pewnej otyłej kobiety, o której nie miałem najmniejszego pojęcia, iż jest kolejnym wcieleniem madame Kim. Nie przejąłem się jednak tym wydarzeniem zbyt, ponieważ z powodu straszliwych miłosnych mąk, jakie przeżywałem względem Niny, byłem na tym nikczemnym świecie jedynym kotem, który cierpiał jak zbity pies.].

Kierowca autobusu wysiadł z pojazdu i podbiegł do mnie.

- Potrzebuje pani pomocy?

Miałam zamiar odpowiedzieć: „Tak, proszę”, ale wycharczałam jedynie „chhhrrr”, co na szczęście zdradzało zamierzoną intencję. Kierowca stał zatem obok mnie.

- Pomogę pani wstać - powiedział.

Po chwili dodał: - Cholera, mój kręgosłup! Ponowne przywrócenie mnie do pozycji pionowej zajęło kierowcy dłuższą chwilę.

- Dobrze się pani czuje? - spytała Lilly, która również wysiadła z autobusu.

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Na jej widok zapomniałam o swoim nikłym dotąd oddechu, kłującym sercu oraz o własnym zapachu, który po nieudanym sprincie zyskał na intensywności.

Z uśmiechem na twarzy zanuciłam z całego serca:

- Paw z ogonem stubarwnym porwie pannę młodą w tany.

- Co też pani przychodzi do głowy, takie rzeczy przy dziecku wyśpiewywać - naskoczyła na mnie moja własna mama. Ona, która wcześniej nigdy nie raczyła mnie dziecięcymi piosenkami, za to o wiele za często przebojem Roda Stewarta Do you think I'm sexy.

Spojrzałam na nią beznamiętnie, kiedy ciągnęła Lilly z powrotem do autobusu.

Kierowca podążał za nimi, podtrzymywał swój bolący kręgosłup i złorzeczył:

- Taka nagroda spotyka człowieka za pomaganie innym.

Nie wiedział, że nagrodą za jego uczynek będzie zebrana dobra karma, która bezpiecznie oddała go od przymusowego dzieciństwa w mrowisku.

Powlokłam się za nimi i również wsiadłam do autobusu. Moja mama odciągnęła niestety Lilly ku siedzeniom maksymalnie oddalonym ode mnie. Staralam się jednak nie spuszczać córeczki z oczu. Nie miałam zamiaru przegapić ich docelowego przystanku. Obserwacje zaowocowały nie lada zdumieniem. Moja mama, umilając czas podróży, grała z Lilly w „papier, kamień, nożyce"! Czy to naprawdę była moja mama?

Ta, która niegdyś najwyżej pozwalała sobie na gry w rodzaju „w której ręce trzymam papierosa"? Wsiadły w pobliżu stadionu piłkarskiego. Śledziłam je, zachowując stosowny dystans. Kiedy dotarły do stadionu, Lilly została entuzjastycznie powitana przez pozostałe dzieci, z których większość stanowili chłopcy ze starszych klas - drużyny były najwyraźniej mieszane. Moja matka natomiast powitała zgromadzonych rodziców słowami:

- Dzisiaj nasze dzieci porządnie skopią przeciwnikom tyłki!

Drgnęłam. Byłam przekonana, że takie słowa będą uznane za nieprzyjemne. W istocie jednak w odpowiedzi usłyszałam odzywkę o podobnym zabarwieniu stylistycznym:

- A potem jeszcze prosto między nogi!

Atmosfera była najwyraźniej pokrępowo rubaszna. A moja mała, krucha córeczka w samym jej środku? Zrobiło mi się jej żal i byłam bliska płaczu. Ledwo jednak sędzia zagwizdał, moja córeczka przestała wydawać się taka delikatna. Przepychała się, walczyła, nie szczędziła sił - z małej dziewczynki przeistoczyła się w mieszaninę Pippi Pończoszanki oraz Zinedine'a Zidane'a (na szczęście wyglądała znacznie lepiej). Może hartem ducha i uporem próbowała rekompensować sobie stratę mamy? W każdym razie jej poczynania na boisku Marta energicznie podsyciała okrzykami w rodzaju: „Podetnij go!", „Załatw tego łapserdaka!" oraz: „To wszystko pedały!". Nic więc dziwnego, że Marta nie była ulubienicą rodziców pozostałych zawodników.

Nagle Lilly została sfaulowana, brutalnie, od tyłu. Przez chłopaka, który się przy tym beczelnie uśmiechał. Imbecyl kopnął moją córeczkę, a ja miałam ochotę trząść nim tak długo, aż wypadną mu wszystkie mleczaki! Zanim jednak zdążyłam zareagować, moja mama wrzasnęła:

- Co to ma być, palancie?!

- Chłopiec ma dopiero siedem lat. - Sędzia główny próbował załagodzić nieco sytuację.

- Jeśli nie będzie uważał, nie dożyje ośmiu! - zripostowała moja matka.

Sędzia szukał stosownej odpowiedzi, a przed Martą wyrósł trener drużyny przeciwnej. Umieśniony typ, z przeróżnymi tatuażami, które zdradzały kunszt pijanego Chińczyka, inkasującego 4,80 euro za sztukę.

- Zamknij się, stara! - zaatakował moją matkę.

- Odczep się, skończony idioto - odparła niewzruszona.

- Kto jest skończonym idiotą? - dopytywał trener, niebezpiecznie zbliżając się do Marty.

- Ty, ty bezmózga góro mięśni!

Byłam pod wrażeniem. Mojej mamie można wiele zarzucić - co z upodobaniem i zdecydowanym brakiem umiaru czyniłam w poprzednim życiu - ale była naprawdę odważna. Poradziłaby sobie z pewnością z Krrtx, naukowcem w laboratorium oraz kanadyjskim farmerem. I w tej chwili przyszła mi do głowy zaskakująca myśl: to po niej odziedziczyłam odwagę i męstwo. A więc nie wszystkie cechy, jakie mi przekazała w genach, były złe.

- Ciesz się, że tutaj jest mnóstwo dzieci, bo inaczej już byś ode mnie oberwała - pogroził wytatuowany typ i zniknął.

Reszta meczu przebiegła dość spokojnie. Dzieci z przeciwnej drużyny odczuwały taki respekt przed Martą, że liczbę fauli na mojej córce zredukowały do minimum. Ja jednak nie obserwowałam Lilly, lecz skupiłam się na dokładniejszej kontemplacji krewkiej damy. Wprawdzie jak zwykle była dość nieokrzesana, jednak jej twarz wydawała się zdrowsza. Czyżby odstawiła alkohol? A może Nina miała na nią aż tak dobry wpływ?

Kiedyś nabawię się porządnej migreny przez tę myśl o „zbawiennym wpływie Niny na cały świat”.

Kiedy mecz dobiegł końca, dzieci pobiegły do przebieralni, by zdjąć sportowe stroje, a ja podeszłam do czekającej na zewnątrz Marty.

- Czy to nie pani jechała tym samym autobusem? - zaciekawiła się.

- Tak, pracuję w Domu Sportowca - zełgałam i spytałam obłudnie: - Może zechce pani wznieść toast za zwycięstwo?

- Nie, nie piję.

- Ani kropelki? - zdumiałam się.

- Nie! - odpowiedziała z całą mocą, na co zamilkłam. Marta spojrzała mi w oczy i zdawała się nieco zdezorientowana. Najwyraźniej - podobnie jak Daniel Kohn - dojrzała w nich moją duszę. Odezwała się po krótkiej chwili.

- Niech mi pani powie, czy my się skądś nie znamy?

Nie miałam najmniejszej ochoty na kolejny wers weselnej przyśpiewki, pozostawiłam więc pytanie bez odpowiedzi i milczałam.

Marta złagodniała, a widok mojej duszy pozwolił się jej przede mną nieco otworzyć.

- Nie piję od dwóch lat.

„Dzięki Ninie” - przeszło mi przez myśl. Może lepiej byłoby jednak trzymać się z dala od mojej rodziny? Marta tymczasem mówiła dalej:

- Mój lekarz ostrzegł mnie, że jeśli nadal będę spożywała tyle alkoholu co dotychczas, wkrótce pożegnam się z tym światem. Nigdy nie zastanawiałam się nad śmiercią. Życie było już dla mnie wystarczająco nieznośne; żeby dostrzec jego ewentualne pozytywne strony, musiałam najpierw odpowiednio dużo wypić. Ale wtedy nagle zmarła moja córka. To mi uświadomiło, że człowiek naprawdę może umrzeć. A ja się okropnie boję śmierci.

Zatem moja śmierć na coś się zdała. A radykalna zmiana postępowania Marty nie miała nic wspólnego z Niną.

- No, w każdym razie teraz zajmuję się malutką mojej córki.

Marta próbowała naprawić wszystkie wyrządzone mi niegdyś krzywdy.

Ja natomiast starałam się naprawić wszystkie krzywdy wyrządzone wcześniej Lilly.

Najwyraźniej śmierć potrafi człowieka czasem nieźle ożywić.

Rozdział 53

WIECZOREM PONOWNIE LEŻAŁAM NA MOIM ZAPADNIĘTYM ŁÓŻKU. Byłam pod wrażeniem silnej woli mojej mamy. Cieszyło mnie zarazem, iż nie wszystkie pozytywne przemiany w rodzinie dokonują się dzięki Ninie. Poza tym jednak wciąż stałam w miejscu: jak mogłabym się zakraść do mojej rodziny? Rola opiekunki do dziecka byłaby wręcz idealna. W tym celu jednak musiałabym najpierw usunąć z pola bitwy moją matkę.

Jeszcze nad ranem moją głowę opanowywały wizje, z których żadna nie przyniosłaby mi ani szczypty dobrej karmy: na schodach podstawiam Marcie nogę lub namawiam rodziców dzieci z pozostałych drużyn, by pokazali jej, co oznacza prawdziwy piłkarski wślizg z nakładką.

A przecież tak naprawdę nie żywiłam już żadnych negatywnych uczuć do mojej mamy. Jej postępowanie mnie poruszyło (no dobrze, może z wyjątkiem wyzwisk rzucanych pod adresem dzieciaków na boisku). I po raz pierwszy miałam wrażenie, że coś jej zawdzięczam.

Muszę zatem znaleźć miły i bezinwazyjny sposób, by na jakiś czas wypadła z interesu.

- Babciu, jeśli stoisz na bramce, musisz się rzucać! Jak Olli Kahn!

- Ale ja nie jestem Olli Kahn. Nie potrafię tak przechwytywać piłek. Za to wyglądam o wiele lepiej! - marudziła moja mama, która zdawała się całkiem wycieńczona. Najwyraźniej tego dnia musiała bronić już wielu strzałów.

Podeszłam do naszego ogrodu.

- Dzień dobry - powiedziałam [Z Pamiętników Casanovy: Znów z drzewa ujrzałem tę korpulentną damę. I znów była mi całkowicie obojętna. Zbyt się trudziłem nadawaniem swoim miłosnym rozterkom poetyckiej formy. Liryki nazwałem: Cierpienie, Bezgraniczne cierpienie oraz Ja, Werter.].

- Co pani tu robi? - spytała ze zdumieniem moja matka.

- Wczoraj zobaczyłam, że pani tutaj mieszka. A chciałabym z panią porozmawiać. Na osobności.

Moja mama zwróciła się zatem do Lilly:

- Idź do domu i przynieś nam, proszę, coś do picia.

- Ale mnie się wcale nie chce pić!

- Nawet coca - coli?

- Cola? Super! - Lilly pognała na taras. Dzieci są niczym włoskie organy władzy; jeśli chce się u nich coś wskórać, trzeba je najpierw przekupić.

- O czym chciała pani porozmawiać? - spytała Marta podejrzliwie, kiedy Lilly oddaliła się na bezpieczną odległość.

- Pani tak wiele zrobiła w ostatnich latach - rzekłam.

- Jakoś nie zauważyłam - odparła Marta lakonicznie.

- Nie myślała pani o urlopie, żeby trochę odpocząć?

- Często. - Westchnęła. - Macocha tej malutkiej prowadzi nawet własne biuro podróży. Wie pani, dokąd bym chciała polecieć?

- Z pewnością zaraz się dowiem.

- Do Republiki Dominikańskiej.

- Co stoi na przeszkodzie, aby spełnić to marzenie?

- A kto zajmie się Lilly? Oboje rodzice pracują.

- Och, przykładowo ja byłabym zainteresowana. - Jak to, przecież pani pracuje w Domu Sportowca?

- Aaa... właśnie złożyłam wypowiedzenie - brnęłam w domowo - sportowe kłamstwo.

- Sama nie wiem - rzekła Marta. - Niechętnie zostawiam moją malutką.

- Ale to przecież tylko parę dni.

Marta wciąż nie była do końca przekonana.

- Podobno w Dominikanie są przepiękne plaże - podjudzałam.

- I przystojni mężczyźni - dodała z uśmiechem Marta.

- I przystojni mężczyźni - potwierdziłam, równie wesoło. Tak, w istocie uśmiechałyśmy się do siebie. Po raz pierwszy od... nie mam pojęcia, od kiedy.

Rozdział 54

NINA I ALEX BYLI MOCNO ZASKOCZENI PLANAMI URLOPOWYMI Marty, jednak nikt i nic nie było w stanie zmienić już podjętej decyzji. Uprzednio udało mi się ją podczas długiej rozmowy przekonać, że taki odpoczynek dobrze jej zrobi, czego naprawdę z całego serca jej życzyłam. Wiele przeszła w życiu, a teraz należała jej się sowita zapłata za nową drogę, jaką z wysiłkiem udało jej się obrać.

Naturalnie Nina i Alex zwlekali z zatrudnieniem jako opiekunki do dziecka mnie, czyli kobiety, która nie posiada żadnych referencji; początkowo odrzucili moją kandydaturę. Zamieścili natomiast w gazecie ogłoszenie, na które odpowiedzieli: niemówiąca po niemiecku kobieta wątpliwej narodowości, student dwudziestego siódmego semestru matematyki oraz kobieta, która w rubryce „poprzedni zawód” wpisała „tancerka rewiowa”.

I oto nagle okazało się, że ta tęga Maria jest całkiem niezłą kandydatką.

Przez następne cztery tygodnie miałam się opiekować Lilly. Zyskałam więc całe cztery tygodnie, by zrujnować małżeństwo Niny i Alexa. A wtedy, jak prognozowałam, zwiększy się moja szansa na ponowne odzyskanie rodziny. Dawno już odkryłam w sobie powrót uczucia do Alexa i ewentualna możliwość jego zakochania się we mnie, gdy tylko zniknie Nina, nie wydawała się już tak irracjonalna. Skoro taki mężczyzna jak Daniel Kohn mógł zapalać do mnie uczuciem...

Rujnowanie czyjegoś małżeństwa nie jest raczej powodem do zebrania dobrej karmy. Byłam świadoma faktu, że po śmierci, przy odrobinie szczęścia, wyląduję ponownie w klatce świnek morskich. Lub jako nosorożec w berlińskim zoo, w towarzystwie sześciu męskich nosorożców, z których każdy został wykastrowany. A jednak było mi to całkowicie obojętne. Przyszłe wcielenia nie zaprzętały obecnie moich myśli, liczyło się wyłącznie teraźniejsze życie. Moje i Lilly!

Stopniowy upadek małżeństwa dokonywał się czteroetapowo.

Etap pierwszy: obserwacja wroga

Najpierw zatroszczyłam się o odpowiednią integrację z codziennością panującą w domu Lilly, tak by jej rytm dnia stał się również moim rytmem. Obserwowałam przy tym z uwagą, jaka jest

jakość związku Alexa i Niny. Oraz jak wielka naprawdę jest ich miłość.

Widziałam, jak się całują przed wyjściem do pracy. Jak żartują, jakim tęsknym spojrzeniem on ją odprowadza.

Ten widok dodawał mi otuchy.

Dlaczego? Kiedy ja i Alex byliśmy świeżo po ślubie, nasze pocałunki na pożegnanie trwały nie krócej niż kwadrans, a nierzadko kończyły się pospiesznym zbliżeniem. Gdy żartowaliśmy, dopadały nas kilkuminutowe ataki głupawki, które również często kończyły się w łóżku. A kiedy wychodziłam z domu, rzucał mi tęskne spojrzenie, zatrzymywał i... właśnie - oddawaliśmy się miłosnym igraszkom.

W związku Niny i Alexa nie było dalszego ciągu pożegnalnego całusa; gdy się śmiali, czynili to stosownie krótko i także nie kontynuowali napadu radości w sypialni. A tęskne spojrzenia posyłane wychodzącej Ninie kończyły się wraz z zamknięciem drzwi, również zupełnie wolnym od cielesnych rozkoszy.

Ich uczucie nie było tak silne jak nasze. Z łatwością będę mogła je zniszczyć. Udało mi się przecież pogrzebać nawet moje własne.

Wspomniane obserwacje czyniłam najczęściej, bawiąc się z Lilly.

- Czy umiesz kopać piłkę? - Tak brzmiało jedno z pierwszych pytań, jakie zadała mi Lilly.

- Nie umiem, ale za to świetnie nadaję się na bramkę.

Doprawdy niełatwo wstrzelić się pomiędzy słupki a kogoś o moich wymiarach. Lilly nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zabrałyśmy się więc do gry. Lilly ze wszystkich sił kopała piłkę, a ja przechwytywałam ją, równie zaangażowana. Jako Kim Lange nigdy nie bawiłam się tak świetnie z własną córką, ponieważ nieustannie goniły mnie kolejne terminy. Dopiero teraz, jako Maria, mogłam beztrudnie spędzać z Lilly czas, nie zaprzatając sobie przy tym głowy pracą. (Kogo zaproszę do następnego programu? Jaki temat wybiorę? Na kogo zepchnę winę, jeśli oglądalność nie będzie wysoka?).

Ociekałam wprost potem, ale w niczym mi to nie przeszkadzało. Nawet moje serce czuło się wspaniale. Gra w piłkę z uśmiechniętą Lilly sprawiła, że mój organizm wytwarzał ogromną ilość endorfin, która najwyraźniej działała efektywniej niż wszystkie nasercowe lekarstwa. Lilly także zdawała się naprawdę świetnie bawić.

- Jesteś o wiele fajniejsza niż ta głupia Nina - rzekła moja córka, gdy urządziłyśmy sobie zawody z użyciem naleśników z nutellą.

- Nie lubisz Niny? - dopytywałam się zaskoczona.

Najwyraźniej Nina nie wywierała na mnie tak dobrego wrażenia, jak mi się wcześniej wydawało.

- Nina jest głupia! - powtórzyła Lilly z markotną miną, wtórując tym samym głosowi mego serca, przy czym ono chętnie dodałoby od siebie jeszcze kilka dodatkowych przymiotników. - Nina jest prawdziwą durną krową. - Oj, jak trafnie moja córka potrafi dobierać słowa. Uśmiechnęłam się tak szeroko, że świeżo spałaszowanym kawałkom naleśnika groziło samobójcze opuszczenie moich ust. - To wcale nie jest zabawne - powiedziała smutno Lilly. - Ona naprawdę mnie nie kocha.

Uśmiech znikł mi z twarzy, a ja, zawstydzona, musiałam przyznać przed sobą, że istotą sprawy nie była Nina i jej ewentualne podobieństwo do wspomnianej durnej krowy, lecz moja mała córka i jej uczucia.

Wzięłam Lilly w ramiona, przytuliłam mocno do mojego ociekającego potem ciała zawodnika sumo i postanowiłam przejść do etapu drugiego.

Etap drugi: wzbudzanie zazdrości

W celu wzbudzenia zazdrości musiałam wcześniej werbalnie przygotować grunt.

- Lilly opowiadała, że jej mama nie żyje - wspomniałam mimochodem, pomagając Ninie przy rozwieszaniu prania w ogrodzie.

- Tak.

- To musiało być bardzo trudne. Szczególnie dla jej męża.

- Bardzo długo trwało, zanim się przede mną otworzył.

- Hmm... - dodałam znacząco, a kryjący się za niewinnym westchnięciem podtekst z łatwością dawał się wyczuć.

- Co ma pani na myśli? - spytała Nina, połknąwszy haczyk.

- Och, nic, nic - odpowiedziałam.

- Niechże pani powie. - Jak większość ludzi, Nina również nie miała zamiaru pogodzić się z przemilczanymi opiniami na swój temat.

- Czy... nie ma pani wrażenia, że jest pani tylko przejściowym pocieszeniem? - zaatakowałam bezpośrednim pytaniem.

- Nie, nie mam! - odparowała gniewnie.

- Moja siostra wyszła za pewnego wdowca - łgałam. - A kiedy ukoła jego duchowe troski, odszedł do innej i...

- Nie interesuje mnie pani siostra - odparła Nina tonem, który jednoznacznie ostrzegwał: „Jeszcze jedno słowo na ten temat, a uduszę panią linką do rozwieszania prania!”.

Zamilkłam zatem; przez następnych dziesięć minut w ciszy zajmowałyśmy się wieszaniem ubrań. Aż nadszedł odpowiedni moment, by z mokrej kurtki Alexa wyciągnąć opakowanie prezerwatyw, które wcześniej potajemnie sama w niej schowałam.

- Och, chyba się wyprało z kurtką - zauważyłam niewinnie.

- Alex... nie używa kondomów - wyjąkała Nina.

- To nie jest jego kurtka? - spytałam jeszcze bardziej niewinnie. Nina walczyła z myślami.

- To z pewnością da się wyjaśnić - rzekłam pomocnie. Byłam świadoma tego, że jedna paczka prezerwatyw nie wzbudzi w niej dostatecznego podejrzenia o zdradę Alexa. Do tego potrzeba było jeszcze masy innych dodatkowych poszlak, które naturalnie nie mogły się bezpośrednio łączyć z moją osobą ze względu na niepotrzebne skojarzenia. Potrzebowałam więc współsprawcy. Na przykład pewnego kota.

- Hej, Casanova! - zawołałam, gdy po długich poszukiwaniach znalazłam nareszcie znajomego kocura na jednym z drzew. Wylegiwał się na gałęzi i zdawał się tkwić w ciężkiej depresji..[Z Pamiętników Casanovy: W tamtej chwili przeklinałem właśnie daremność samobójcze) śmierci z powodu miłosnego zawodu. Niestety, narodziłbym się przecież ponownie.]

- To ja, Kim!

Casanova, przebudziwszy się z letargu, miauknął radośnie na mój widok [Z Pamiętników Casanovy: Widok madame Kim w nowym ciele wywołał następującą refleksję - nawet samemu Rubensowi jej kształty zdałyby się nadmiernie rubensowskie.]

- Jako człowiek nie potrafię odszyfrować sensu mowy, szczeknięć czy miauknięć innych ludzi, odrodzonych w zwierzęcym ciele. Ale ty... ty z pewnością mnie rozumiesz - rzekłam do niego. - Mam plan, słuchaj więc uważnie.

Zmotywowanie Casanovy nie było trudne. Wciąż darzył Ninę płomiennym uczuciem. A zatem mój plan zniszczenia jej małżeństwa najwyraźniej nadał nowy sens jego dotychczas beznadziejnemu kociemu życiu. Wspiął się, jak mu poleciłam, na płot okalający naszą posiadłość. Kiedy Alex wracał do domu, Casanova wskoczył prosto

na jego ramiona, mimo iż poszkodowany próbował się wyrwać i krzyczeć, oprawca nie odpuścił i wgryzł się w szyję ofiary. W efekcie Alex zyskał w ten sposób cudowną „malinkę” [Z Pamiętników Casanovy: Ponieważ nigdy nie byłem zwolennikiem kontaktów homoseksualnych, przez następną godzinę płukałem usta wodą z kałuży.]

Nina była wstrząśnięta widokiem kolejnego dowodu domniemanej zdrady.

- Skąd to masz? - spytała Nina, nie podejrzewając, że podsłuchuję ich rozmowę.

- Prezent od tego wściekłego kocura, który niegdyś poszarpał twoją suknię ślubną. Ta bestia po prostu na mnie skoczyła i zaatakowała.

- Aha.

- Nie wierzysz mi? Nina bardzo chciała dać wiarę jego zapewnieniom, ale widać było, że sytuacja nieco ją przerastała. Z całą pewnością z powodu odkrytych dzisiaj kondomów, o których jednak ani słowem nie wspomniała. Alex spojrzał na nią czule.

- Przecież cię kocham - rzekł. - I tylko ciebie.

Auuu, ukłuło. Istnieją cudowne zdania, które mają prawo być kierowane wyłącznie do nas samych. W przypadku innego adresata stają się całkowicie nieznośne i wręcz obrzydliwe.

Nina po krótkiej chwili skinęła głową pojednawczo, Alex zaś posłał jej jeszcze jeden promienny uśmiech, po czym opuścił kuchnię i udał się do łazienki, by zmyć z siebie smar i koci zapach. Minał mnie przy tym bez słowa.

Wśliznęłam się ostrożnie do kuchni, nakrywszy Ninę na chwili słabości.

- On kocha inną - wyrzuciła z siebie, walcząc z napływającymi łzami.

Zszokowało mnie to nagłe wyznanie. Alex kocha inną? Czyżbym nie musiała szukać żadnych sfingowanych dowodów? Co się tu działo? Czyżbym miała konkurentkę? Klientkę jego sklepu? Być może jakąś kolarkę? Która w celu polepszenia łóżkowych rekordów używa środków dopingowych?

- A mianowicie kogo? - spytałam, równie podekscytowana, jak zirytowana.

Ninę najwyraźniej zaskoczyło moje bezpardonowe pytanie ponieważ nie wiedziała, jak na nie zareagować.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale gdyby jednak potrzebowała pani życzliwego ramienia, aby się wypłakać... - zaoferowałam się obłudnie.

Zawahała się przez moment. Po czym wyznała:

- On kocha swoją zmarłą żonę.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęłam. Nina posłała mi wzburzone spojrzenie.

- Ehm... miałam na myśli, oczywiście, że bardzo mi przykro.

- Zawsze bardziej ją kochał niż mnie, nawet teraz to się zmieniło.

Zakamuflowanie promiennego uśmiechu było nie lada wyzwaniem.

- A przy tym ona była głupią, egoistyczną krową.

Powstrzymanie się od rękoczynów było również niełatwe.

- Nawet nie doceniała piękna życia rodzinnego, jakie jej ofiarował los.

Doprawdy, trudno mi było nie pokiwać smutno głową, słysząc te słowa.

- A teraz muszę żyć w jej cieniu - szlochała Nina.

Nie mogłam się wręcz opanować, by jej pocieszająco nie przytulić.

Etap trzeci: cisza przed burzą

W następnych tygodniach przystopowałam nieco realizację misji zniszczenia związku Niny, ograniczając się wyłącznie do sabotowania ich małżeńskiego pożycia. Tak zmanipulowałam jej program obliczający dni płodne, że obecnie zaznaczał kolorem czerwonym większą liczbę dni, niż potrzebowała natura.

Mimo to ogarniało mnie coraz częściej uczucie, o które bym się nigdy w życiu nie podejrzewała - empatii wobec Niny.

Właśnie teraz, kiedy po raz pierwszy od lat nareszcie zbliżyłam się tak bardzo do mojej rodziny, dostrzegłam trud życia Niny na pozycji żony wdowca. Starła się wszystkim dogadzać, Alex natomiast starał się nie okazywać swojej tęsknoty za mną. A jednak Nina była jej w pełni świadoma. Podobnie jak Lilly. I kiedy nikt się Ninie poza mną nie przyglądał, widać było w jej oczach głęboki smutek z powodu nieokreślonej, napiętej sytuacji.

W tym czasie kocur Casanova nachodził mnie w ogrodzie i miauczał ze wszystkich sił. Rozsierdzał go brak aktywności z mojej strony. Jediną osobą, która obecnie naprawdę świetnie się czuła, była... moja matka. Przysłała mi bowiem z Dominikany pocztówkę następującej treści:

Droga Mario,

tutaj jest cudownie. Poznałam pewnego miłego kawalera! Nazywa się Julio! Jest o głowę niższy ode mnie. Początkowo mówiłam: „Mały mężczyzna, niewielkie wyposażenie”. A jednak posiada on niesamowite przyrodzenie, którym mógłby zatrzeć całym Tokio. I znakomicie opanował jego obsługę. Nigdy nie czułam takiego przyjemnego stanu upojenia, nie konsumując ani kropli alkoholu. Przedłużę jeszcze nieco mój pobyt tutaj.

Dziękuję Ci z całego serca,

Twoja Marta

Alex, przeczytawszy tę kartkę, zaprowadził mnie do kuchni i rzekł poufnie:

- Wszystko wskazuje na to, że będziemy pani potrzebowali na dłużej.

Chciałam coś odpowiedzieć, lecz nie zdołałam wydusić ani słowa. Stojąc tak blisko niego, czułam jego wspaniały, obezwładniający zapach. Nawet dla ludzkiego, ograniczonego zmysłu węchu był cudowny.

- Coś się stało? - spytał.

Tak, najchętniej rzuciłabym się na ciebie tak ochoczo, że stracił - byś oddech. Pod moim ciężarem.

- Nie, nie - odparłam, a on po raz pierwszy od początku mojego obecnego pobytu w jego domu spojrzął mi prosto w oczy.

- My się znamy - stwierdził zdumiony.

Nie zapytał: „Czy my się przypadkiem już kiedyś nie spotkaliśmy?”, jak Daniel Kohn lub moja matka, którzy dostrzegli zarys mojej duszy. Nie, on stwierdził jednoznacznie: „My się znamy”. Był tego całkowicie pewien. Zdawał się więc wyczuwać moją duszę o wiele intensywniej niż inni!

Naturalnie, nie potrafił dokładnie określić tego stanu. Ale wiedział, że wszystkie uczucia, które niegdyś do mnie żywił, znów zapłonęły pełnym ogniem.

Moje zamrożone namiętności również ożyły pod wpływem tego spotkania spojrzeń i dusz, z tą różnicą, że ja byłam świadoma ich przyczyny.

Alex zaczął drzeć na całym ciele.

Ja zaczęłam drzeć na krótko przed nim.

Zaiskrzyło między nami.

W tej sytuacji wszystko mogło się wydarzyć.

Lecz nagle z góry dobiegł nas okrzyk Niny:

- Cholera, znów czerwone! I czar przysł.

Etap czwarty: całkowita zmiana planu

Malinka, szmuglowanie kondomów, manipulacja „kalendarzykiem” - to wszystko były tylko dziecinne zagrywki. Uświadomiłam to sobie dzięki reakcji Alexa na rozpoznanie we mnie Kim. Musiałam więc zabrać się do dzieła. Lub - dokładniej mówiąc - sprawić, by Alex ostro ruszył z kopyta. Prosto w moim kierunku. Bez objazdów.

Bez migania się.

Powinnam zatem ponownie zaaranżować sytuację, w której wszystko może się wydarzyć. Ale jak?

Podczas gry w piłkę z Lilly rozważałam tę kwestię w myślach. Tak intensywnie, że nie zwracałam uwagi na strzały małej. I dostałam piłką z całej siły prosto w twarz.

- Auaaa! - krzyknęłam.

- Twój nos krwawi, Mario - stwierdziła poruszona Lilly.

- Nif fię nie ftało - sepleniałam, gdyż ból stawał się naprawdę nieznośny. Czyżby złamał mi się nos od uderzenia?

- Pozwoli pani, że zatamuję krwotok? - spytał Alex, który wszedł właśnie do ogrodu.

- F pfyjemnofcią - wymamrotałam; nos piekielnie mnie bolał.

- Tak mi przykro - rzekła Lilly z poczuciem winy.

- To ja niedoftatecznie uważałam - zapewniłam. - To nie jeft twoja fina. - Wysiliłam się na uśmiech. Co spowodowało jeszcze dotkliwszy ból. Mimo to trwałam w uśmiechu. Lilly nie powinna mieć wyrzutów sumienia. Pogłaskałam ją po głowie, co zdało się małą nieco uspokoić. Poszłam z Alexem do domu, podczas gdy Lilly wróciła do kopania piłki, tym razem o ścianę szopy.

- Pani jest taka dobra dla Lilly - powiedział Alex z wdzięcznością.

- A ona jeft wffpaniałym dzieckiem - odparłam.

W kuchni Alex szarmancko zaproponował mi miejsce na krześle, a ja pomimo niewiarygodnego bólu postanowiłam wykorzystać nadarzącą się sytuację.

- Pana foną była Kim Lange, nieprawdaff? - spytałam więc.

- Tak - przytaknął, wyjmując kawałki lodu z lodówki.

- To musiało być nieffykłe uczucie, być mężem tak fławnej niewiafty.

- Raczej męczące. - Przyłożył mi okład do nosa, ból nieco zelżał.

- F pewnofcią nie miała fbyt wiele czafu dla rodziny?

- Niech pani odchyli głowę do tyłu. - Najwyraźniej Alex nie miał ochoty drażyć tematu.

- Jeftem pfekonana, fe Kim Lange inaczej ułofyłaby teraf ffoje fycie. Chciałam, żeby to wiedział.

- A skąd ta pewność? - spytał ostro Alex.

- W fyciu pozagrobowym doftrzega fię to, co było wafne f fyciu przed fmiercią.

- Pani, jak widzę, interesuje się spirytystyką - ironizował Alex,

Nic nie odpowiedziałam. Nie odnosiłam się przecież do ważkich hipotez spirytystycznych, tylko do własnych, ciężkich doświadczeń.

- Dla Niny rodzina jest najważniejsza - rzekł Alex z tłumioną złością. - Pod tym względem dobrze trafiłem. Przynajmniej nie muszę się zastanawiać, do jakich wniosków doszłaby moja żona w życiu pozagrobowym, w które notabene nie wierzę.

I tyle, koniec. Najwidoczniej nie miał ochoty o tym rozmawiać. Ale ja owszem.

- Tęfkni pan fa nią? - drażyłam.

- Tęfkni pan fa nią? - powtórzył Alex. Nie zrozumiał mnie! Ten cholerny nos!

- Tęfkni pan fa nią?

- Tęfkni?

- Tęfkni!

- Tętni?

- TĘFKNI! PFIAKREF!

Alex zadrżał.

- Pfeprafam - powiedziałam cicho.

- Czy za nią tęsknię? - spytał skołowany. Przytaknęłam. Po krótkiej chwili wahania również pokiwał głową.

- Każdego dnia marzę, by była przy mnie.

Po raz pierwszy dostrzegłam jego głęboki smutek. Na który, niestety, nie mogłam zareagować donośnym krzykiem: „To ja!

Żyję!”.

Ale...

...mogłam go pocałować.

Zbliżyłam się do niego. Moimi wielkimi, tłustymi wargami.

Sprawiał wrażenie kompletnie dezorientowanego.

I znów spojrzał mi w oczy.

Moje usta dotknęły jego ust.

Które ten pocałunek odwzajemniły. Umysł Alexa najwyraźniej wzięło urlop. Kierowało nim wyłącznie serce.

To był najintensywniejszy pocałunek, jaki przeżyłam we wszystkich moich dotychczasowych życiach. Czułam dreszcze na plecach, serce wyskakiwało wręcz z piersi, całe ciało było niczym rażone prądem... wspaniałe doznanie!

Szkoda tylko, że w tym momencie do kuchni weszła Nina.

Etap piąty (Tak, tak, wiem, wcześniej również myślałam, że nastąpią tylko cztery): nawarzone piwo zaczyna fermentować!

Nina nie mogła objąć rozumem tego widoku - Alex ją zdradził. Z kobietą, która waży trzy razy więcej niż ona.

- Alex - wyjąkała bezradnie Nina.

Alex odskoczył od moich wydatnych ust („wydatne” jest eufemistycznym określeniem).

- Co ty wyprawiasz? - Umysł Niny najwyraźniej nie radził sobie z przetworzeniem powyższych danych wejściowych.

Umysł Alexa miał podobne kłopoty. - Ja... ja nie mam pojęcia.

- Czy malinka też jest jej dziełem?

- Nie... kocura... przecież ci mówiłem.

- I pewnie kondomy również podrzucił ci kot? - stwierdziła Nina głęboko zraniona, wyciągając wypraną paczkę prezerwatyw z szuflady. - Znalazłam je w twojej kurtce!

- Ale... ja ich nigdy nie widziałem - jąkał się Alex.

Nina, posławszy mu pełne podejrzeń spojrzenie, opuściła pokój. Nie popadła wprawdzie w histerię, lecz niewiele brakowało.

- Nina! - wołał Alex za nią.

- Zoftaw ją - poprosiłam. Chciałam, żeby został przy mnie. Tak bardzo chciałam!

Alex jednak spojrzał na mnie z wyrzutem, jak gdybym rzuciła na niego urok.

- Pani to wszystko ukartowała. Z kocurem i kondomami... Nie potrafiłam przekonująco odrzucić tych oskarżeń.

- Co za chore gierki pani tu właściwie prowadzi?

Niestety, nie mogłam mu wyjawić prawdy. Przeklęty Budda!

- Pani jest stuknięta - Alex niemalże przeklął mnie z wściekłości i pobiegł za Niną.

Wszystko zatem nawet w połowie nie potoczyło się zgodnie z wymarzoną wcześniej planem.

W nocy wierciłam się bezsenność na łóżku. Dzisiejszy pocałunek pozwolił mi upewnić się w moich uczuciach do Alexa. Pieszczota ust Daniela Kohna była wprawdzie podniecająca, ekscytująca, stanowiła realną przygodę, ale pocałunek Alexa... był odzwierciedleniem prawdziwej miłości.

Nareszcie zdołałam uporządkować własne emocje!

Tym bardziej więc szkoda, że Alex mnie obecnie wysyłał do diabłów i przeklinał. Zostałam bez pracy, pieniędzy i bez możliwości codziennych spotkań z Lilly.

Następnego ranka znów udałam się w kierunku naszego domu. Bez żadnego planu wprawdzie, ale uzbrojona w nadzieję, że Alex dzisiaj pojawi się w nieco łagodniejszym nastroju. Nie było go jednak w domu. Ani Lilly. Ani tym bardziej Niny. Drzwi były zamknięte. Okna również. Co się stało?

- Casanova! - zawołałam na kocura, który na te słowa zeskoczył pobliskiego drzewa.

- Gdzie się wszyscy podziali? - spytałam nerwowo. Przynajmniej mój nos na tyle się zagoił, że mogłam w miarę wyraźnie werbalizować myśli.

- Miau, miaaaa, miauuu - odpowiedział signore. Nie była to pomocna wskazówka.

- Miauuu, miauuu, miaaa - Casanova kontynuował miauczenie, skacząc przy tym jak oszalały.

Ta wewnątrzgatunkowa komunikacja doprowadzała mnie niemal do szaleństwa.

Signore zastanawiał się, chodząc w tę i z powrotem, aż naszła go pewna koncepcja. Zaczął mianowicie intensywnie grzebać w ziemi.

- Chcesz coś wykopać?

W odpowiedzi skarcił mnie wzrokiem i jał dalej kopać[Z Pamiętników Casanovy: Dopiero w zwierzęcej postaci uświadomiłem sobie, jak niedomyślni są ludzie.]. Ostatni raz oddawał się podobnej czynności, będąc mrówką, kiedy...

- Chcesz zwiać? - dociekałam zaintrygowana. Poirytowany przewrócił kocimi oczyma.

- Dobrze, dobrze, to bezsensowna sugestia. Ale wtedy przekopałeś się przez ścianę, uciekając z mrówczego lochu, a gdy byłeś człowiekiem, wydostałeś się w ten sposób z ołowianej celi Pałacu Dożów...

- Miauuuuu! - Kocur naprężył ogon, patrząc na mnie wyczekująco.

- Ołowiana cela? Co z nią?

Patrzył na mnie poirytowany. Wtem nagle zabłyśło światełko już wiedziałam, dokąd udała się moja rodzina!

Rozdział 55

- WENECJA? - DANIEL KOHN PRZYGLĄDAŁ MI SIĘ Z NIEDOWIERZANIEM, kiedy stanęłam w jego progu z mruczącym Casanovą na ramieniu. - Najpierw dajesz mi kosza, a potem wracasz, by prosić mnie o pożyczkę na wycieczkę do Wenecji?

- Ekhm... trafnie to ująłeś - odparłam z możliwie uprzejmym uśmiechem.

- I dlaczego mam się zgodzić?

- Ponieważ chodzi o moje życie.

- Chyba słusznie zakładam, że nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego chodzi o twoje życie?

- Zgadza się.

Danielowi nie podobało się to wprawdzie, ale nie miałam zamiaru opowiadać mu, że już prawie zdołałam uwieść mężczyznę, który teraz jednak wyjechał na spontaniczny pojednawczy urlop z Niną, zabierając ze sobą Lilly. Początkowo nieco zdumiał mnie fakt, że wybrali właśnie to miasto, po chwili jednak uświadomiłam sobie, iż tam niegdyś nie tylko ja, lecz także Nina zakochałyśmy się w Alexie.

- Proszę - powiedziałam z lekką nutą żebaczą.

- Nie dostaniesz tych pieniędzy - odparł Daniel. Przełknęłam ślinę.

- Dobrze, wybac mi zatem... - Chciałam odejść.

- Ale chętnie cię tam zawiozę.

Natychmiast ponownie odwróciłam się w jego stronę. Na twarzy Daniela błąkał się niewinny uśmiech. Wyraźnie miał zamiar dowiedzieć się prawdy, a wspólna podróż do miejsca akcji była, być może, jedynym środkiem do celu.

Musiałam rozważyć tę propozycję. Jeśli na nią przystanę, moja i tak niełatwa obecnie sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej, jeśli jednak pozwolę Alexowi i Ninie rozkoszować się wspólnym wyjazdem, prawdopodobnie doprowadzi to do ponownego odbudowania i umocnienia ich związku oraz ostatecznego wyrzucenia z ich życia otyłej opiekunki Marii.

Casanova ostentacyjnie wbijał pazury w moje ramiona. Dla niego ta kwestia była przesądzona. Dla mnie również:

- Jedziemy!

Porsche Daniela mknęło z zawrotną prędkością przez czeluści nocy, wprost do Włoch. Casanovę początkowo niepokoiło tempo,

później mu imponowało, a ostatecznie ukołysało do snu między moimi nogami. Gdy sunęliśmy przez Alpy, zastanawiałam się, kiedy Daniel zacznie się dopytywać o sens tej podróży. Lecz on nie pytał. Rozmawiał natomiast przez telefon z młodymi niewiastami, które były głęboko rozczarowane odwołaniem wspólnego spotkania ze względu na „nieprzewidzianą konferencję” Daniela. Po trzeciej rozmowie stwierdziłam z irytacją:

- Całkiem szybko się pocieszyłeś.

- Przeszkadza ci to?

- Nie - odparłam, dotknięta tym faktem do żywego.

- A jednak.

- Nie, nie przeszkadza - ucięłam ze złością, że ma rację. Uraził moją dumę.

- Zaprzecza ten, kto ma coś do ukrycia. - Na twarzy Daniela malował się bezczelnie zalotny uśmiech

- Zdecydowanie nie mam nic do ukrycia.

- Znów zaprzeczasz.

- Wcale nie.

- I kolejne zaprzeczenie.

- Wpędzisz mnie w obłąd.

- Wiem. - Daniel uśmiechnął się jeszcze szerzej i przyśpieszył, mimo iż wspinaliśmy się właśnie po górskich serpentynach. Dwieście dwadzieścia na godzinę. Zaparło mi dech. Puls przyśpieszył. Moje serce krzychało: „Potrzebuję tabletki! Natychmiast!”. Otworzyłam więc opakowanie, zażyłam kapsułkę, rejestrując z przerażeniem, że została mi już tylko jedna.

- Czy mam zwolnić? - spytał Daniel współczującym tonem.

- Nie - odparłam po krótkiej chwili zastanowienia. - Chcę się znaleźć w Wenecji najszybciej, jak to możliwe.

Na te słowa Daniel wcisnął pedał gazu.

Ostatnie kilometry dzielące nas od miasta gondolierów przemierzyliśmy naturalnie nie autem, lecz wodną taksówką. Mknąć przez morze do tak wspaniałego miasta, z fantastycznie wyglądającym mężczyzną jak Daniel u boku, czuć na ramionach powiew morskiej bryzy i wdychać powietrze szepczące: „Zrób sobie urlop!” - było to dla mnie iście niesamowite przeżycie. Casanova natomiast, poruszony do głębi tą scenerią, ronił prawdziwe łzy długoletniej tęsknoty.[Z Pamiętników Casanovy: Po przeszło dwóch stuleciach powróciłem do

rodzinnego miasta. W tym momencie nie przeczuwałem jeszcze, że w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin ktoś z naszego zacnego, podróżującego grona odejdzie.]

Rozdział 56

DANIEL ZAREZERWOWAŁ DLA NAS MIEJSCA W MAŁYM, UROCZYM, luksusowym hotelu, mieszczącym się w niewielkim starym dworze [* Z Pamiętników Casanovy: Jako młodzieniec często odwiedzałem ów dworek. Straciłem w % nim wiele cennych rzeczy: wartościowy pierścień, ręcznie rzeźbioną fajkę, niewinność.]..., oddalonym od placu świętego Marka jedynie o dziesięć minut. W przytulnym hotelowym holu wisiały przepiękne obrazy z epoki, przedstawiające renesansowych szlachciców w próżnych pozach, w rogu natomiast stał mały stół z dwoma fantastycznymi krzesłami, liczącymi ponad trzysta lat, na których nie miałam odwagi usiąść, gdyż nie posiadałam ubezpieczenia od wyrządzonych szkód.

Kiedy podeszliśmy do recepcji, nie wierzyłam informacji, którą usłyszałam:

- Co to znaczy, że dostaniemy małżeński apartament? - spytałam.
 - Nie było już wolnych pokojów jednoosobowych. - Daniel starał się z uśmiechem ukryć niewątpliwy zamiar przespania się ze mną.
 - W takim razie jedźmy do innego hotelu.
 - Mnie się tutaj podoba.
 - No to ja idę do innego.
 - A masz pieniądze? - spytał Daniel, wyraźnie rozbawiony.
- Przewróciłam oczyma.

- W takim razie, żeby wszystko było jasne: masz trzymać się ode mnie z daleka.

- Jeśli tylko będziesz tego naprawdę chciała - jego odpowiedź uzupełniał beczelny uśmiech. Ten facet był naprawdę pewny siebie, ja natomiast uświadomiłam sobie moją decyzję za długą abstynencją seksualną. Wspominałam jednocześnie naszą ostatnią wspólną noc, która była podniecającą, ekscytującą, prawdziwą przygodą...

W tym momencie na grubym przedramieniu poczułam pazury Casanovy, który, najwyraźniej dojrawszy czającą się w moich oczach chętkę, postanowił skierować moją uwagę na najistotniejszą dla mnie kwestię.

- Najpierw muszę kogoś poszukać - rzekłam i zostawiłam osłupiałego Daniela w liczonym towarzystwie bagaży.

Z Casanową na ramieniu zatrzymałam się przed hotelem. Nie miałam pojęcia, jak w tłumie turystów odnaleźć Alexa lub Lilly.

Godzinami w upale przemierzałam uliczki i mosty Wenecji, na próżno ich wypatrując. Pot kapał mi z czoła, popychałam i taranowałam przy okazji turystów - przekłete mosty były naprawdę wąskie. Potrąceni nie uważali tego za zabawne, zmuszona byłam więc wysłuchiwać uwag w rodzaju „tłusta krowa”, kierowanych pod moich adresem we wszelkich znanych mi językach. Ostatecznie poddałam się, ale przez to nie miałam szans na odnalezienie rodziny!

Powróciłam do hotelu zasapana i zbyt zmęczona, by cokolwiek przedsięwziąć. Casanova jednak kontynuował poszukiwania swojej wielkiej miłości, Niny. Daniel przywitał mnie przyjaźnie.

- I jak, udało ci się? Posłałam mu jedynie spojrzenie.

- To chyba znaczy, że nie - domyślił się.

Poszłam pod prysznic. Po upływie dwóch godzin wyłoniłam się wykąpana i narzuciłam na siebie ogromny szlafrok, marząc jedynie o łóżku. Na nim jednak leżał już Daniel.

- Płacę za pokój, więc nie mam zamiaru spać na podłodze. - Uśmiechnął się.

- Chcesz seksu - stwierdziłam.

- Ależ co ty sugerujesz...

Czułam się wycieńczona, tęskniłam za moją rodziną i nie miałam najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek igraszki. Rzuciłam się na łożo, mówiąc:

- Chcę spać.

Daniel w odpowiedzi jął masować mój kark.

- Przestań! - zażądałam.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Zgoda, miał rację - odrobina masażu jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

A czynił to tak zręcznie, tak dobrze.

Z zewnątrz, znad kanału, dobiegały dźwięki Volare, którą śpiewali gondolierzy. W normalnych okolicznościach ich działające na nerwy trele byłyby mnie z pewnością zirytowały, jednak Daniel, wtórując im, obsypywał mój kark pocałunkami. Odrobina pocałunków nie daje zazwyczaj negatywnych skutków czyż nie?

Daniel dyskretnie próbował rozchylić górną część mojego szlafroka, by zyskać swobodny dostęp do pleców, które zamierzał masować. Toczyłam ze sobą wewnętrzną walkę. Nie trzeba być

Nostradamusem, by przewidzieć, czym się to miłosne preludium zakończy. Czy powinnam się na nie godzić?

Odrobina seksu i namiętności chyba nie pociąga za sobą szczególnych konsekwencji...? Naturalnie pociąga całą ich masę, jeśli chce się odzyskać rodzinę, ale jest przecież tak cudownie...

Ostatecznie całkowicie poddałam się zmysłom, westchnęłam: „Niech się dzieje, co chce” i rzuciłam się pożądliwie na Daniela.

- Uuuff - jęknął.

Zignorowałam stłumiony okrzyk, zaczęliśmy się całować. Dziko. Wzdychałam z rozkoszą. Również z powodu mistrzostwa, jakie Daniel osiągnął w sztuce oralnej. Z całą pewnością w ciągu następnych trzydziestu dwóch sekund połączylibyśmy nasze ciała w najintymniejszym uścisku, gdyby... no właśnie, gdyby Casanova nie wskoczył przez balkon do pokoju i równie namiętnie nie wczepił pazurów w moje nagie plecy.

- Aaaaauaa, masz nierówno pod sufitem? - zakląłam. Signore wskazał łapką w kierunku drzwi.

- Cokolwiek masz na myśli, przyjdzie na to czas. Ale nie teraz! - wściekałam się.

Casanova pokręcił głową.

- Ten kot cię rozumie? - Daniel nie mógł uwierzyć. Casanova, podbiegłszy do drzwi, zaczął je energicznie drapać.

Powinnam je otworzyć. Nagle olśniło mnie - signore trafił na ślad. [Pamiętników Casanovy: Wenecja gościła ogromną liczbę kotów, a jeden z nich, szczególnie odrażający, wytropił Lilly. Jednak ta wielce nieurodziwa kocia istota zdecydowana była udzielić mi stosownych informacji dotyczących miejsca pobytu dziewczynki wyłącznie w zamian za erotyczną przysługę. Wtedy zrozumiałem, iż nadszedł moment, w którym muszę czynić swą kocią powinność.]

W mgnieniu oka się ubrałam, a Daniel stwierdził z wyrzutem, tylko połowicznie żartobliwym:

- Czuję się wykorzystany.

Nie reagując na to oskarżenie, otworzyłam drzwi i podążyłam za kotem. Jednak nie samotnie, gdyż Daniel równie prędko się przyodział.

- Ty zostajesz - rzekłam do niego.

- Wcale nie mam takiego zamiaru - odparł, biegnąc za mną.

Pognaliśmy zatem we trójkę w ciemną wenecką noc. Trapiła mnie nieco obecność Daniela w pościgu, gdyż nie miałam pojęcia, jak powinnam wytłumaczyć ją Alexowi. Równie niełatwo zresztą wyjaśnić Danielowi, że podążamy właśnie za Alexem, wdowcem po Kim Lange, kobiecie, którą on również darzył uczuciem. Obawiałam się, że ciurallala może nie wystarczyć.

Casanova prowadził nas wąską uliczką, wzdłuż kanału wydzielającego intensywną woń, jednoznacznie informującą o natychmiastowej potrzebie lepszego systemu kanalizacyjnego dla weneckich mieszkańców, aż do małego placu, za którym rozciągało się morze. Nie widać było żywej duszy, żaden turysta nie oddalałby się ciemną nocą tak daleko od centrum. Pośrodku placu, oświetlony księżycową luną i gwiazdnym blaskiem, stał mały kościół San Vincenzo.

Miejsce moich zaślubin z Alexem.

Na wrotach kościoła wywieszono szyld następującej treści: Vietato l'accesso! Pericolo di vita!! Ponieważ po włosku znałam jedynie zwrot: Uno espresso, per favore, nie zrozumiałam powyższego komunikatu, ale widok rozciągniętej, napiętej taśmy oraz wiedza, że już w czasach mojej ślubnej ceremonii kościółek niemal groził zawaleniem, mówiły, iż wchodzenie do środka nie jest dobrym pomysłem. Mimo to kocur Casanova nie wahał się ani chwili. Przemknął pod taśmą i minawszy naderwaną płytę chodnikową, wśliznął się w uchylone drzwi.

Westchnęłam, uniosłam taśmę, pochyliłam się i przeszłam pod nią.

- Chcesz wejść do środka? - spytał sceptycznie Daniel.
- Nie, chcę tylko uprawiać gimnastyczny taniec z taśmą - odparłam nieco zuchwale.
- Ten szyld wspomina coś o zagrożeniu życia - zauważył.
- Wolę tego nie wiedzieć - powiedziałam nerwowo i udałam się w kierunku sakralnej budowli.

Daniel westchnął.

- Nie mam więcej pytań. - I ruszył za mną.

Weszliśmy do środka. Do wnętrza kościoła przez stare, barwne witraże wpadała księżycowa poświata, nadając budowli przyjemną atmosferę letniej nocy.

Kościół był cudownie skromny, przez stulecia odwiedzały go nie weneckie grube ryby, lecz zwyczajni wierni, dlatego wydał się mnie i Alexowi tak romantyczny. Obecnie, niestety, niebezpiecznie się zapadał, a zewsząd wyłaniały się konstrukcje rusztowania, które najwidoczniej ktoś jakiś czas temu opuścił. Najwyraźniej samorząd Wenecji zdecydował, że ta kapliczka nie jest warta wysiłków renowacyjnych, a pieniądze lepiej zainwestować w najwyższej jakości błyszczące foldery. Podziwiając ołtarz, odbyłam w myślach sentymentalną podróż. Znow widziałam siebie w ciele Kim, obok Alexa nakładającego mi obrączkę, poczułam pocałunek, którym mnie wtedy obdarował... Wspomnienia były tak przepiękne, że świadomość obecnego związku Alexa z Niną spowodowała, iż przerodziły się w cichy, pełen żalu szloch.

- Ciii - szepnął Daniel.
- Nie możesz mi zabraniać łez - wybuchłam.
- Nie o to mi chodzi, posłuchaj przez chwilę.

Nadstawiłam uszu i... faktycznie, dobiegło mnie delikatne, miarowe pochrapywanie. Rozpoznałabym je w każdym zakątku świata, przecież i jako pies, i jako mrówka bardzo się tym dźwiękiem rozkoszowałam.

- Lilly!
- Kto to jest Lilly? - spytał Daniel.

Nie odpowiadając, ruszyłam biegiem w kierunku, z którego dochodził głos.

- Z wolna zaczynam się przyzwyczajać do chronicznego braku odpowiedzi - lakonicznie rzucił w przestrzeń Daniel, podążając za mną między kościelnymi ławkami, aż do pierwszego rzędu. Tam moim oczom ukazała się zwinięta w kłębek Lilly, lekko chrapiąca przez sen. Światło księżycy padało prosto na jej słodką twarz. Usiadłam obok i głaszcząc delikatnie jej policzki, szeptałam:

- Hej, maleńka, zbudź się.
- Lilly uniosła powieki.
- Mammaaria? - wymamrotała.
 - Tak, to ja. Co tutaj robisz?
 - Moja mamusia i tatuś brali tutaj ślub.

Uśmiechnęłam się, do głębi poruszona, a ona wstała z ławki.

- Kim są twoi rodzice? - spytał Daniel.

Zanim zdążyłam zakryć jej usta dłonią, Lilly odpowiedziała:

- Alex i Kim Lange.

Szczęka Daniela opadła przynajmniej do kolan.

Po czym posłał mi całkowicie rozkojarzone spojrzenie.

- Eekhm - tak brzmiał pierwszy słowopodobny dźwięk, który byłam w stanie wyartykułować. Drugi nie był wiele wymowniejszy: - He?

W tym momencie Casanova miauknął z nieskrywaną radością. Odebrałam to jako sygnał ostrzegawczy, gdyż taki ton jego komunikacji nieuchronnie oznaczał, że...

- Lilly, napędziłaś nam niezłego strachu. Jak mogłaś tak po prostu uciec? Zawiadomiliśmy nawet policję...

Była to Nina we własnej osobie.

- Co pani tu robi, pani Mario? Zjawił się również Alex. Dostrzegłszy Daniela Kohna, zawołał:

- A skąd pan się tutaj wziął?!

- Eeee... - po raz kolejny zająknął się Daniel. Widok Alexa doprowadził jego szare komórki do wrzenia. Wyczekująco wbił wzrok we mnie. Podobnie jak Alex. Obydwa spojrzenia jednoznacznie żądały wyjaśnień.

W tym jedynym momencie zapragnęłam na chwilę znów stać się mrówką.

- To ty przywiozłeś tu tę panią? - zwróciła się Nina do Alexa z mieszaniną zazdrości i żądy krwi.

W tej chwili zatęskniłam za gruczołem z mrówczym kwasem.

- Ja... ja jej tu nie przywiozłem - odpowiedział skołowany Alex.

- A więc pan ją przywiózł? - tym razem Nina zwróciła się do Daniela, który słabo przytaknął. - Przecież to wszystko nie ma najmniejszego sensu - urągała Nina. - Co taki prominentny gość jak pan wyczynia z taką klasyczną sierotką Marysią?

W tej chwili życzyłamby sobie mieć kałasznikowa. - Ja... ja tego nie pojmuję - wyjąkał Alex.

- A ja owszem - oznajmił Daniel.

Wszystkie oczy skierowały się ku niemu. Alexa, Lilly, Niny i moje. I kocura Casanovy.

- Umieram z ciekawości - pierwsza przerwała milczenie Nina. Ja już właściwie umarłam.

- Zatem... jakkolwiek szaleńczo to zabrzmiało... - rozpoczął Daniel - ...ona kocha męża Kim... a ja kocham ją... tak jak kochałem Kim... i

ona pojawia się w naszym życiu... a przecież teoretycznie jest tylko sprzątaczką z Hamburga.

- Czy zamierza pan coś niecoś rozjaśnić? - spytała zniecierpliwiona Nina.

- Tak... - odparł Daniel. - Na to wszystko jest tylko jedno wytłumaczenie...

- A dokładnie jakie? - Nina wyraźnie miała powyżej uszu plątaniny myśli Daniela.

- Maria... Maria... jest... Kim.

No i teraz więcej szczęk opadło. Z głośnym i ostentacyjnym hukiem. Alexa. Niny. Moja. Tylko Casanova z namaszczeniem oblizywał swoje łapki. Lilly natomiast wpatrywała się we mnie z nadzieją.

- W pewien sposób... przez reinkarnację... wędrówkę duszy... lub coś podobnego - Daniel kontynuował pogmatwany wywód. - Jakie inne zjawiska mogłyby wytłumaczyć cały ten absurd?

- Chodź, Alex, nie musimy słuchać tych głupot. - Nina, chwyciwszy go za ramię, chciała czym prędzej opuścić kościół. Alex jednak stawiał opór. - Alex! - nalegała Nina, lecz jego oczy skierowane były wyłącznie na mnie.

- To prawda? - spytał.

- Chyba... No przecież w to nie wierzysz? - oburzyła się Nina.

- To by wiele wyjaśniało... - odparł Alex.

- Czy ta baba podstępnie nafaszerowała was narkotykami? - Nina osiągnęła najwyższy stopień wściekłości, a na jej ustach w każdej chwili można się było spodziewać najprawdziwszej piany.

- A więc? - powoli pytanie Alex, całkowicie ignorując impertynencje Niny. - Czy on ma rację?

Cóż miałam odpowiedzieć? Spojrzałam na Lilly, która wpatrując się we mnie błyszczącymi oczyma, spytała: - Jesteś moją mamusią?

- Gąski, gąski kładą na stół podwiązki - zaćwierkałam cicho.

- Zawsze tak robi - zauważył Daniel.

- Bo ma bardziej nierówno pod sufitem niż ten kościół - stwierdziła złośliwie Nina.

Rzuciłam rozpaczliwe spojrzenie na Alexa i pokazałam na swoje usta, dając do zrozumienia, że nie mogę mówić.

- Nie wolno ci o tym mówić? - dociekał Daniel.

- Jeśli nie możesz mówić wprost, po prostu skinij głową - zaproponował Alex. - Jesteś Kim?

Skinąć głową. Świetny pomysł. Nie pisać. Po prostu tylko skinąć głową. Tego przecież Budda nie mógł zablokować?

Spróbowałam więc energicznie skinąć, jednak moja głowa kręciła się tylko w kółko. Im bardziej rozpaczliwie starałam się ją przyhamować, tym szybciej wirowała.

- Czyżby próbowała pobić rekord w liczbie obrotów? - spytała sucho Nina. Resztę zgromadzonych moja reakcja tak samo głęboko rozczarowała jak mnie. (Jeśli kiedykolwiek jeszcze spotkam Budę, wymierzę mu - mówiąc nieco kolokwialnie, słowami mojej matki - solidnego kopniaka w tyłek).

- Idziemy - zarządziła Nina. Alex jednak ponownie zignorował jej żądanie i przyglądał się mi pełen nadziei.

- Idziemy! - naciskała. Już prawie dostrzegłam pierwsze bąbelki piany na jej wargach.

Alex spojrzał na nią zdezorientowany. Lecz zanim zdążył cokolwiek wyartykułować, Lilly krzyknęła:

- Nie!

- Nie denerwuj mnie jeszcze ty - piekliła się Nina. - Wystarczy, że pół dnia zdzieraliśmy zelówki, szukając ciebie i...

- Nie możesz mi nic kazać - odpysknęła Lilly i pobiegła pod taśmą w kierunku ołtarza.

- Wracaj natychmiast! - zawołała Nina.

- Nie wróćę! - krzyknęła Lilly i zaczęła się wspinać na jedno chwiejnych rusztowań.

- Lilly! - wrzeszczałam jednocześnie z Alexem. Wymieniliśmy krótkie spojrzenia, skinęliśmy na siebie, ponieważ czuliśmy się związani troską o naszą małą córeczkę, i pobiegliśmy za nią.

- Zejdź na dół - prosił Alex.

Lilly jednak wspinała się coraz wyżej. Nie przejmowała się tym, że rusztowanie podejrzenie się chwiało pod jej ciężarem.

- Zejdę na dół dopiero wtedy, gdy się dowiem, czy jesteś moją mamą, czy nie.

Jak miałam ją przekonać?

To było przecież niemożliwe, co małą bardzo rozczarowało. Bardzo. Zaniósła się szlochem. Dotarła już na sam szczyt rusztowania.

- Ściągnę ją na ziemię - powiedział zdecydowanym tonem Alex.

- Rusztowanie nie wygląda na tyle stabilnie, by wytrzymać twoją wagę - oceniłam z troską.

- Twoją tym bardziej - wtrąciła opryskliwie Nina. Rozejrzałam się. Nawet kałasznikow to dla niej zbyt mało.

- Jedyłą odpowiednio lekką osobą, by wspiąć się na górę, jesteś ty - powiedziałam, a Nina z ociąganiem spojrzała na rozpaczającą Lilly.

- Maria ma rację - potwierdził Alex. - Jeszcze mi życie miłe!

- Przecież chodzi o Lilly! - Alex nie mógł zrozumieć wahania Niny.

- Zejdź na dół! - grzmiała Nina w kierunku Lilly.

- Nie krzycz na nią - ofuknął ją Alex, ubiegłszy mnie.

- A ty nie krzycz na mnie - odpowiedziała urażona Nina.

- Chcę do mojej mamy - płakała Lilly. Pękało mi serce.

- Pomóż jej - błagał Alex Ninę, która wpatrywała się w, górę.

Wspinaczka wyraźnie zdawała się ją przerażać.

- Wezwę policję albo straż pożarną, albo coś w tym rodzaju! - odparła i ruszyła energicznie w kierunku bocznych drzwi. Casanova pobiegł za nią; miauczał gorączkowo i tarasował jej drogę. Jak opętany. Chciał ją zatrzymać. Czyżby z powodu Lilly?

- Przepadnij, bestio - złorzeczyła Nina. Lecz Casanova nie odpuszczał.

- Odczep się - kopnęła go boleśnie, kumulując w tym ciosie ogrom swojej złości na Alexa, na mnie i całą zaistniałą sytuację [Z Pamiętników Casanovy: W moich dotychczasowych całodziennych marzeniach wyobrażałem sobie mój pierwszy kontakt fizyczny z Niną o wiele bardziej romantycznie.].

Casanova poszybował kilka metrów nad ławkami i uderzył w jedną z nich.

Posłałam oprawczyni wściekłe spojrzenie. W tym momencie zobaczyłam że nad bocznym wyjściem, którym Nina chciała opuścić kościół, też stało rusztowanie, jednak o wiele mniej stabilne niż to, na którym siedziała Lilly. Teraz już poznałam prawdziwą przyczynę ataku Casanovy. Dostrzegł coś, czego ona w złości nie widziała. Wyjście tamtędy było ekstremalnie niebezpieczne, bo jeśli Nina otworzy drzwi, zahaczy nimi o rozchwianą konstrukcję, a ta z pewnością runie na ziemię, grzebiąc pod sobą nieświadomą niebezpieczeństwa Ninę. Casanova chciał ratować jej życie.

Nadeszła zatem wiekopomna chwila, w której na moje barki spadł obowiązek ostrzeżenia kobiety.

W mojej głowie kłębiły się tysiące myśli. Jedna ich część podjudzała: „Jeśli Nina umrze, Alex nareszcie będzie wolny i tylko dla ciebie”. Kolejna dodawała: „Wtedy będziecie mogli żyć tak, jak zapragniecie”. Lecz trzecia - z natury sceptyczna - część mnie zauważyła trzeźwo: „Haaalo, ona umrzeeee!”.

„Owszem” - zripostowała pierwsza cząstka z niekłamanym spokojem. „Ale to nie jest wcale taka straszna ewentualność”. Druga pospieszyła z wyjaśnieniem: „Ponieważ odrodzi się ponownie”. Z czym się trzecia, do głębi zdumiona, zgodziła: „Hej, macie rację”.

Nina nie byłaby przecież długo martwa. Narodziłaby się na nowo. Być może jako piękny króliczek lub wspaniała klacz - przecież tak bardzo lubi konie. Nie uczyniła w swoim życiu aż tak wiele zła, by wylądować na samym dole reinkarnacyjnej drabiny. Prawda? Jedna aborcja, której się poddała, nie skazałaby ją przecież na mrowisko. Prawda? Budda nie gra w drużynie papieża. Czy nie...?

Na pewno nie?!?!

Nikommu przez miasta, kraje, ciała i gatunki, jaką ja odbyłam. Nawet Ninie! A z powodu wszystkich powyższych wątpliwości nie miałam gwarancji, czy ostatecznie Nina nie będzie musiała targać na mrówczych plecach żelowego misia, jeśli jej w porę nie ostrzeżę przed niebezpieczeństwem.

- Nina! - zawołałam.

- Zamknij się, tłusta krowo! - odkrzyknęła w odpowiedzi. A od drzwi dzielił ją już tylko metr.

Wprawiłam więc moje ociężałe ciało w ruch i rzuciłam się do biegu. Alex i Daniel, zdezorientowani, przyglądali się moim poczynaniom, a w tle słychać było wciąż szlochającą Lilly.

- Nie otwieraj drzwi - wysapałam.

Nina, zignorowawszy moje słowa, położyła dłoń na klamce. Przyśpieszyłam. Naciskała właśnie klamkę.

- Nie! - krzyczałam, prawie ją doganiając.

Dokładnie w tym momencie Nina pociągnęła drzwi do siebie, uderzając przy tym o wsparcie rusztowania. Coś skrzypnęło, zaraz cała konstrukcja z pewnością na nią runie. Dojrzałam przerażony wzrok Niny. I zrozumiałam: za kilka chwil Nina odrodzi się w ciele jakiegoś zwierzęcia, być może nawet mrówki... jeśli jej nie uratuję!

Rzuciłam się więc do dzieła, nie zważając na konsekwencje bohaterskiego czynu. Przewróciłam Ninę na ziemię i zasłoniłam własnym masywnym ciałem. Deski rusztowania uderzały mnie w głowę, plecy, nogi.

Kiedy kurz opadł, poczułam pod swoim potężnym cielskiem oddech Niny.

A zatem uratowałam jej życie. Dzięki mojej tuszy.

Uśmiechnęłam się, kontenta.

I w tej właśnie chwili moje serce odmówiło dalszej współpracy.

Rozdział 57

BUM - BUM - BUM. ŻADNEJ PROJEKCJI MOJEGO POPRZEDNIEGO ŻYCIA. Bum - bum - bum. Żadnej nirwany, która zechciałaby mnie przyjąć. Bum - bum - bum. Żadnej światłości, która mnie otula. Bum - bum - bum. Żadnego uczucia czułości i bezpieczeństwa. Bum - bum - bum. Wyłącznie uderzenia mojego serca.

Jak długo trwał jego urlop? Jestem jeszcze w kościele? Otworzywszy oczy, zauważyłam, że ponownie leżę w błyszcząco białym przedsionku nirwany. A nade mną pochyla się nagi Budda!

- Och, człowieku, nie mógłbyś się w coś przyodziać? - spytałam.

- Ty również jesteś w stroju Ewy. - Budda się uśmiechnął. To prawda. Obydwoje sprawialiśmy wrażenie członków Klubu

Kwadransowych Grubasów, którzy właśnie wybrali się na plażę dla nudystów.

- Zatem znów jestem martwa - skonstatowałam, podczas gdy Budda pomagał mi się podnieść.

- Prawie. - Opasły Budda się rozweselił.

- Prawie? - spytałam sceptycznie. - Być prawie żywą, to tak jak być prawie w ciąży. „Prawie” robi ogromną różnicę.

- A jednak on walczy o twoje życie.

- Któż taki?

- Alex.

Oniemiałam. Nie tracąc przy tym nadziei, że Alex da mi szansę na ponowny powrót do żywych.

- I... wygrywa? - zaciekałam się.

- Sama zobacz.

Budda wypiął przede mną swój ogromny brzuch. I zanim zdążyłam rzucić komentarz w rodzaju: „Eee, to niezbyt apetyczny widok, wiem, że zwłaszcza ja nie powinnam tego mówić, bo sama jestem raczej nieestetycznie gruba, lecz proszę, błagam, nie podtykaj mi pod nos swojego cielska”, jego kałdun zamienił się w swego rodzaju obiektyw teleskopu sięgający aż do kaplicy San Vincenzo.

- O rety, masz wbudowany ekran - wysiliłam się na dowcip. Im ostrzejszy stawał się obraz, tym większe zdenerwowanie mnie ogarniało. Alex i Daniel najwyraźniej zdążyli odsunąć deski, które na nas leżały. Lilly z przerażeniem w oczach obserwowała wszystko ze swojego poprzedniego stanowiska na rusztowaniu, Nina natomiast, podniósłszy się z ziemi, wraz z Danielem przyglądała się Alexowi,

który desperacko próbował reanimować mnie za pomocą masażu serca.

- Ta tłusta Maria... ona mnie uratowała - rzekła Nina z zakłopotaniem.

- Tak - szepnął Daniel, nie bez podziwu.

- To... to jest dowód - wyjąkała Nina.

- Na co?

- Że nie jest Kim. Ona by czegoś takiego nie zrobiła... Prychnęłam pogardliwie.

- Ma rację - rzekł pogodnie Budda. - Dawna Kim nie byłaby zdolna do takich czynów. Ale ty się bardzo zmieniłaś.

Spojrzałam na niego zdumiona. Wtem zamigotał program na jego brzuszny ekranie. Ujrzałam siebie jako Kim Lange, bez skrupułów odbierającą mojej poprzedniczce Sandrze Kolling jej posadę prowadzącej. Następny kadr przypominał moją obietnicę nieryzykowania dla redakcyjnej asystentki nawet złamanego paznokcia. Obraz znów się zmienił i przedstawiał mnie w ciele świnki morskiej, stojącej na jednej z ulic Poczdamu. W momencie, w którym renault pędziło na Depardieu. Wtedy nawet przez chwilę nie pomyślałam o tym, żeby ratować Depardieu, tak jak teraz uratowałam Ninę.

- Najwyraźniej przeobraziłam się w zbieraczkę dobrej karmy - stwierdziłam.

- Otóż to - odpowiedział z radością Budda.

- Ale nie zrobiłam tego celowo.

- Wiem. Tym bardziej jest to cenne.

- Co takiego?

- Nauczyłaś się zbierać dobrą karmę, nie kalkulując. Ryzykując swoje życie. Ze szczerego serca!

Jego słowa mnie poruszyły. Do głębi. Nie mogłam się powstrzymać - mimo wszystko - od uśmiechu, wynikającego z rozpieszczającej mnie dumy.

- I co najważniejsze: jesteś gotowa poświęcić dla innych coś szczególnego.

Przestałam się uśmiechać. Budda miał rację. By uratować Ninę, zaryzykowałam życie. Swoje szczęśliwe życie u boku rodziny.

- Pamiętasz, co ci obiecałem, kiedy odrzuciłaś nirwanę? - spytał Budda.

Jego zintegrowany ekran znów zmienił taśmę, tym razem zawierała nasze ostatnie spotkanie, na krótko przed moim przebudzeniem w ciele Marii. Stałam przed nagim Buddą jako naga Kim Lange. (Mój Boże, jaka wtedy byłam szczupła, nawet moje uda były naprawdę zgrabne). Budda rzekł wtedy do mnie: „Taką szansę przyznaję ci tylko ten jedyny raz”. Wyłączył projektor.

- Teraz przeniesiesz się do nirwany - oznajmił.
- Ale ja nie chcę! - zaprotestowałam.
- Owszem, chcesz - zapewnił z uśmiechem Budda.
- Wcale nie.

Na brzuchu znów pojawiła się transmisja z weneckiego kościoła. Alex nadal masował moje serce.

- Proszę cię, nie odchódź! Nie odchódź! - zaklinał. Poziom jego determinacji rósł. Tak dalece, że zawołał: - Nie odchódź... Kim!

- Przecież nie chcę! - odpowiedziałam i spojrzałam błagalnie na Buddę. Nie zareagował.

Znów skierowałam wzrok na obraz i zobaczyłam Ninę cichutko pytającą Daniela:

- Naprawdę pan wierzy, że to Kim?

Daniel skinął głową w milczeniu.

Nina przyglądała się zdesperowanemu Alexowi, który nie przerywając masażu, powtarzał moje imię.

- Nigdy nie wygram z taką miłością - szepnęła Nina smutno do Daniela.

Daniel przytaknął, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ja również nie”.

- Kim, błagam cię! - zawołał Alex, któremu już napływały łzy do oczu.

Na rusztowaniu Lilly zanosila się płaczem.

- Proszę cię, mamusiu - mruczała przy tym pod nosem.

- Proszę cię - teraz ja błagałam Buddę. Jednak on stanowczo odpowiedział:

- Przenosisz się do nirwany.

Spojrzałam w jego przyjazne oczy. Te przyjazne oczy wyraźnie mówiły: „Klamka zapadła, nie ma miejsca na dalsze negocjacje”.

Byłam u kresu sił. Nie wolno mi było wrócić do Alexa i mojej Lilly... mnie również zwilgotniały oczy.

- Koniec spektaklu - rzekł Budda.

Spojrzałam po raz ostatni na moją rodzinę. Potem przymknęłam oczy, ze wszystkich sił walcząc ze łzami. Jeśli muszę znaleźć się w nirwanie, chcę to uczynić z godnością.

Rozdział 58

KIEDY OTWORZYŁAM OCZY, WOKÓŁ MNIE BYŁO NIEPRAWDOPODOBNIEMO mało światła i nirwany.

Leżałam znów w San Vincenzo i patrzyłam prosto w oczy Alexa. Który nie posiadał się z radości.

Ja również. Byłam ogromnie zdumiona. Myślałam, że muszę na zawsze wejść w tę przeklętą nirwanę. Co się zatem stało?

- Wszystko w porządku? - spytał Alex.

Moje ciało pokrywały siniaki, stłuczenia i otarcia. Serce powoli przyzwyczajało się do ponownej pracy. Ale mimo wszystko się uśmiechałam.

- Nie mogłoby być lepiej - odpowiedziałam.

Daniel, dostrzegłszy niewidzialną nić między mną a Alexem, widoczną jednak w błysku naszych oczu, szepnął przygnębiony:

- Zdaje się, że nic tu po nas.

Nina skinęła głową, kapitulując ostatecznie. Zaistniała sytuacja całkowicie ją przerosła.

Daniel objął ją ramieniem i skierowali się do wyjścia.

- Ona kopnęła tego kotka - zawołała mała Lilly, która kompletnie zdezorientowana siedziała na rusztowaniu.

Spojrzałam na Casanovę. Leżał bez ducha na drewnianej ławce, na którą rzucił go kopniak Niny. Przerazona poderwałam się z ziemi, ale natychmiast zwinęłam się z piekielnego bólu.

- Pomogę ci. - Alex wsparł mnie swoimi delikatnymi ramionami.

- Dziękuję - odpowiedziałam i w ten sposób dość szybko dotarłam do signore. Jego koci kark był złamany. To było ponad moje siły. Czulałam niewiarygodną wściekłość na Ninę.

Lecz tylko przez sekundę. Jej smutek był tak ogromny, że nie miałam serca czynić jej dodatkowych wyrzutów.

Poza tym Casanova umarł, chcąc ratować Ninę. Bez jego próby interwencji ja również nie dostrzegłabym niebezpieczeństwa w postaci rusztowania i nie osłoniłabym jej swoim ciałem. Z pewnością poczciwy Casanova zebrał dobrą karmę, a być może dotarł aż do nirwany. Nie trzeba więc tak bardzo żałować jego ofiarnej śmierci.

- Nie musisz mieć wyrzutów sumienia. Ciało jest jedynie zewnętrzną powłoką dla duszy - próbowałam pocieszyć Ninę.

Daniel Kohn, który dotychczas znosił wszystkie dziwactwa, położył znacząco rękę na jej ramieniu.

- Naprawdę powinniśmy już iść - rzekł.

Nina spojrzała jeszcze raz na mnie, na Alexa i przytaknęła. - Jesteśmy wręcz zmuszeni.

Alex chciał coś dodać, lecz zrozumiał, że żadne jego słowo nie zdoła pocieszyć Niny. Powiedział więc cichym, lecz pewnym głosem:

- Przepraszam.

Nina skinęła głową. Po czym dała się wyprowadzić Danielowi na zewnątrz. Zrobiło mi się jej ogromnie żal, wszak straciła dzisiaj wszystko, o czym marzyła. Miałam szczerą nadzieję, że, być może, przynajmniej z Danielem uda jej się stworzyć szczęśliwy związek.

Wtem zadzwonił telefon Daniela. Odebrał.

- Babsi? Jasne, konferencja się skończyła. Jutro będę w Poczdamie... Pudding czekoladowy? Tak, to rewelacyjny strój dla ciebie...

No dobrze, może akurat Daniel i Nina niekoniecznie stworzą parę [Z Pamiętników Casanovy: Podobnie jak madame Kim, mnie również Budda pozwolił zdecydować o moim dalszym losie i ewentualnym bliskim związku z nirwaną lub nie. Jaką decyzję podjąłem? Pozwólcie, że ją dokładniej opiszę... Mademoiselle Ninę wielce zdumiał erotyczny kunszt, jaki prezentował tak otyły mężczyzna. Spełniliśmy również jej największe marzenie - dotychczas nigdy niewypowiedziane - i spłodziliśmy sporą gromadkę uroczych pociech. Byliśmy niczym króliki, pardon, świnki morskie. Cała nasza liczna rodzina zamieszkała w moim przepięknym rodzinnym mieście - Wenecji. Czarująca Nina, która obecnie stała się istotnie moją madame, prowadziła tam biuro turystyczne, ja natomiast powiększałem majątek, tworząc erotyczny almanach. O nasze latorośle Nina troszczyła się wręcz wyśmienicie, czym zapewne zapracowała sobie na dobrą karmę. Ja natomiast zbierałem ją, odkrywając - dzięki swej miłosnej biblii - przed ludźmi tajemnice alkowy i sprawiając tym samym, że ich własne miłosne igraszki nabrały nareszcie prawdziwych rumieńców.].

Tych dwoje wyszło z kościoła. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Alex, Lilly i ja po raz pierwszy od dnia mojej śmierci znaleźliśmy się wyłącznie we własnym towarzystwie.

Tymczasem słońce zdążyło już ponownie wzejść, a pierwsze promienie wpadały przez cudowne, barwne witraże. Błękitne, zielone, czerwone, fioletowe i białe fragmenty okien tak odbijały światło, że

otaczała nas magiczna feeria świetlnych barw. Lilly natomiast owa tęczą zastała wciąż siedzącą na rusztowaniu.

- Zejdź, proszę, na dół! - zawołałam do niej zatroskana.

- Zejdę, jak się upewnię, że jesteś moją mamusią.

Bardzo chciałam wykrzyknąć: „Oczywiście, że jestem!”. Choć wiedziałam, że zaraz zaintonuję kolejną weselną przyśpiewkę, otworzyłam usta i powiedziałam:

- Tak, jestem twoją mamą.

Żadne ciuralla, żadne gąski, żaden orzeł, żadne indyczki i w ogóle żadna pierzasta bestia, lecz zwykłe słowa: „Tak, jestem twoją mamą”. Zdębiałam. Czyżby Budda zniósł mój dotychczasowy zakaz komunikacji? Lilly promieniała.

- Naprawdę?

- Tak! - zawołałam głośno, śmiejąc się.

Ona także z promiennym uśmiechem zaczęła schodzić w dół po rusztowaniu.

- Uwważaj! - krzyknęłam. - Ostrożnie!

- Mamo, jestem już dużą dziewczynką - odparła Lilly.

A gdy moja dzielna córeczka zwinnie zmierzała ku ziemi, Alex, promieniejąc szczęściem, wyznał:

- Ja... wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć.

- Ja również nie - odparłam.

Wciąż nie pojmowałam, dlaczego ostatecznie nie znalazłam się w tej przeklętej nirwanie. Przecież Budda wyraźnie zarządził: „Zaraz znajdziesz się w nirwanie”.

Przeszył mnie strach. A jeśli zaraz stracę moje na nowo odzyskane szczęście? Nigdy bym się z tym nie pogodziła. Nawet w krainie wiecznego szczęścia!

- Gdzie... właściwie podziewałaś się przez ostatnie lata? - spytał Alex.

- Czasami całkiem niedaleko was - wyznałam zgodnie z prawdą.

- Już się dość napaplaliście? - Lilly wyrosła tuż obok nas.

Upragniona możliwość ujawnienia jej prawdy o mnie okazała się lepszym lekarstwem dla mego serca niż choćby siedmiokrotny bajpas.

- Jeśli naprawdę jesteś moją mamą, to mogę się do ciebie przytulić? - Lilly wyrwała mnie z zamyślenia.

- Oczywiście - rzekłam. I w cudownie barwnej świetlnej iluminacji wzięłam ją w swoje grube ramiona i przytuliłam tak mocno,

że odrobinę silniejszy uścisk z pewnością wywołałby u niej zaburzenia oddychania.

Lecz Lilly nie zwracała na to uwagi, oddając się swemu szczęściu.

Przymknęłam powieki, by również rozkoszować się cudowną chwilą ponownego połączenia matki z dzieckiem.

Alex chrząknął. Otworzyłam oczy, kierując je ku niemu.

- Mogę się dołączyć? - Jego uśmiech wciąż krył w sobie pewien niepokój.

- Jasne! - odparłam.

Po czym jego także przytuliłam do swojego tłustego brzucha.

Znów zamknęłam oczy. Czułam swoją córeczkę. I męża.

Moja rodzina znów była w komplecie.

Byliśmy sobie bliscy jak nigdy dotąd.

Takiej bliskości nigdy bym jako Kim Lange nie zdołała osiągnąć.

Lub nie chciałabym.

To było cudowne.

Otulała mnie moja rodzina.

Delikatnie.

Ciepło.

Czule.

Objęłam ją i poddałam się jej.

Mój Boże, jak wspaniale się czułam.

Tak bezpieczna.

Tak szczęśliwa.

W tym momencie wreszcie zrozumiałam, dlaczego Budda pozwolił mi na ponowne ziemskie życie.

Nie trzeba bajkowych ogrodów nirwany, by osiągnąć prawdziwą nirwanę!

Bardzo dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi przy tworzeniu tej książki: Volkerowi Jarckowi, Ulrike Beck, Marcusowi Hertneckowi, Katharinie Schlott, Marcusowi Gartnerowi i Almuth Andreae.

Specjalne podziękowania składam Michaelowi Totebergowi, najlepszemu agentowi w całym znanym nam wszechświecie.